

AGATHA CHRISTIE

NEMEZIS

**PRZEŁOŻYŁA MAGDALENA GOŁACZYŃSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU: NEMESIS**

**ROZDZIAŁ PIERWSZY
PRELUDIUM**

Po południu panna Marple miała zwyczaj rozpoczynać lekturę drugiej gazety. Codziennie rano dostarczano jej do domu dwa tytuły. Pierwszą gazetę czytała, popijając poranną herbatkę, oczywiście pod warunkiem, że prasa dotarła w porę. Chłopiec, który roznosił gazety, najwyraźniej nie radził sobie z organizacją czasu. Poza tym często pojawiał się nowy roznosiciel albo chłopiec okresowo zastępujący tego pierwszego, przy czym każdy z nich miał własne wyobrażenie dotyczące trasy i kolejności doręczania. Możliwe, że urozmaicali sobie w ten sposób monotonną pracę. Niemniej jednak przyzwyczajeni do porannego czytania gazet klienci, którzy chcieli wychwycić najsmaczniejsze kąski jeszcze przed odjazdem autobusów, pociągów lub innych środków komunikacji wiozących ich do pracy, byli zirytowani, gdy prasa docierała z opóźnieniem. Natomiast starsze panie, żyjące spokojnie w St. Mary Mead, wolały raczej czytać gazetę wspartą na

śniadaniowym stolyczku. Tego dnia panna Marple przeczytała pierwszą stronę dziennika oraz kilka informacji, które nazywała "codziennymi rozmaitościami". Była to trochę złośliwa aluzja do zmian wprowadzonych przez nowego właściciela pisma "Daily Newsgiver", który chyba na złość pannie Marple i jej przyjaciółom drukował artykuły na temat krawiectwa męskiego, damskich sukni, kobiecych rozterek sercowych, konkursów dla dzieci oraz listy ze skargami od czytelniczek. Skutkiem tego poważne informacje stłoczone zostały na pierwszej stronie oraz w jakichś ledwie widocznych rogach, gdzie trudno było je wyszukać. Panna Marple, jako osoba staromodna, wolała, aby jej dziennik pozostał rzeczywiście dziennikiem i podawał wiadomości. Po lunchu pozwoliła sobie na dwudziestominutową drzemkę popołudniową w wygodnym fotelu z pionowym oparciem, zakupionym specjalnie z myślą o jej potrzebach - cierpiała na reumatyczne bóle kręgosłupa. Potem otworzyła "Timesa", który wciąż jeszcze wymagał uważniejszej lektury, co nie znaczy bynajmniej, że był taki jak dawniej. Denerwowało ją, że nie mogła zupełnie niczego w "Timesie" znaleźć! Nie wystarczyło przejrzeć pierwszej strony, aby dowiedzieć się, gdzie szukać reszty informacji i szybko móc dotrzeć do artykułów na określony, interesujący dla siebie temat, ponieważ teraz drukowano nadzwyczajne, sezonowe "przerywniki". Nagle pojawiały się na przykład dwie strony z ilustracjami poświęcone podróży na Capri.

Sport był tak uprzywilejowany, jak nigdy dotąd. Tylko wiadomości o rodzinie królewskiej i nekrologi podawano w sposób trochę bardziej zbliżony do dawnych zwyczajów pisma. Kronika urodzin, ślubów i zgonów, od której, ze względu na jej szczególne miejsce, panna Marple zaczynała kiedyś lekturę, zawędrowała do innej części "Timesa". Ostatnio jednak zauważyła, że niemal za każdym razem informacje te umieszczano u dołu ostatniej strony.

Panna Marple zajęła się najpierw głównymi wiadomościami z pierwszej strony. Nie zatrzymała się przy nich zbyt długo, ponieważ pokrywały się mniej więcej z tym, co przeczytała rano, chociaż zapewne w "Timesie" podawano je w trochę bardziej elegancki sposób. Rzuciła okiem na spis treści - artykuły, komentarze, nauka, sport. Potem czytała według swojego zwykłego planu. Odwróciła więc gazetę i przejrzała szybko informacje o urodzinach, ślubach i zgonach. Następnie zdecydowała powrócić do strony poświęconej korespondencji, gdzie prawie zawsze mogła znaleźć coś zabawnego, a stamtąd przeniosła się do wiadomości dworskich. Na tej stronie znalazły się tego dnia także informacje z aukcji. Umieszczano tam również często krótki artykuł naukowy, jednak nie miała ochoty go czytać, ponieważ rzadko wydawał jej się sensowny.

Przewracając gazetę na stronę z kromką towarzyską i nekrologami, panna Marple, nie po raz pierwszy zresztą, powiedziała do siebie:

- To naprawdę smutne, że w dzisiejszych czasach człowiek interesuje się tylko śmiercią!

Przychodziły także na świat dzieci, ale było mało prawdopodobne, żeby znała choć z nazwiska ludzi, którzy zostawali rodzicami. Gdyby rodzące się dzieci rejestrowano jako wnuczeta, istniałaby jakaś szansa sympatycznego skojarzenia.

- Coś takiego, Mary Prendergast ma trzecią wnuczkę! - mogłaby zawołać panna Marple, chociaż to także było mało prawdopodobne.

Pobieżnie przejrzała śluby, im również nie poświęcając zbyt wiele uwagi, ponieważ większość córek i synów jej dawnych znajomych pobrała się już dobrych parę lat temu. Doszła więc do rejestru zgonów, który czytała znacznie uważniej. Właściwie na tyle uważnie, aby mieć pewność, że nie przeoczyła żadnego nazwiska.

Alloway, Angopastro, Arden, Barton, Bedshaw, Burgoweisser ("mój Boże, co za niemieckie nazwisko, a zdaje się, że pochodził z Leeds").

Carpenter, Camperdown, Clegg. Clegg? Czyżby ktoś z Cleggów, których znała? Nie, raczej nie. Janet Clegg. Mieszkała gdzieś w Yorkshire. McDonald, McKenzie, Nicholson. Nicholson? Nie, to żaden znajomy Nicholson. Ogg, Ormerod - to na pewno któraś z ciotek. Zapewne tak. Linda Ormerod. Nie, nie znała jej. Quantril? "Mój Boże, to musi być

Elisabeth Quantril! Osiemdziesiąt pięć lat. Niepodobna!" Sądziła, że Elisabeth Quantril zmarła kilka lat temu. "Popatrzcie, żyła tak długo!" Zawsze była bardzo delikatna, nikt nie spodziewał się, że dożyje sędziwego wieku.

Race, Radley, Rafiel. Rafiel? Coś ją tknęło. Belford Park, Maidstone. Nie potrafiła sobie przypomnieć tego adresu. Nie przysyłać kwiatów. Jason Rafiel. Rzadkie nazwisko. Przypuszczała, że po prostu gdzieś je usłyszała. Ross-Perkins. To mógł być... nie, to nie on. Ryland? Emily Ryland. Nie, nie знаła nigdy żadnej Emily Ryland. Pograżeni w smutku mąż i dzieci. Cóż, bardzo ładne i bardzo smutne. Niezależnie, jak na to spojrzeć.

Panna Marple odłożyła gazetę i przeglądając w przerwie krzyżówkę, próbowała zgadnąć, dlaczego nazwisko Rafiel wydało jej się znajome.

- Przypomnę sobie - stwierdziła. Z własnego doświadczenia wiedziała, w jaki sposób pracuje pamięć starszych ludzi. - Na pewno sobie przypomnę.

Spojrzała przez okno na ogród, potem odwróciła wzrok, próbując nie myśleć o nim. Przez bardzo wiele lat ogród stanowił źródło jej ogromnej radości, ale wymagał też ciężkiej pracy. Teraz z powodu jakiegoś widzimisię lekarzy nie wolno jej było pracować w ogrodzie. Pewnego razu spróbowała złamać zakaz, doszła jednak do wniosku, że lepiej mimo wszystko postępować według zaleceń.

Ustawiała fotel pod takim kątem, aby utrudnić sobie patrzenie na ogród, chyba że bardzo by tego chciała. Westchnęła, podniosła torbę z wełną i wyjęła z niej dziecięcy kaftanik. Robótka była na ukończeniu, kaftanik miał już przód i tył. Musiała jeszcze zrobić rękawy. Zawsze ją nudziły. Dwa jednakowe rękawy. Bardzo to nudne. Śliczna, różowa wełna, trzeba przyznać. Różowa... Chwileczkę, z czym jej się to kojarzyło? Ależ tak, z nazwiskiem, które właśnie przeczytała w gazecie! Różowa wełna i błękitne morze. Morze Karaibskie. Piaszczysta plaża, słońce. Ona robi na drutach i... ależ oczywiście: pan Rafiel! Wycieczka na Karaiby, na wyspę St. Honora. Prezent od siostrzeńca Raymonda. Przypomniała sobie, co mówiła jego żona Joan.

- Nie mieszaj się więcej w żadne morderstwo, ciociu Jane. To ci nie służy.

No cóż, nie chciała się przecież mieszać, ale tak się właśnie stało. Wszystko przez tego starszego majora ze szklanym okiem, który chciał opowiadać jej jakieś długie i nudne historie. Biedny major... ale jak on się właściwie nazywał? Zapomniała. Pan Rafiel i jego sekretarka, pani... pani Walters. Tak, Esther Walters. I prywatny masażysta Jackson. Wszystko sobie przypomniała.

Tak, tak. Biedny Rafiel. A więc nie żył. Wiedziała, że nie pożyje długo. Właściwie sam jej o tym powiedział. Zdaje się, że trwało to dłużej, niż przypuszczali lekarze. Był silnym człowiekiem. Zawziętym i bardzo bogatym.

Panna Marple rozmyślała nadal i chociaż zupełnie nie patrzyła na robótkę, druty poruszały się rytmicznie. Jej myśli krążyły wokół Rafiela, o którym próbowała sobie jak najwięcej przypomnieć. Nie był to człowiek, którego szybko się zapomina. Widziała teraz jego postać całkiem wyraźnie. Doprawdy, bardzo silna osobowość, trudny człowiek, czasami irytujący i zaskakująco grubiański. A jednak nikt nigdy nie czuł się urażony jego zachowaniem. To także pamiętała. Nie raziły ich jego zniewagi, ponieważ był bogaty. Naprawdę, wyjątkowo bogaty. Miał ze sobą osobistą sekretarkę i służącego, wykwalifikowanego masażystę. Nie radził sobie bez ich pomocy.

Ten pielęgniarz, myślała, to postać dosyć nieokreślona. Rafael zachowywał się czasami wobec niego bardzo opryskliwie, a tamtemu zdawało się to wcale nie przeszkadzać. Oczywiście także dlatego, że pan Rafael był niezwykle bogaty.

- Nikt inny nie płaciłby mu połowy tego, co ja - powiedział Rafael - i on o tym wie. Zresztą dobrze wykonuje swoją pracę.

Zastanawiała się, czy Jackson (może Johnson?) pracował dalej u pana Rafiela. Czy pozostał przez kolejny rok... dokładnie rok i trzy czy cztery miesiące. Przypuszczała, że raczej nie. Rafael lubił zmiany. Męczyli go ludzie, ich zwyczaje, twarze i głosy. Rozumiała go. Czasami czuła to samo. Na przykład ta jej gosposia! Miła, ugrzeczniona, irytująca kobieta, o szczebioczącym głosie...

- No, zrobiłam spory krok naprzód - stwierdziła panna Marple, ale właśnie zapomniała kolejnego nazwiska. - Panna, panna, Bishop? Nie, nie Bishop. O Boże, jak mi ciężko idzie!

Wróciła myślami do Rafiela i jego pielęgniarza... nie, to nie był Johnson, tylko Jackson, Arthur Jackson.

- O Boże - powtórzyła - zawsze przekręcam nazwiska. Miałam naturalnie na myśli pannę Knight, a nie Bishop. Dlaczego pomyślałam o niej Bishop? - Znała już odpowiedź: szachy. Oczywiście, figury szachowe. Koń i goniec*.

- Następnym razem, kiedy o niej pomyślę, nazwę ją zapewne panna Castle albo Rook*, chociaż to nazwisko do niej nie pasuje. Nie jest osobą zdolną do oszukiwania innych - stwierdziła. - Dobrze, ale jak się nazywała ta sympatyczna sekretarka Rafiela? Ależ tak! Esther Walters. Na pewno. Ciekawe, co się dzieje z panną Esther Walters? Czy dostała coś w spadku? Prawdopodobnie odziedziczyła sporą sumę. Pamiętała, że pan Rafiel wspominał coś na ten temat, a może mówiła o tym panna Walters...

- Mój Boże, jaka powstaje gmatwanina myśli, gdy człowiek odtwarza wszystko tak chaotycznie!

Esther Walters bardzo ucierpiała na tej karaibskiej historii, ale doszła potem do siebie. Była zdaje się wdową. Panna Marple miała nadzieję, że Esther wyszła ponownie za mąż, za jakiegoś miłego, rozsądnego mężczyznę. Wydawało się to jednak mało prawdopodobne, ponieważ panna Walters

miała spory talent do obdarzania uczuciem i poślubiania niewłaściwych mężczyzn.

Panna Marple wróciła do rozmyślań o Rafielu.

"Żadnych kwiatów" - przeczytała w ogłoszeniu.

Posyłanie kwiatów panu Rafielowi nie było, co prawda, jej marzeniem. On sam mógłby wykupie wszystkie szklarnie w Anglii, gdyby tylko zechciał.

Zresztą nic ich nie łączyło. Nie byli przyjaciółmi ani bliskimi sobie osobami, raczej - jakiego to słowa on użył? - "sprzymierzeńcami". To prawda, zostali sprzymierzeńcami na bardzo krótki czas. Niezwykle fascynujący czas. Warto było mieć takiego sprzymierzeńca jak on.

Wiedziała o tym, kiedy biegła do niego w ciemnościach tropikalnej, karaibskiej nocy.

Pamiętała, że miała wtedy różowy, wełniany szal, służący, jak powiedziano by w latach jej młodości, "do oczarowania mężczyzny". Tym uroczym szalem z różowej wełny omotała sobie fantazyjnie głowę.

Rafiel spojrział na nią i roześmiał się. Później powiedziała coś, co go znowu rozbawiło. Jednak pod koniec rozmowy nie było mu wcale do śmiechu.

Nawet zrobił to, o co go poprosiła i dlatego...

- Ach! - westchnęła panna Marple - wszystko było takie pasjonujące!

Nie mówiła o niczym swojemu siostrzeńcowi ani drogiej Joan, bo przecież zrobiła to, czego miała nie robić. Panna Marple skłoniła głowę, po czym zamruczała cicho:

- Biedny pan Rafael, mam nadzieję, że nie cierpiał. Prawdopodobnie nie. Zajęli się nim najlepsi chyba lekarze, podając mu środki uśmierzające i łagodząc cierpienia ostatnich chwil. Podczas tych tygodni na Karaibach bardzo się męczył. Ból prawie nie ustępował. Dzielny człowiek.

Tak, dzielny. Szkoda, że umarł. Uważała, że mimo jego podeszłego wieku, niepełnosprawności i słabego zdrowia świat utracił coś wraz z jego odejściem. Nie miała pojęcia, jaki był w interesach. Bezwzględny, opryskliwy, niezwykle władczy i agresywny. Wielki despota, ale... też i dobry przyjaciel. Gdzieś głęboko tkwiło w nim coś na kształt dobroci, której starał się nigdy nie pokazywać na zewnątrz. Człowiek, którego podziwiała i szanowała. No cóż, z żalem myślała o jego śmierci i miała nadzieję, że odejście nie było trudne. Teraz na pewno zostanie poddany kremacji i umieszczony w jakimś okazałym, marmurowym grobowcu.

Nawet nie wiedziała, czy był żonaty. Nigdy nie wspominał o żonie ani dzieciach. Czyżby samotnik? Być może życie pochłaniało go do tego stopnia, że nie odczuwał samotności.

Tego popołudnia długo rozmyślała o Rafaelu. Po powrocie do Anglii nie spodziewała się już więcej go ujrzeć i nigdy faktycznie nie zobaczyła. Gdyby wtedy zaproponował jej ponowne spotkanie... Jednak teraz nie odstępowało jej dziwne wrażenie, że w jakiś sposób był jej bliski. Czyżby dlatego, że wspólnie

uratowali komuś życie? A może łączyło ich coś innego...

- Tak... - stwierdziła, porażona tym, co sobie uświadomiła. - Czyżby łączyło nas zamiłowanie do bezwzględności? Czy Jane Marple, mogłaby być bezwzględna? - zapytała samą siebie. - Niesamowite, nigdy dotąd o tym nie myślałam! Jestem pewna, że potrafiłabym być bezwzględna...

Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich ciemna czupryna z kręconymi włosami. Była to Cherry, następczyni panny Bishop-Knight.

- Czy pani coś mówiła? - zapytała.

- Mówiłam do siebie - odrzekła panna Marple. - Zastanawiałam się właśnie, czy potrafiłabym być bezwzględna.

- Kto, pani? - zdziwiła się Cherry. - Nigdy! Pani jest samą łagodnością.

- A jednak - powiedziała - uważam, że mogłabym okazać bezwzględność w obronie słusznej sprawy.

- Co pani nazywa "słuszną sprawą"?

- Sprawiedliwość - odrzekła.

- Muszę przyznać, że była pani bezwzględna wobec małego Gary'ego Hopkinsa - stwierdziła Cherry. - Kiedy przyłapała go pani, jak znęcał się nad swoim kotem. Nie wiedziałam, że może pani kogoś tak potraktować! Śmiertelnie go pani przestraszyła, naprawdę! Na długo to zapamiętał.

- Mam nadzieję, że nie męczył już więcej kotów.

- Jeśli to robił, to upewniał się, że nie ma pani w pobliżu - odpowiedziała Cherry. - Właściwie nigdy

nie widziałam tak przerażonego chłopaka. Patrząc na te pani śliczne robótki, każdy uznałby panią za osobę najłagodniejszą na świecie. Ale uważam, że gdyby sytuacja panią do tego zmusiła, zmieniłaby się pani w prawdziwą lwicę.

Panna Marple miała pewne wątpliwości. Nie bardzo widziała siebie w roli, w której obsadziła ją Cherry. Czyżby rzeczywiście... Zamyśliła się, przywołując różne sytuacje. Faktycznie, drażniła ją ta panna Bishop-Knight ("Doprawdy, nie można aż tak mylić nazwisk!"). Jednak jej rozdrażnienie znajdowało wyraz w mniej lub bardziej ironicznym docinkach. Zapewne lwy nie bywały takie. Zachowanie drapieżników nie miało nic wspólnego z ironią. Lew ryczał, atakował, potem rozszarpał ofiarę i chyba szybko ją pożerał.

- Doprawdy - powiedziała głośno - nie sądzę, abym kiedykolwiek zachowała się w ten sposób.

Podczas wieczornej przechadzki po ogrodzie, czując wzrastające rozdrażnienie, panna Marple raz jeszcze rozważała ten problem. Prawdopodobnie przypomniał jej

o tym widok lwich paszczy. Tyle razy powtarzała staremu George'owi, że chce lwie paszcze w kolorze jasnożółtym zamiast tych okropnych purpurowych, które jej ogrodnik najwyraźniej wyjątkowo lubił.

- Jasnożółte - powtórzyła na głos panna Marple.

Osoba, która przechodziła dróżką obok jej domu, odezwała się zza płotu:

- Przepraszam, czy pani coś mówiła?

- Obawiam się, że mówiłam do siebie - odrzekła, odwracając głowę, aby wyrzeć za płot. Stała tam jakaś nieznajoma, a panna Marple знаła przecież większość mieszkańców St. Mary Mead. Jeśli nie osobiście, to przynajmniej z widzenia. Była to krępa kobieta w zniszczonej, tweedowej spódnicy i solidnych wiejskich butach. Miała na sobie turkusowy sweter i wełniany, zrobiony na drutach szal.

- Niestety, zdarza się to osobom w moim wieku - dodała panna Marple.

- Ma pani ładny ogród - stwierdziła tamta kobieta.

- Nie jest szczególnie ładny, odkąd nie mogę sama się nim zajmować - odrzekła.

- Rozumiem, co pani czuje. Pewnie pracuje u pani jeden z tych... hm, znalazłabym wiele określeń, najczęściej obraźliwych dla tych staruszków, którzy uważają, że znają się na ogrodnictwie. Czasem się znają, a czasem nie mają o tym pojęcia. Przychodzą, piją ciągle herbatę i raz na jakiś czas wyrwą kilka chwastów. Niektórzy z nich są całkiem sympatyczni, ale mimo wszystko człowiek może stracić do nich cierpliwość. - Potem dodała: - Ja sama jestem całkiem niezłym ogrodnikiem

- Czy mieszka pani tutaj? - zainteresowała się panna Marple.

- Mieszkam u niejakiej pani Hastings. Chyba słyszałam, że wspominała coś o pani. Panna Marple, prawda?

- Tak, zgadza się.

- Pomagam jej trochę w ogrodzie. Tak przy okazji, nazywam się Bartlett. Panna Bartlett - przedstawiła się. - Nie mam tam zbyt wiele do roboty - wyjaśniła. - Pani Hastings sadi głównie rośliny jednoroczne. To nie jest zajęcie, w które można się wgryźć - przy tych słowach uśmiechnęła się szeroko, pokazując zęby. - Oczywiście zajmuję się też różnymi innymi rzeczami. Robię zakupy i tak dalej. W każdym razie, gdyby potrzebowała pani kogoś do pracy w ogrodzie, mogę wpaść na godzinkę lub dwie. Być może okażę się lepsza niż wszyscy ogrodnicy, których pani miała. - Nie wymagam zbyt wiele - odpowiedziała panna Marple. - Najbardziej lubię kwiaty. Warzywami się nie zajmuję.

- Pani Hastings ma sporo warzyw. Nudne, ale potrzebne. No, to ja już pójdę.

Obrzuciła pannę Marple spojrzeniem od stóp do głów, jakby chciała ją sobie zapamiętać. Potem skinęła wesoło głową i podreptała dalej.

Hastings? Panna Marple nie potrafiła sobie przypomnieć nikogo o tym nazwisku. Na pewno pani Hastings nie była jej dobrą znajomą ani też osobą należącą do ich ogrodniczego towarzystwa. Zapewne mieszkała w którymś z tych nowych domów na końcu Gibraltar Road. W zeszłym roku znów sprowadziło się tam kilka rodzin. Westchnęła, spojrziała raz jeszcze z irytacją na lwie paszcze, przy okazji zauważyła kilka chwastów, które by chętnie wyrwała, oraz jeden czy dwa wybujałe pędy, które należałoby ściąć sekatorem. Wreszcie, wzdychając i

opierając się mężnie pokusie, okrążyła ogród i weszła do domu.

Wróciła myślami do Rafaela. Oboje, on i ona, byli niby... Jak brzmiał tytuł książki, którą tak bardzo lubiła cytować w czasach młodości? "Statki mijające się nocą".

- Całkiem trafne określenie - stwierdziła, kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać. - Statki mijające się nocą - powtórzyła.

Nocą poszła do niego poprosić o pomoc. Właściwie - zażądać pomocy. Nalegała, bo nie mogli zmarnować ani chwili. On zgodził się i od razu zabrał się do rzeczy. Może właśnie w tej sytuacji zachowała się jak lwica? Nie. To nieprawda. Nie czuła wtedy absolutnie gniewu. Domagała się tylko czegoś, co było bezwzględnie konieczne i co należało natychmiast wykonać. A on to zrozumiał.

Biedny pan Rafael. Statek, który minął ją nocą, był niezwykle interesujący. Kiedy ktoś przyzwyczaił się do jego opryskliwości, ten człowiek mógł okazać się nawet sympatyczny. .. Nie! Potrząsnęła energicznie głową. Rafael nikomu nie mógł się wydać sympatyczny. No cóż, musiała usunąć go ze swojej pamięci.

Statki mijające się nocą porozumiewają się ze sobą po drodze.

Tylko błysk i odległy sygnał, słyszalny w ciemności. Prawdopodobnie nigdy już o nim nie pomyśli.

Poszuka jeszcze wspomnienia w "Timesie". Nie podejrzewała jednak, aby mieli o nim napisać. Rafael

nie był chyba zbyt znaną postacią ani też sławną. Był tylko niezwykle bogaty. Naturalnie o wielu zmarłych wspomiano w prasie jedynie ze względu na ich zamożność. Jej zdaniem, bogactwo pana Rafiela nie należało jednak do tego rodzaju. Nie uważano go za wybitnego przemysłowca ani za wielkiego bankiera. On po prostu przez całe życie zarabiał ogromne ilości pieniędzy...

ROZDZIAŁ DRUGI

NEMEZIS ZNACZY PRZEZNACZENIE

I

Mniej więcej tydzień po śmierci Rafiela panna Marple znalazła na swoim śniadaniowym stolczku list. Oglądała go przez chwilę, zanim otworzyła. Domyślała się, że pozostałe dwa listy, które przyszły pocztą tego ranka zawierały rachunki lub pokwitowania wpłat. Tak czy inaczej, nic szczególnie ciekawego. Ale ten list mógł ją zainteresować. Stempel londyńskiej poczty, adres napisany na maszynie, podłużna, elegancka koperta. Panna Marple rozcięła ją starannie nożykiem do papieru, który zawsze trzymała pod ręką. Na górze widniał napis: "Broadribb i Schuster. Kancelaria adwokacka i notarialna. Bloomsbury, Londyn". W grzecznych słowach, właściwych dla stylu kancelarii prawniczej, poproszono ją, aby któregoś dnia, w przyszłym tygodniu, zechciała wstąpić do ich firmy w celu przedyskutowania propozycji, która mogłaby

okazać się dla niej korzystna. W czwartek, dwudziestego czwartego, sugerowano. Jeżeli jednak termin jej nie odpowiada, to niech ich łaskawie powiadomi, kiedy w najbliższej przyszłości spodziewa się być w Londynie. Dodali, że piszą jako prawnicy zmarłego pana Rafiela, który, jak się domyślają, był jej znajomym.

Panna Marple, zaintrygowana, zmarszczyła brwi. Wstała z łóżka jakby trochę wolniej niż zazwyczaj, rozmyślając o otrzymanym liście. Schodziła na parter eskortowana przez Cherry, która czekała cierpliwie, by upewnić się, że panna Marple nie upadnie, idąc sama po schodach. Była to jedna z tych staroświeckich klatek schodowych, gdzie schody skręcały w połowie pod ostrym kątem.

- Bardzo się o mnie troszczysz, Cherry - powiedziała panna Marple.

- Tak trzeba - odrzekła krótko Cherry. - Dobrzy ludzie to rzadkość.

- No, cóż, dziękuję za komplement - stwierdziła, bezpiecznie stawiając na dole nogę.

- Czy stało się coś złego? - zapytała Cherry. -

Wygląda pani na dosyć... przejętą, jeśli mogę tak powiedzieć.

- Nie, nic się nie stało - odparła panna Marple. - Dostałam właśnie dosyć niezwykły list z kancelarii adwokackiej.

- Chyba nikt nie pozywa pani do sądu? - spytała Cherry, która zwykła traktować listy od prawników jako nieuchronną zapowiedź nieszczęścia.

- Ależ skąd. Nie sądzę - odrzekła panna Marple. - Nic podobnego. Poprosili mnie tylko, żebym wstąpiła do nich w przyszłym tygodniu do Londynu.

- Może odziedziczyła pani majątek - powiedziała z nadzieją Cherry.

- Myślę, że to bardzo mało prawdopodobne.

- No, nigdy nic nie wiadomo - stwierdziła Cherry.

Panna Marple usiadła wygodnie na krześle i wyjmując robótkę z haftowanej torby, zastanawiała się nad prawdopodobieństwem odziedziczenia fortuny po Rafielu. Wydało jej się to jeszcze mniej możliwe niż w momencie, gdy rozmawiała z Cherry.

Pan Rafiel nie był tego rodzaju człowiekiem.

Nie mogła pojechać do Londynu w proponowanym terminie. Wybierała się wtedy na spotkanie Instytutu Kobiet, na którym rozmawiano o zbiórce pieniędzy na rozbudowę budynku. Napisała jednak do kancelarii, sugerując inną datę. We właściwym czasie nadeszła odpowiedź będąca ostatecznym potwierdzeniem wyznaczonego spotkania.

Zastanawiała się, jak też wyglądali panowie Broadribb i Schuster. List został podpisany przez J.R. Broadribba, który był zapewne starszym ze współników. Możliwe, że Rafiel zapisał jej w testamencie jakiś drobiazg, niewielki upominek, na przykład książkę o rzadkich okazach kwiatów, którą miał w bibliotece, a która, jego zdaniem, ucieszyłaby starszą panią, miłośniczkę ogrodów. Może była to broszka z kameą należąca kiedyś do jego ciotecznej babki. Bawiły ją takie fantazyjne przypuszczenia.

Były to jednak tylko fantazje, ponieważ w takiej sytuacji rola wykonawców testamentu - jeśli w ogóle ci adwokaci wyznaczeni zostali na wykonawców - polegałaby na doręczeniu pocztą odziedziczonej pamiątki. Nie prosiłoby jej na rozmowę.

- No, tak - stwierdziła - wszystkiego dowiem się w przyszły wtorek.

II

- Ciekawe, jaka ona jest - powiedział Broadribb do Schustera, zerkając na zegarek.

- Ma tu być za kwadrans - odparł Schuster. - Ciekawe, czy przyjdzie punktualnie.

- Na pewno. Starsze panie są znacznie bardziej pedantyczne niż dzisiejsza roztrzepana młodzież.

- Tęga czy szczupła? - chciał wiedzieć Schuster. Broadribb wzruszył ramionami.

- Rafael nigdy ci jej nie opisywał? - zapytał Schuster.

- Był wyjątkowo tajemniczy za każdym razem, kiedy o niej wspominał.

- Cała sprawa wydaje mi się bardzo dziwaczna - stwierdził Schuster. - Gdybyśmy wiedzieli chociaż trochę więcej... Co to wszystko ma znaczyć?

- Możliwe - Broadribb zastanawiał się głośno - że to ma coś wspólnego z Michaeliem.

- Co takiego? Po tylu latach? Niemożliwe. Skąd ci to przyszło do głowy? Czy on wspominał...

- Nie, o niczym nie wspominał. Nie podał żadnej wskazówki sugerującej, o co mu chodzi. Podyktował mi tylko instrukcje.

- Pod koniec życia zrobił się chyba trochę ekscentryczny...

- Nie, ani trochę. Jak zawsze jego mózg pracował bez zarzutu. W każdym razie stan fizyczny nigdy nie miał wpływu na umysł. W ostatnich dwóch miesiącach życia zarobił dodatkowe dwieście tysięcy funtów. Tak po prostu.

- Miał talent do robienia interesów - odparł Schuster z należnym szacunkiem. - Prawdziwy, wrodzony talent.

- Tak, wielki umysł finansowy - przyznał Broadribb z pewną melancholią. - Niestety, coraz trudniej spotkać takich ludzi.

Zadzwonął aparat stojący na biurku. Schuster podniósł słuchawkę, w której odezwał się kobiecy głos:

- Panna Jane Marple do pana Broadribba na umówione spotkanie.

Schuster spojrział na współnika i w niemym pytaniu uniósł brew. Broadribb skinął głową.

- Proszę ją wprowadzić - powiedział Schuster i dodał: - No, teraz zobaczymy.

Kiedy panna Marple weszła do pokoju, przywitał ją szczupły dżentelmen. Ten mężczyzna w średnim wieku o podłużnej, trochę melancholijnej twarzy musiał być panem Broadribbem. Jego wygląd stanowił swego rodzaju zaprzeczenie nazwiska*. W

pokoju znajdował się jeszcze drugi, trochę młodszy człowiek, o znacznie obfitszych kształtach. Miał czarne włosy, małe, przyjazne oczy i podwójny podbródek.

- Mój współnik, pan Schuster - przedstawił go Broadribb.

- Mam nadzieję, że schody nie dały się pani we znaki

- powiedział Schuster. "Najmniej siedemdziesiąt lat, ocenił ją w duchu, może nawet osiemdziesiąt".

- Zawsze brak mi tchu, gdy wchodzę po schodach.

- To stary budynek - powiedział Broadribb przepraszającym tonem. - Bez windy. No cóż, nasza firma istnieje od wielu lat... i być może nie wprowadzamy tak wielu udogodnień, jak oczekiwaliby nasi klienci.

- Ten pokój, na przykład, jest bardzo przytulny - zauważyła uprzejmie panna Marple.

Zajęła krzesło, które podsunął jej Broadribb.

Schuster dyskretnie opuścił pomieszczenie.

- Mam nadzieję, że jest pani wygodnie. Przysłonię lekko okno, dobrze? Słońce chyba za bardzo świeci pani w oczy.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Siedziała wyprostowana, zgodnie ze swoim zwyczajem. Miała na sobie lekki tweedowy kostium, sznur pereł i aksamitny toczek.

"Elegancka prowincjuszka - pomyślał Broadribb. - Pocziwa stara panna. Chyba jednak nie zwyczajna, roztrzepana staruszka - ma bystre spojrzenie.

Ciekawe, gdzie Rafiel ją poznał. Może to ciotka jakiegoś znajomego ze wsi?"

Kiedy przemykały mu przez głowę te myśli, prowadził uprzejmą konwersację na temat pogody i przykrych konsekwencji spóźnionych mrozów.

Dorzucił jeszcze parę uwag, które wydawały mu się odpowiednie jako swego rodzaju zagajenie.

Panna Marple udzielała stosownych odpowiedzi, spokojnie oczekując przejścia do właściwego tematu.

- Chciałaby pani wiedzieć, dlaczego zaprosiliśmy panią tutaj - zaczął Broadribb, przysuwając do siebie kilka dokumentów i uśmiechając się uprzejmie. - Słyszała już pani na pewno o śmierci pana Rafiela, a może przeczytała pani notatkę w prasie.

- Czytałam w prasie - odparła panna Marple.

- Jeśli dobrze rozumiem, zmarły był pani przyjacielem.

- Poznałam go dopiero rok temu - wyjaśniła. - W Indiach Zachodnich.

- Tak, pamiętam. Pojechał tam, zdaje się, dla podratowania zdrowia. Pomogło mu to trochę, jednak już wtedy był bardzo chory i niedołężny, o czym zapewne pani wie.

- Tak - potwierdziła.

- Dobrze go pani знаła?

- Nie - odparła. - Niezbyt dobrze. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu. Kilka razy rozmawialiśmy ze sobą. Po powrocie do Anglii już go nie spotkałam.

Wie pan, ja żyję spokojnie na wsi, a jego, jak przypuszczam, całkowicie pochłaniały interesy.

- No tak, prowadził je aż do... w zasadzie mógłbym powiedzieć: aż do dnia swojej śmierci - potwierdził Broadribb. - Wielki umysł finansowy.

- Nie wątpię - odrzekła. - Szybko zorientowałam się, że to w sumie bardzo... niepospolity człowiek.

- Nie wiem, czy domyśla się pani, na czym polega propozycja, którą mam przedstawić? Może pan Rafiel wspominał o tym?

- Nie mam pojęcia, co pan Rafiel mógłby mi zaproponować - przyznała.

- Niezwykle panią cenił.

- To miłe z jego strony, ale niezbyt uzasadnione - odparła. - Jestem zupełnie zwyczajną osobą.

- Zdaje sobie pani na pewno sprawę, że w chwili śmierci pan Rafiel był niezwykle bogatym człowiekiem. Jego ostatnia wola jest w zasadzie mało skomplikowana. Jakiś czas przed śmiercią wydał dyspozycje dotyczące majątku, wyznaczył precyzyjnie wszystkich spadkobierców.

- Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach to zwyczajna procedura - stwierdziła - chociaż zupełnie nie znam się na sprawach finansowych.

- Spotkaliśmy się tutaj w następującym celu - zaczął tłumaczyć Broadribb. - Otrzymałem polecenie, aby podać pani wysokość kwoty, jaka pod koniec roku stanie się pani własnością, jednak pod warunkiem, że przyjmie pani pewną propozycję, z którą teraz panią zaznajomię.

Wziął leżącą przed nim podłużną, zapieczętowaną kopertę i podał ją pannie Marple.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli sama pani przeczyta, na czym polega propozycja. Niech się pani nie spieszy, mamy czas.

Panna Marple nie spieszyła się. Wzięła od Broadribba nożyk do papieru, rozcięła kopertę, wyjęła jej zawartość - jedną kartkę pokrytą pismem maszynowym - i przeczytała. Potem złożyła papier, przeczytała ponownie i spojrzała na Broadribba.

- To bardzo nieprecyzyjne. Czy są jakieś dodatkowe wyjaśnienia?

- Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Miałem pani przekazać to pismo oraz wymienić wysokość zapisu: dwadzieścia tysięcy funtów, wolnych od podatku spadkowego.

Patrzyła na niego w milczeniu. Zaskoczenie odebrało jej mowę. Broadribb nie powiedział na razie nic więcej. Obserwował ją uważnie. Jej zdziwienie nie budziło wątpliwości. Było jasne, że nie spodziewała się niczego podobnego. Broadribb zastanawiał się, jak zabrzmiały jej pierwsze słowa. Spojrzała na niego szczerze i surowo, jak uczyniłaby któraś z jego ciotek. Kiedy przemówiła, w jej tonie brzmiał niemal wyrzut:

- To bardzo dużo pieniędzy - powiedziała.

- Nie są już warte tyle co kiedyś - odrzekł Broadribb i ledwie powstrzymał się, aby nie dorzucić: "Teraz wystarczy zaledwie na paszę dla kurczaków".

- Muszę przyznać, że jestem zaskoczona - stwierdziła panna Marple. - Naprawdę zaskoczona.

Wzięła do ręki dokument i raz jeszcze dokładnie przeczytała.

- Rozumiem, że zna pan treść listu? - zapytała.

- Tak, pan Rafiel osobiście mi go podyktował.

- Czy wyjaśnił panu coś jeszcze?

- Nie, niczego nie wyjaśnił.

- Pan jednak zapewne zasugerował, że byłoby lepiej, gdyby to zrobił - powiedziała odrobinę cierpkim tonem.

Broadribb uśmiechnął się nieśmiało.

- Ma pani rację. Tak właśnie zrobiłem.

Powiedziałem, że może mieć pani trudności z... z dokładnym zrozumieniem, o co mu chodzi.

- Bardzo pan spostrzegawczy - odparła panna Marple.

- Nie ma oczywiście potrzeby, aby już teraz udzieliła mi pani odpowiedzi.

- No tak. Muszę się nad tym poważnie zastanowić.

- Jak pani przyznała, to spora suma pieniędzy.

- Jestem już stara - stwierdziła. - Ludzie mówią: "w podeszłym wieku", ale "stara" to właściwsze określenie. Możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że nie dożyję końca roku i nie doczekam otrzymania pieniędzy, zakładając oczywiście, co wydaje się raczej wątpliwe, że zdołam na nie zapracować.

- Pieniądze przydają się w każdym wieku - odparł Broadribb.

- Tak, mogłabym przeznaczyć je na pewne cele dobroczynne - przyznała. - Zawsze znajdują się osoby, którym człowiek chciałby chociaż trochę pomóc, ale nie wystarczają mu na to jego własne środki. Nie będę ukrywać, że nie mam innych pragnień. Marzeń, na których realizację nigdy nie mogłam sobie pozwolić. Pan Rafiel zdawał sobie doskonale sprawę, że perspektywa spełnienia takich zachcianek sprawiłaby starszemu człowiekowi ogromną przyjemność.

- Rzeczywiście - potwierdził Broadribb. - Podróż zagraniczna, na przykład. W dzisiejszych czasach organizuje się tyle wspaniałych wycieczek. Spektakle teatralne, koncerty, kilka butelek dobrego wina w piwniczce.

- Moje zachcianki byłyby znacznie skromniejsze - wyznała. - Przepiórki - powiedziała powoli. - Dzisiaj tak trudno je dostać i są bardzo drogie. Miałabym ogromną ochotę na zjedzenie przepiórki, najlepiej całej na raz. Albo kupiłabym sobie pudełeczko mrożonych kasztanów, na które mnie teraz nie stać. Może wybrałabym się do opery, a wtedy musiałbym opłacić także przejazd taksówką do Covent Garden i z powrotem oraz nocleg w hotelu.

- Dobrze, dość tych fantazji - przerwała. - Wezmę dokument i zastanowię się. Naprawdę, nie rozumiem, co też przyszło panu Rafielowi do głowy... Czy nie domyśla się pan, skąd się wzięła ta propozycja i jak ja mogłabym tu pomóc? Powinien pamiętać, że od naszego spotkania minęły prawie

dwa lata, a więc mogę być teraz znacznie słabsza i niezdolna do rozwinięcia tych skromnych talentów, które być może wówczas wykazałam. Ryzykował. Są przecież osoby znacznie lepiej przygotowane do podjęcia tego typu dochodzenia.

- Szczerze mówiąc, też tak sędzę - przyznał. - On jednak wybrał właśnie panią, panno Marple. Zechce mi pani wybaczyć tę niezdrową ciekawość, ale czy w jakikolwiek sposób... jakby to powiedzieć... czy była pani związana z wymiarem sprawiedliwości?

- Ściśle rzecz ujmując, nie - odrzekła. - Nie zajmowałam się tym zawodowo. Nigdy nie byłam oficerem śledczym ani członkiem ławy przysięgłych, nie pracowałam też w agencji detektywistycznej. Mogę tylko dodać, panie Broadribb, że jedyne moje zetknięcie z wymiarem sprawiedliwości, co zresztą tłumaczyłoby pomysł pana Rafiela, nastąpiło w Indiach Zachodnich. On i ja wpadliśmy tam na trop pewnego przestępstwa. Było to dosyć nieprawdopodobne morderstwo.

- I wyjaśnili państwo tajemnicę zbrodni? - Ujęłabym to inaczej - odrzekła. - Pan Rafiel, dzięki sile swego charakteru, oraz ja, dzięki powiązaniu kilku oczywistych faktów, wspólnie zdołaliśmy zapobiec drugiemu morderstwu. Nie potrafiłabym zrobić tego sama, ponieważ byłam zbyt słaba, a pan Rafiel niepełnosprawny. Zadziałaliśmy jednak skutecznie razem, jako sprzymierzeńcy.

- Jeszcze jedno pytanie, panno Marple. Czy mówi coś pani słowo "Nemesis"?

- Nemezis? - powtórzyła z naciskiem. Nie miała wątpliwości. Niespodziewanie jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Tak - odpowiedziała. - To słowo zrozumiałe zarówno dla mnie, jak i dla pana Rafaela. Rozbawiło go, kiedy sama siebie określiłam tym mianem.

Broadribb spodziewałby się wszystkiego, tylko nie tego. Patrzył na pannę Marple z wyrazem takiego zaskoczenia, jakie malowało się na twarzy Rafaela tamtej nocy na Karaibach. Miła, całkiem inteligentna starsza pani. Ale żeby... Nemezis!*

- Zareagował pan bardzo podobnie - stwierdziła panna Marple i wstała.

- Jeśli znajdą się jakieś dodatkowe wskazówki, spodziewam się, że zawiadomi mnie pan. Byłoby zadziwiające, gdyby się nie pojawiły. Na razie nie mam najmniejszego pojęcia, co zgodnie z życzeniem pana Rafaela miałabym zrobić.

- Czy zna pani jego rodzinę, przyjaciół, jego...

- Nie. Mówiłam już panu. To znajomy z podróży. Poznaliśmy się na drugim końcu świata i zostaliśmy wplątani w bardzo zagadkową sprawę. To wszystko. Kiedy już chciała wychodzić, odwróciła się i zapytała:

- Pan Rafael miał sekretarkę, panią Esther Walters. Będzie to naruszenie tajemnicy klienta, jeśli spytam, czy zapisał jej coś w testamencie?

- Wykaz spadkobierców ukaże się w prasie - odrzekł.

- Mogę jednak odpowiedzieć twierdząco. A tak przy

okazji, pani Walters nazywa się teraz Anderson.
Wyszła ponownie za mąż.

- Miło mi to słyszeć. Była samotną wdową z dzieckiem. Zdaje się, że także świetną sekretarką. Dobrze rozumiała pana Rafiela. Sympatyczna osoba. Cieszę się, że otrzymała spadek.

Wieczorem tego samego dnia panna Marple siedziała w fotelu z pionowym oparciem, ze stopami wyciągniętymi w stronę kominka. Napalono w nim, ponieważ jak to zwykle bywało w Anglii, niespodziewanie nadciągnęła fala znacznego ochłodzenia. Z podłużnej koperty ponownie wyjęła otrzymany rano dokument. Czytała go wciąż z lekkim niedowierzaniem, mrużąc pod nosem raz po raz któreś słowo, jakby chciała, aby wryło jej się w pamięć.

Do Panny Jane Marple, zamieszkałej w miejscowości St Mary Mead.

Ten list zostanie Pani doręczony po mojej śmierci za pośrednictwem adwokata Jarnesa Broadribba.

Zatrudniłem go, aby zajmował się moimi prywatnymi sprawami prawnymi. To solidny i godny zaufania prawnik, ale jak większość przedstawicieli rasy ludzkiej, cierpi na niezdrową ciekawość. Nie zaspokoilem jej. W pewnym sensie sprawa ta pozostanie między Panią a mną. Nasze hasło, moja droga, brzmi: "Nemesis". Myślę, że nie zapomniała Pani, gdzie i w jakich okolicznościach wypowiedziała Pani to słowo.

W pracy zawodowej, która wypełniła znaczną część mojego długiego życia, nauczyłem się jednej rzeczy, ważnej przy zatrudnianiu ludzi. Człowiek powinien mieć dar, który predysponuje go do wykonywania jakiejś określonej pracy. Nie myślę tu o umiejętnościach ani doświadczeniu, tylko o wrodzonym talencie, dzięki któremu robi się coś lepiej niż inni.

Natomiast Pani, moja droga (jeśli mogę się tak do Pani zwracać), Pani ma naturalny dar do poszukiwania sprawiedliwości. Wrodzone poczucie sprawiedliwości sprawia, że potrafi pani rozpoznać przestępcę. Dlatego chciałbym, aby podjęła się Pani rozwiązania tajemnicy pewnego rorderstwa.

Zapisałem Pani pewną sumę, a jeśli uwzględni Pani moją prośbę i w wyniku dochodzenia przestępca zostanie wykryty, te pieniądze staną się Pani własnością. Wyzaczyłem Pani roczny termin na zrealizowanie tej misji. Nie jest Pani młoda, jednak jeśli wolno mi tak powiedzieć, bardzo "wytrzymała". Sądzę, że mogę wierzyć w przychylność losu, który pozwoli Pani przeżyć co najmniej kolejny rok.

Myślę, że praca ta nie wyda się Pani męcząca, gdyż ma Pani talent do rozwiązywania zagadek kryminalnych. Niezbędne fundusze na pokrycie kosztów działania będą Pani przekazywane, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba. Proponuję to Pani jako alternatywę wobec Pani obecnego życia.

Wyobrażam sobie Panią siedzącą w wygodnym fotelu, odpowiednim dla tego typu reumatyzmu, na

który Pani cierpi. Zakładam, że każda osoba w Pani wieku skarży się na jakieś reumatyczne schorzenia. Jeżeli narzeka Pani na bóle kolan i kręgosłupa, sporo czynności sprawia Pani kłopot, dlatego większość czasu robi Pani na drutach. Wyobrażam sobie Panią w obłoku różowej wełny, tak jak wtedy na Karaibach, gdy zerwała mnie Pani ze snu i zażądała pomocy.

Widzę, jak robi Pani na drutach kolejne swetry, szale i całe mnóstwo innych rzeczy, których nie potrafię nazwać. Jeśli zdecyduje Pani nadal je robić, to Pani sprawa. Jeżeli jednak wybierze Pani poszukiwanie sprawiedliwości, mam nadzieję, że okaże się to przynajmniej interesujące.

Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów i prawość jak potok nie wysychający wyleje! Księga Amosa.*

ROZDZIAŁ TRZECI

PANNA MARPLE ZACZYNA DZIAŁAĆ

Panna Marple przeczytała list trzykrotnie. Potem odłożyła go i zmarszczywszy lekko brwi, rozważała znaczenie tych słów.

Najpierw pomyślała, że znalazła się w całkowitej pustce informacyjnej. Czy nadejdzie jakaś' bardziej precyzyjna wiadomość od Broadribba? Była niemal pewna, że nie. To nie pasowało do planów pana Rafiela. Jakże jednak mógł oczekiwać podjęcia przez nią działania w sprawie, o której nic nie wiedziała.

Intrygujące. Po kilku kolejnych minutach doszła do wniosku, że Rafael chciał ją zaintrygować. Wróciła myślą do krótkiego okresu ich znajomości. Pamiętała to wieczne niezadowolenie schorowanego człowieka i rzadkie chwile dobrego nastroju. Rafael uwielbiał dokuczać ludziom. Czowała, że dobrze się bawił kosztem Broadribba, drażniąc jego wrodzoną ciekawość, czego dowodem był ten list.

W tekście nie znalazła najmniejszej choćby wskazówki, niczego, co mogłoby jej w jakikolwiek sposób pomóc.

Stwierdziła, że Rafael po prostu nie zamierzał jej pomagać. Miał chyba inny plan. Jednak nie mogła podjąć się sprawy, o której nic nie wiedziała. To tak, jakby kazał jej rozwiązywać krzyżówkę bez opisanych haseł. Musiała je poznać. Powinna wiedzieć, czego od niej oczekiwał i dokąd miałyby jechać. Czy chciał, aby rozwiązywała problem, siedząc w fotelu z robótką na drutach, która pomoże jej się lepiej skoncentrować, czy też zaplanował dla niej lot do Ameryki Południowej lub rejs do Indii Zachodnich? Mogła albo czekać na dokładne instrukcje, albo sama zdobyć informacje. Być może uważał, że jest na tyle inteligentna, aby sama wszystko odgadnąć. Nie, to przecież niemożliwe, aby tak myślał.

- Jeśli tak uważa, to jest starym bałwanem! - zawołała -to znaczy był...

Jednak wcale tak o nim nie myślała.

- Na pewno otrzymam wskazówki - stwierdziła. - Ale jakie i kiedy to nastąpi?

Właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że nieświadomie zdecydowała się przyjąć zlecenie. Odezwała się ponownie, kierując słowa w niebo:

- Wierzę w życie pozagrobowe - rzekła. - Nie wiem dokładnie gdzie, ale nie wątpię, że gdzieś pan jest. Zrobię co w mojej mocy, aby spełnić pańskie życzenia.

II

Trzy dni później panna Marple napisała do pana Broadribba krótki, treściwy list.

Szanowny Panie!

Po rozważeniu przedstawionej mi propozycji, pragnę poinformować Pana, że zdecydowałam się przyjąć zlecenie. Uczynię co w mojej mocy, aby wypełnić wolę zmarłego pana Rafiela, chociaż nie jestem pewna, czy potrafię. W zasadzie wydaje mi się to zupełnie niemożliwe. Nie otrzymałam praktycznie żadnych wskazówek. Jeżeli ma Pan dla mnie jakieś bardziej szczegółowe instrukcje, będę wdzięczna za przesłanie ich. Przypuszczani jednak, że skoro Pan tego nie zrobił, to nic takiego nie istnieje.

Zakładam, że przed śmiercią pan Rafiel był w pełni władz umysłowych. Sądzę, że mam także prawo spytać, czy interesował się ostatnio jakąś sprawą kryminalną, która miałaby związek z jego życiem

zawodowym lub osobistym. Czy widział Pan, aby kiedykolwiek okazywał niezadowolenie w związku z jakimś niesprawiedliwym wyrokiem sądowym? Jeżeli pamięta Pan coś takiego, proszę mnie o tym powiadomić. Czy kogoś z jego bliskich lub krewnych spotkała ostatnio krzywda lub stał się ofiarą w sprawie kryminalnej?

Jestem pewna, że rozumie Pan powody, które skłaniają mnie do zadawania takich pytań. Pan Rafael również mógł oczekiwać, że to uczynię.

III

Broadribb pokazał list Schusterowi. Tamten przechylił się na krześle i zagwizdał.

- Zamierza zająć się tą sprawą? Energiczna staruszka! - przyznał. Po chwili dodał: -

Przypuszczam, że nie wie, co się za tym kryje?

- Wygląda na to, że nie - odparł Broadribb.

- Szkoda, że my także nic nie wiemy - powiedział Schuster. - To był jednak dziwny człowiek.

- Raczej skomplikowany - odrzekł Broadribb.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - przyznał Schuster - a tobie?

- Mnie też nie - odpowiedział Broadribb i dorzucił:

- Przypuszczam, że o to mu chodziło.

- No tak, ale w ten sposób wszystko skomplikował.

Nie widzę najmniejszej szansy, aby jakaś staruszka z prowincji potrafiła odczytać myśli nieżyjącego człowieka i rozszyfrować, jakie dręczyły go

problemy. Nie sądzisz, że chciał wywieść ją w pole? Nabrać ją dla żartu. Być może uważał, że pozjadała wszystkie rozумы, rozwiązując swoje prowincjonalne zagadki i postanowił dać jej nauzkę...

- Nie - odrzekł Broadribb. - Nie sądzę. To nie w stylu Rafiela.

- Czasami był diablo złośliwy - przypomniał Schuster.

- Tak, ale myślę, że tę sprawę traktował poważnie. Coś go rzeczywiście martwiło. Jestem tego pewien.

- Ale nie powiedział ci, o co chodzi, ani nawet nie zasugerował?

- Nie.

- A więc, do diabła, jakim cudem spodziewał się... - wybuchnął Schuster.

- Zastanawiam się, czego oczekiwał od niej - powiedział wolno Broadribb.

- To po prostu żart, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Dwadzieścia tysięcy funtów to sporo pieniędzy.

- Tak, ale jeśli wiedział, że ona nie może ich zdobyć?

- Nie postąpiłby tak niehonorowo - stwierdził Broadribb. - Musiał wierzyć, że ma szansę, aby wyjaśnić tę sprawę. Czegokolwiek by dotyczyła.

- A co my mamy robić?

- Czekać - odparł Broadribb. - Czekać i obserwować, co będzie dalej. W końcu coś musi się wydarzyć.

- Ale masz jeszcze jakieś zapieczętowane instrukcje, prawda?

- Mój drogi Schusterze - powiedział Broadribb. - Pan Rafiel miał do mnie całkowite zaufanie. Wierzył w moją dyskrecję i etykę zawodową prawnika. Te zapieczętowane instrukcje mają zostać otwarte tylko w ściśle określonych okolicznościach, jednak jak dotąd jeszcze nic takiego się nie zdarzyło.
- I nigdy się nie zdarzy - oświadczył Schuster, kończąc rozmowę na ten temat.

IV

Broadribb i Schuster byli w tej dobrej sytuacji, że mogli zająć się swoimi sprawami zawodowymi. Panna Marple nie miała tyle szczęścia. Robiła na drutach i rozmyślała. Chodziła też na spacer, za które była zresztą strofowana przez Cherry.

- Pamięta pani, co powiedział lekarz. Nie powinna się pani przemęczać.
- Spaceruję bardzo powoli - odrzekła panna Marple - i oprócz tego nic nie robię. Nie kopię i nie pielęgnuję. Po prostu stawiam jedną nogę za drugą i rozmyślam nad pewnymi sprawami.
- Jakimi sprawami? - zapytała ciekawie Cherry.
- Sama chciałabym wiedzieć - odparła panna Marple i poprosiła Cherry o przyniesienie drugiego szala, ponieważ wiał chłodny wiatr.
- Zastanawiam się, co ją trapi - powiedziała Cherry do męża, stawiając przed nim talerz z ryżem i cynaderkami.
- Kuchnia chińska - oświadczyła.

Jej mążonek skinął z zadowoleniem głową.

- Z każdym dniem gotujesz coraz lepiej - przyznał.

- Martwię się o nią - rzekła Cherry. - Martwię się, ponieważ ona też czymś się martwi. Dostała list, o którym nie może przestać myśleć.

- Potrzeba jej po prostu spokoju - powiedział mąż Cherry. - Powinna nie przejmować się, wypożyczyć nowe książki z biblioteki albo zaprosić kilku przyjaciół.

- Ona ciągle nad czymś rozmyśla - stwierdziła Cherry.

- Planuje coś, zastanawia się nad jakimś problemem. Tak ja to widzę.

Na tym skończyła rozmowę, wzięła tacę z kawą i zaniósła do pokoju panny Marple.

- Czy znasz niejaką panią Hastings, która mieszka w którymś z nowych domów? - zapytała panna Marple.

- Albo pannę Bartlett, która podobno mieszka u niej?

- Ma pani na myśli ten dom na końcu miasteczka, który został odnowiony i przemalowany? Te panie mieszkają w nim od niedawna i nie wiem, jak się nazywają. A dlaczego pani pyta? Nie wydają się interesujące.

- Czy są ze sobą spokrewnione? - zapytała panna Marple.

- Nie, to chyba znajome.

- Zastanawiam się dlaczego... - panna Marple nie dokończyła.

- Dlaczego co?

- Nic, właściwie nic. Uprzątnij mój sekretarzyk. Przynieś mi pióro i papier. Chcę napisać list.

- Do kogo? - spytała Cherry z właściwą sobie ciekawością.

- Do siostry pewnego pastora - wyjaśniła panna Marple. - Pastor nazywa się Canon Prescott.

- To ten, którego poznała pani w Indiach Zachodnich? Pokazywała mi pani jego zdjęcie w albumie.

- Tak, ten.

- Ale dobrze się pani czuje, prawda? Pisze pani nagle do pastora...

- Wyjątkowo dobrze - odparła panna Marple. - Chciałabym tylko zająć się pewną sprawą, a panna Prescott może mi w tym pomóc.

Droga Panno Prescott - pisała Jane Marple - mam nadzieję, że przypomina mnie Pani solne. Poznałam Panią i Pani brata w Indiach Zachodnich, na wyspie St. Honord. Mam nadzieję, że brat Pani czuje się dobrze i że w czasie ostatniej chłodnej zimy nie dokuczała mu za bardzo astma.

Piszę z prośbą o przesłanie mi adresu pani Esther Walters, którą pamięta Pani zapewne z pobytu na Karaibach. Była sekretarką pana Rafiela. Data mi kiedyś swój adres, ale gdzieś mi się niestety zawieruszył. Chciałabym do niej napisać w związku z pewnymi problemami ogrodniczymi, których nie potrafiłam jej wtedy wyjaśnić. Słyszałam, że wyszła powtórnie za mąż. Są to jednak informacje z drugiej ręki. Możliwe, że wie Pani na ten temat więcej niż ja.

Mam nadzieję, że nie sprawiam Pani moją prośbą zbyt wiele kłopotu.

Serdecznie pozdrawiam Panią i Pani brata. Łączę wyrazy szacunku

JANE MARPLE

Po napisaniu listu panna Marple poczuła się znacznie lepiej. - Przynajmniej zaczęłam coś robić. - stwierdziła. - Nie spodziewam się po tym liście zbyt wiele, ale może czegoś się dowiem.

Panna Prescott była solidną osobą, odpisała niemal natychmiast. Przysłała sympatyczny list i podała adres, o który prosiła panna Marple.

Nie miałam bezpośredniego kontaktu z panią Esther Walters - pisała Joan Prescott - ale słyszałam od znajomych, że widzieli w prasie notatkę o jej powtórnym ślubie. O ile wiem, nazywa się teraz Alderson lub Anderson. Mieszka w Winslow Lodge, niedaleko Alton, w Hants. Przekazuję Pani serdeczne pozdrowienia od brata. Szkoda, że mieszkamy tak daleko od siebie: my w północnej Anglii, a Pani na południe od Londynu. Mam nadzieję, że nadarzy się w przyszłości okazja, aby się spotkać.

Z pozdrowieniami

JOAN PRESCOTT

- Winslow Lodge, Alton - powtórzyła panna Marple, zapisując adres. - To niedaleko stąd. Właściwie całkiem blisko. Mogłabym tam pojechać na

przykład... taksówką - stwierdziła. - Pomysł trochę ekstrawagancki, ale jeśli coś z tego wyniknie, miałabym prawo do zwrotu kosztów podróży. Napisać do niej czy pozostawić wszystko przypadkowi? Chyba jednak lepiej będzie zdać się na los. Biedna Esther, nie wspomina mnie najlepiej. Panna Marple zatopiała się w rozmyślaniach. Całkiem prawdopodobne, że jej akcja na Karaibach ocaliła Esther życie. W niedalekiej przyszłości mogła zostać zamordowana. Tak w każdym razie uważała panna Marple, ale Esther najwyraźniej nie uwierzyła w to wszystko.

Miła osoba, ale niestety należała do tych kobiet, które znajdują sobie niewłaściwych mężów. Potrafiłaby nawet wyjść za mordercę, gdyby tak się właśnie ułożyło.

- A jednak wydaje mi się - powiedziała panna Marple cicho - że uratowałam jej życie. Właściwie jestem tego pewna, ale Esther nie zgodziłaby się z tym. Chyba bardzo mnie nie lubi, co utrudni wykorzystanie jej jako źródła informacji. Można jednak spróbować. Lepsze to niż beczynnienie czekać. Czy pan Rafael, pisząc ten list, zabawił się moim kosztem? Nie był szczególnie życzliwy ludziom i nie liczył się z ich uczuciami.

- W każdym razie - spojrzała na zegarek i postanowiła, że położy się wcześniej spać - jeżeli człowiek rozmyśla o czymś przed snem, noc często przynosi rozwiązanie. Może tym razem też tak będzie.

- Dobrze pani spała? - zapytała Cherry, stawiając na stoliku przy łóżku tacę z poranną herbatą.

- Miałam niezwykły sen - odpowiedziała panna Marple.

- Koszmar?

- Nie, nie. Rozmawiałam z kimś, kogo nie znam. Nagle spojrzałam na tę osobę i stwierdziłam, że to zupełnie inny człowiek niż ten, z którym zaczęłam rozmowę. Bardzo dziwne.

- Rzeczywiście, niesamowite - potwierdziła Cherry.

- To mi się z czymś kojarzy - rzekła panna Marple - właściwie z pewną osobą, którą kiedyś znałam.

Zamów dla mnie taksówkę u Incha, dobrze? Niech przyjedzie około jedenastej trzydzieści.

Firma Incha istniała jeszcze za czasów młodości panny Marple. Pan Inch, pierwszy właściciel, już nie żył. Firmę odziedziczył i rozwinął jego czterdziestoczteroletni syn, Inch junior, dokupując dwa używane samochody i warsztat. Po jego śmierci interes przejęli nowi właściciele. Nazwy się zmieniały, od Samochodów Pipa, Taksówek Jamesa, po Wypożyczalnię Arthura, ale starsi mieszkańcy zawsze mówili o firmie Incha.

- Nie wybiera się chyba pani do Londynu?

- Nie. Zjem lunch w Haslemere.

- Cóż to za pomysł? - Cherry spojrzała podejrzliwie.

- Zamierzam spotkać kogoś przypadkowo i chcę, żeby wyglądało to naturalnie - wyjaśniała panna

Marple. - To niełatwe, ale mam nadzieję, że wykonalne.

Wpół do dwunastej taksówka już czekała. Panna Marple wydała Cherry następujące polecenie:

- Zadzwoń pod ten numer i zapytaj, czy pani Anderson jest w domu. Powiedz, że chciałby z nią rozmawiać pan Broadribb. Ty będziesz jego sekretarką. Jeśli wyszła, dowiedz się, o której godzinie wróci.

- A jeśli ona odbierze?

- Zapytaj, czy w przyszłym tygodniu mogłaby się spotkać z panem Broadribbem w jego londyńskiej kancelarii. Jeśli poda datę, zanotuj ją i odłóż słuchawkę.

- O co w tym wszystkim chodzi?! Dlaczego chce pani, żebym ja zadzwoniła?

- Pamięć płata różne figle - stwierdziła. - Zdarza się, że pamiętamy głos nie słyszany od ponad roku.

- A tamta pani nigdy nie słyszała mojego?

- Nigdy. Dlatego właśnie ty do niej dzwonicz. Cherry wykonała polecenie. Dowiedziała się, że pani Anderson wyszła na zakupy, ale wróci na lunch i przez całe popołudnie będzie w domu.

- To ułatwi sprawę. Czy Inch już jest? Ach, tak.

Witaj, Edwardzie - powiedziała panna Marple do kierowcy firmy Taksówki Arthura, który faktycznie nazywał się George.

- Chciałabym pojechać w pewne miejsce. To nie zajmie nam chyba więcej niż półtorej godziny.

Kości zostały rzucone.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ESTHER WALTERS

Esther Anderson wyszła z supermarketu. Idąc w stronę stojącego na parkingu samochodu stwierdziła, że zaparkowanie auta staje się z każdym dniem trudniejsze. Nagle zderzyła się z jakąś kulejącą staruszką, która nadeszła z przeciwka. Przeprosiła ją, na co tamta zawołała zaskoczona:

- Coś takiego! To przecież pani Walters! Esther Walters, prawda? Przypuszczam, że nie pamięta mnie pani. Jestem Jane Marple. Poznałyśmy się kiedyś na St. Honora. Minęło już chyba półtora roku od tamtej pory.

- Panna Marple? Ależ, tak! Co za niespodzianka!

- Cieszę się, że panią widzę. Niedaleko stąd jestem umówiona na lunch z przyjaciółmi, ale później będę przejeżdżać przez Alton. Czy będzie pani po południu w domu? Chętnie wstąpiłabym na krótką pogawędkę. Miło spotkać dawną znajomą.

- Tak, oczywiście. Zapraszam. Po trzeciej będę w domu przez cały czas.

Spotkanie zostało więc zaplanowane.

- Coś takiego, Jane Marple! - pani Andersen uśmiechnęła się do siebie. - Zabawne. Myślałam, że już dawno nie żyje.

Panna Marple zadzwoniła do Winslow Lodge* dokładnie o wpół do czwartej. Drzwi otworzyła sama Esther i wprowadziła ją do środka. Jane Marple

usiadła na wskazanym krześle. Zaczęła kręcić się niespokojnie, jak zwykle, gdy była zdenerwowana lub chciała sprawiać takie wrażenie. Jeśli rozmowa miała przebiegać według planu, trzeba było trochę poudawać.

- Tak miło znów panią widzieć - odezwała się. - Wie pani, uważam, że na tym świecie zdarzają się dziwne rzeczy. Mam nadzieję na powtórne spotkanie z kimś, myślę o tej osobie, mija jakiś czas i nagle... taka niespodzianka!

- No, tak. Mówią, że świat jest mały.

- Rzeczywiście. A wydaje się taki wielki. Indie Zachodnie znajdują się przecież daleko stąd.

Mogłam panią spotkać wszędzie: w Londynie u Harrodsa, na stacji kolejowej albo w autobusie. Tyle jest miejsc, w których można się na siebie natknąć.

- Tak, tyle różnych miejsc - potwierdziła Esther. - Na pewno nie spodziewałabym się pani spotkać właśnie tutaj. Zdaje się, że nie są to pani rodzinne strony.

- Mieszkam, w St. Mary Mead. W zasadzie to niezbyt daleko stąd, tylko czterdzieści kilometrów. Z drugiej strony sporo, jak na wiejskie warunki. Zwłaszcza jeśli nie ma się samochodu, a ja oczywiście nie mogę sobie na to pozwolić, zresztą nie umiem prowadzić. Spotykam się więc tylko z sąsiadami, do których mogę dojechać autobusem, znacznie rzadziej wybieram się na przejażdżkę taksówką.

- Świetnie pani wygląda - zauważyła Esther.

- To samo zamierzałam właśnie powiedzieć o pani, moja droga. Nie miałam pojęcia, że mieszka pani tak blisko.
- Mieszkam tu od niedawna. Dokładnie od mojego ślubu.
- Och, nie wiedziałam! Gratuluje. Musiałam chyba przeoczyć notatkę w prasie. Zawsze czytam tę rubrykę.
- Jestem zamężna od czterech czy pięciu miesięcy - wyjaśniła. - Nazywam się teraz Anderson.
- Pani Anderson - powtórzyła panna Marple. - Spróbuję zapamiętać. A kim jest pani małżonek? "Byłoby nienaturalne, gdybym nie spytała o męża, pomyślała. Stare panny są ciekawskie".
- Jest inżynierem. Prowadzi firmę Time and Motion Branch. Jest... - zawahała się - trochę młodszy ode mnie.
- To bardzo dobrze - zareagowała natychmiast panna Marple. - Tak, moja droga. W dzisiejszych czasach mężczyźni starzeją się znacznie szybciej niż kobiety. Wiem, wiem, kiedyś się o tym nie mówiło, ale to prawda. Myślę, że zajmują się zbyt wieloma sprawami jednocześnie. Są nerwowi, za dużo pracują i nic dziwnego, że potem mają nadciśnienie, kłopoty z sercem albo wrzody żołądka. Moim zdaniem, my, kobiety, nie przejmujemy się tak wszystkim. Nasza płeć jest chyba odporniejsza.
- Możliwe - Esther uśmiechnęła się, a panna Marple odetchnęła z ulgą. Ostatnim razem, kiedy ją widziała, miała wrażenie, że Esther jej nienawidziła.

Całkiem prawdopodobne, że nadal tak było. Może jednak odczuwała odrobinę wdzięczności, ponieważ zdała sobie sprawę, że zamiast wieść szczęśliwe życie u boku pana Andersena, mogła teraz spoczywać na jakimś ładnym przykościelnym cmentarzu.

- Wygląda pani na szczęśliwą - stwierdziła.

- Pani także, panno Marple.

- No, cóż. Jestem coraz starsza i dokuczają mi rozmaite dolegliwości. Tak naprawdę to nic poważnego, ale starzy ludzie zawsze cierpią na reumatyzm. Stopy już nie takie jak dawniej, czasami pobolewa krzyż, ramiona albo dłonie. Ale proszę wybaczyć, moja droga, nie powinnam mówić o takich rzeczach. Śliczny ma pani dom.

- Dziękuję. Mieszkam tu od niedawna.

Wprowadziliśmy się jakieś cztery miesiące temu.

Panna Marple rozejrzała się wokół. Tak jak przypuszczała, Esther urządziła się w wielkim stylu.

Drogie, wygodne i bardzo luksusowe meble.

Wspaniałe zasłony i obicia. Niezbyt gustowne, ale tego można się było spodziewać. Znała chyba źródło tej wystawności. Miało to zapewne związek z okazałym spadkiem odziedziczonym przez Esther po panu Rafielu. Dobrze, że nie zmienił zdania.

- Przypuszczam, że widziała pani notatkę o śmierci pana Rafiela - zapytała Esther, jakby odgadując myśli panny Marple.

- Tak, widziałam. Ukazała się jakiś miesiąc temu, prawda? Przykro mi. To smutne, ale pan Rafiel

liczył się chyba z myślą o śmierci. Wspominał o tym kilkakrotnie i zachowywał się bardzo dzielnie.

- To prawda. Był dzielnym i naprawdę dobrym człowiekiem - rzekła Esther. - Kiedy zaczęłam u niego pracować, powiedział, że dostanę wysoką pensję, ale będę musiała oszczędzać, bo nie powinnam się spodziewać niczego więcej. Zawsze dotrzymywał słowa, lecz tym razem najwyraźniej zmienił zdanie.

- No, tak. Miło mi to słyszeć. Spodziewałam się... Nic mi oczywiście na ten temat nie mówił, ale myślałam, że...

- Zostawił mi duży spadek - przyznała Esther. - Zaskakująco wysoką sumę. Zrobił mi ogromną niespodziankę. Na początku nie mogłam w to uwierzyć.

- On chyba chciał zrobić pani niespodziankę. Taki właśnie był - zauważyła panna Marple, a potem spytała: - Czy zapisał coś panu., jakże się nazywał ten masażysta?

- Myśli pani o Jacksonie? Nie, nic mu nie zostawił, ale proszę mi wierzyć, że w ostatnim roku obdarowywał go hojnie prezentami.

- Czy widziała się pani jeszcze potem z Jacksonem?

- Nie. Nie spotkaliśmy się po powrocie z Karaibów. Po przyjeździe do Anglii nie pracował już u pana Rafiela. Zdaje się, że zatrudnił się u jakiegoś lorda, który mieszka w Jersey albo Guernsey.

- Żałuję, że nie spotkałam więcej pana Rafiela - przyznała panna Marple. - Wszyscy wplątaliśmy się

w tamtą dziwną sprawę. Pani, on i ja oraz kilka innych osób. Po powrocie do domu i upływie paru miesięcy zrozumiałam, jak bardzo zbliżyliśmy się do siebie w tych trudnych chwilach oraz jak mało w rzeczywistości wiedziałam o panu Rafielu.

Pomyślałam też o tym po przeczytaniu jego nekrologu w gazecie. Żałuję, że nie zdołałam poznać go bliżej. Nie dowiedziałam się, skąd pochodził, jakich miał rodziców, ile dzieci, jacy byli jego dalsi krewni. Bardzo jestem tego ciekawa.

Esther Andersen uśmiechnęła się nieznacznie, spojrzała na pannę Marple, a jej oczy zdawały się mówić: "Nie wątpię, że chce pani wiedzieć takie rzeczy o każdej poznanej osobie", ale powiedziała tylko:

- Jedyne, czego wszyscy byli pewni to...

- ...że był bardzo bogaty - dokończyła natychmiast panna Marple. - Zdaje się, że to chciała pani powiedzieć. Kiedy wiadomo, że ktoś jest bogaty, nie pyta się o nic więcej. Mówi się o nim tylko: "bardzo bogaty" albo "niesamowicie bogaty", zniżając przy tym głos, ponieważ już same te słowa robią wielkie wrażenie. Czy nie tak się dzieje, kiedy spotykamy jakiegoś bogacza?

Esther uśmiechnęła się.

- Pan Rafiel nie był chyba żonaty? Nigdy nie wspominał o żonie.

- Stracił ją wiele lat temu. Niedługo po tym, jak się pobrali. Zdaje się, że była znacznie młodsza od niego i zmarła na raka. Smutna historia.

- Mieli dzieci?

- Tak. Syna i dwie córki. Jedna z nich jest mężatką i mieszka w Ameryce. Druga umarła młodo.

Spotkałam kiedyś tę z Ameryki. Zupełnie niepodobna do ojca: cicha, znerwicowana młoda kobieta - przerwała. - Pan Rafael nigdy nie wspominał o synu. Myślę, że miał z nim jakieś kłopoty. Skandal czy coś takiego. Syn zmarł chyba kilka lat temu. W każdym razie jego ojciec nigdy o nim nie mówił.

- Mój Boże, przykra sprawa.

- To zdarzyło się dosyć dawno temu. Zdaje się, że potem syn pana Rafaela dokądś wyjechał, może za granicę? Nigdy już nie wrócił, pozostał tam do śmierci.

- Jego ojciec bardzo się tym przejął?

- Trudno powiedzieć - wyjaśniła Esther. - Należał do tych osób, które nie chcą pamiętać o swoich niepowodzeniach. Jeżeli syn zawiódł jego oczekiwania i zamiast pociechą stał się zaklą rodziwy, ojciec po prostu wzruszył ramionami. Przypuszczam, że zachowywał się, jak należało, a więc posyłał mu pieniądze, ale nie myślał o nim więcej.

- To ciekawe - zastanawiała się panna Marple. - Nigdy nie mówił nic na ten temat?

- Pamięta pani chyba, że nie wspominał zbyt często o swoich uczuciach i życiu prywatnym.

- No tak, oczywiście. Myślałam jednak, że swojej wieloletniej sekretarce zwierzał się czasami z kłopotów.

- Nie należał do osób, które się zwierzają - powiedziała Esther. - Wątpię też, czy w ogóle miał jakieś problemy. Można powiedzieć, że ożenił się ze swoją pracą. Stała się jego domem i rodziną. Interesy były jedynymi dziećmi, na których mu zależało. Uwielbiał to, co robił: inwestowanie, obracanie pieniędzmi...

- Dopiero gdy ktoś umrze, uznajemy go za szczęśliwego - mruknęła pod nosem swoją złotą myśl panna Marple, po czym głośno zapytała:

- A więc przed śmiercią nie miał żadnych poważnych zmartwień?

- Nie, a dlaczego pani pyta? - Esther była zaskoczona.

- Bez żadnego specjalnego powodu - wyjaśniła. - Zastanawiałam się nad tym, ponieważ ludzie bardziej przejmują się różnymi rzeczami, kiedy się starzeją... Oczywiście pan Rafiel nie był bardzo stary, ale wie pani, o co mi chodzi. Łatwiej się czymś zamartwiać, kiedy człowiek leży przykuty do łóżka, nie może już pracować jak dawniej i jeszcze nie wolno mu się denerwować. Wtedy zmartwienia same przychodzą do głowy i nie dają mu spokoju.

- Rozumiem, co pani ma na myśli - odrzekła Esther. - Ale pan Rafiel nie był taki. Zresztą przestałam u niego pracować już jakiś czas temu. Kilka miesięcy po poznaniu Edmunda.

- Ach, tak. Pani męża. Pan Rafael musiał się zmartwić pani odejściem.**
- Och, nie sędzę. Nie przejmował się takimi rzeczami. Zatrudnił po prostu nową sekretarkę, a jeśli mu nie odpowiadała, pozbył się jej kulturalnie i postarał o kogoś innego, dopóki nie znalazł odpowiedniej osoby. Był wyjątkowo praktyczny.**
- Tak, wiem. Pamiętam jednak, że łatwo tracił panowanie nad sobą.**
- Ależ on uwielbiał się złościć! Lubił czuć się reżyserem takiej dramatycznej scenki.**
- Mówi pani o dramatycznych scenach - powiedziała z namysłem panna Marple. - Czy sądzi pani, że... Często o tym rozmyślałam. Czy pan Rafael interesował się jakoś szczególnie kryminalistyką? To znaczy, czy czytał coś na ten temat? On przecież... No nie wiem, jak to powiedzieć.**
- Myśli pani o tym zdarzeniu na Karaibach? - głos Esther zabrzmiał nagle ostro.**
- Panna Marple zwątpiła w sens dalszego wypytywania, ale musiała przecież spróbować dowiedzieć się czegoś.**
- No cóż, nie tylko o to chodzi. Chyba interesowały go takie sprawy z psychologicznego punktu widzenia. Przypadki niesprawiedliwości... - brzmiało to coraz gorzej.**
- Dlaczego miałby się tym zajmować? Przestańmy mówić o tych okropnych wydarzeniach!**
- Ależ oczywiście. Ma pani rację. Naprawdę niezwykle mi przykro. Zainteresowało mnie tylko**

coś, o czym pan Rafiel czasami wspominał, robił dziwne aluzje, mówił półsłówkami... Zastanawiałam się po prostu, czy miał jakieś szczególne poglądy na temat łamania prawa i karania przestępców.

- Jego zainteresowania ograniczały się do spraw finansowych - ucięła Esther. - W wypadku przestępstw mogło go jedynie zaciekawić sprytne oszustwo podatkowe.

Nadal patrzyła zimno na pannę Marple.

- Przykro mi - powiedziała tamta przepraszająco. - Naprawdę nie powinnam mówić o tych drażliwych sprawach, które na szczęście dawno mamy za sobą. Muszę już iść - oświadczyła. - Najwyższy czas, jeśli chcę zdążyć na pociąg. Co ja zrobiłam z torebką, moja droga? Ach, jest tutaj.

Krzętała się niezgrabnie, szukając torebki, parasolki i kilku innych drobiazgów. Czekwała, aż opadnie trochę nieprzyjemne napięcie. Kiedy ruszyła w stronę wyjścia, odwróciła się do Esther, która namawiała ją na kolejną herbatę.

- Dziękuję, moja droga, ale nie mam już czasu. Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze kiedyś. Serdecznie gratuluję zamążpójścia i życzę wszystkiego dobrego. Nie będzie pani chyba w najbliższej przyszłości szukała nowej posady.

- Raczej nie. Niektórzy mnie namawiają. Mówią, że to nudne, kiedy się nie pracuje, że lepiej czymś się zająć. Ja jednak chciałabym cieszyć się moją swobodą. Korzystam z pozostawionego mi przez pana Rafiela spadku. To miłe z jego strony i myślę,

że on też chciałby właśnie tego. Byłby zadowolony, nawet jeżeli pieniądze miałyby zostać wydane na jakieś niepoważne kobiece zachcianki: kosztowne stroje, nowe fryzury i tak dalej, chociaż z pewnością nie uznałby tego za rozsądne.

Potem dodała niespodziewanie:

- Wie pani, bardzo go lubiłam. Tak, naprawdę go lubiłam. Jego zachowanie było dla mnie pewnym wyzwaniem. Trudno się z nim współpracowało i dlatego sprawiało mi przyjemność obłaskawianie go.

- Kierowanie nim?

- No cóż, nie nazwałabym tego kierowaniem, ale miałam na niego chyba większy wpływ, niż przypuszczał.

Panna Marple ruszyła szybkim krokiem. Odwróciła się już na ulicy i pomachała ręką do stojącej na schodach i uśmiechniętej pani Anderson, która odpowiedziała jej tym samym.

- Myślałam, że ta sprawa może mieć z nią coś wspólnego - powiedziała do siebie panna Marple. - Jednak raczej się myliłam. Nie sędzę, aby w jakikolwiek sposób była w to zamieszana. O Boże, czuję, że Rafael spodziewał się po mnie więcej sprytu. Oczekiwał, że powiązę ze sobą pewne fakty. Ale jakie fakty? Co robić? - potrząsnęła bezradnie głową.

Trzeba było przemyśleć jeszcze raz wszystko dokładnie. Otrzymała zlecenie. Mogła zdecydować, czy odmówić, czy przyjąć je i rozwiązać problem. Właściwie nie tyle szukać rozwiązania, ile działać bez planu, mając nadzieję na otrzymanie dodatkowych

wskazówek. Przymknęła na chwilę oczy i spróbowała przywołać obraz Rafaela. Ujrzała go, jak siedział w hotelowym ogrodzie na Karaibach, ubrany w letni garnitur. Grymas niezadowolenia na twarzy przerywały przebłyski dobrego humoru. O czym naprawdę myślał, kiedy planował całe to przedsięwzięcie? Chciał ją zwabić nagrodą, przekonać do przyjęcia zlecenia czy raczej zmusić do tego? W wypadku Rafaela, trzecia możliwość była najbardziej prawdopodobna. Jeżeli zależało mu na rozwiązaniu problemu, dlaczego wybrał właśnie ją? Czy zlecił jej to dlatego, że akurat o niej pomyślał? No dobrze, ale dlaczego przyszła mu na myśl? Wróciła pamięcią do wydarzeń na St. Honora. Czy sprawa, o której myślał przed śmiercią, skojarzyła mu się w jakiś sposób z Karaibami? Czy miało to związek z osobami, które tam wówczas przebywały, mogły stać się świadkami lub uczestnikami jakiegoś zdarzenia i dlatego Rafael pomyślał o niej? Czy o to chodziło? A jeśli nie, dlaczego ona przyszła mu na myśl? Co w niej takiego dostrzegł, że pozwoliło uznać ją za osobę przydatną? Była przecież zwyczajną staruszką, niezbyt sprawną fizycznie i nie tak spostrzegawczą jak dawniej. Na czym miałyby polegać jej wyjątkowe zdolności? Nic nie przychodziło jej do głowy. Czy możliwe, żeby sobie po prostu z niej zażartował? Nie mogła wykluczyć, że Rafael chciał z niej zadrwić, nawet będąc na łożu śmierci. Odpowiadałoby to zapewne jego specyficznemu poczuciu humoru.

- A jednak muszę mieć jakieś wyjątkowe predyspozycje - rzekła do siebie z przekonaniem. - W końcu skoro pan Rafael definitywnie odszedł z tego świata, taki żart nie sprawiłby mu satysfakcji. - Jakież to predyspozycje? Jakim sposobem mogłabym się komuś na coś przydać? - zastanawiała się.

Przyjrzała się sobie krytycznie. Przede wszystkim zadawała wiele pytań. Po osobach w jej wieku ludzie spodziewają się takiej natarczywości. Można oczywiście polecić zebranie potrzebnych informacji prywatnemu detektywowi. Jednak znacznie łatwiej wysłać starszą panią, która lubi wtykać nos w cudze sprawy, nie wzbudzając podejrzeń, kiedy za dużo mówi i pyta.

- Wścibska staruszka - stwierdziła. - Teraz rozumiem. Wiele jest takich staruszek i wszystkie wydają się do siebie podobne. Oczywiście jestem zupełnie zwyczajna. Przeciętna, trochę roztrzepana starsza pani. Świetny kamuflaż. Ciekawe, czy prawidłowo rozumiuję. Niekiedy potrafię właściwie ocenić nowych ludzi, ponieważ przypominają mi tych, których już znam. Mogę rozszyfrować ich cechy charakteru, ich wady i zalety. O to chodzi. Pomyślała ponownie o wyspie St. Honora i hotelu Pod Żółtą Palmą. Próbowwała zrozumieć, jaki ta historia mogłaby mieć związek z tym, co mówiła Esther Walters. Wizyta u niej była chyba bezsensowna. Z tego, co usłyszała panna Marple, nie

wynikało nic nowego. Nic, co miałoby związek ze zleconą jej, nadal bardzo tajemniczą, sprawą.

- Mój Boże - westchnęła. - Ależ z pana męczący człowiek - powiedziała z wyraźnym wyrzutem.

Później, kiedy znalazła się już w łóżku z gorącym termoforem na obolałym krzyżu, zwróciła się do Rafaela ponownie. Tym razem tonem usprawiedliwienia:

- Zrobiłam, co mogłam.

Mówiła jak do kogoś, kto znajdował się w pokoju.

Rafael mógł być oczywiście wszędzie, wierzyła jednak w istnienie jakiejś telepatycznej więzi między sobą a nim. Postanowiła więc powiedzieć wszystko, co leżało jej na sercu.

- Zrobiłam, co w mojej mocy. Wykorzystałam wszelkie możliwości. Teraz zdaję się na pana.

Po tych słowach ułożyła się wygodnie, zgasiła światło i zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

WIADOMOŚĆ Z ZAŚWIATÓW

I

Kilka dni później nadszedł kolejny list. Panna Marple zrobiła to, co zwykle: przyjrzała się kopercie, stempelowi, charakterowi pisma i stwierdziwszy, że to nie rachunek, otworzyła. List został napisany na maszynie.

Droga Panno Marple,

kiedy przeczyta Pani ten list, nie będzie mnie już na tym świecie. Dobrze, że moje ciało zostanie pochowane, a nie poddane kremacji. Człowiek obrócony w popiół i umieszczony w okazalej urnie z brązu nie mógłby raczej nawiedzać żywych, gdyby przyszła mu na to ochota. Możliwość straszenia wydaje się bardzo kusząca. Czy zamierzam to robić? Kto wie? Na pewno chciałbym nawiązać kontakt z Panią.

Liczę, że do tej pory moi prawnicy porozumieli się z Panią i przedłożyli określoną propozycję. Mam nadzieję, że przyjęła ją Pani. Jeśli nie, proszę nie mieć wyrzutów sumienia. To Pani wybór.

Jeżeli moi adwokaci zrobili, co im poleciłem, a poczta działała bez zarzutu, powinna Pani dostać ten list jedenastego dnia miesiąca. Dwa dni później otrzyma Pani wiadomość z biura podróży w Londynie. Mam nadzieję, że ich oferta zainteresuje Panią. Nie powinienem wyjaśniać więcej.

Proszę mieć oczy i uszy otwarte, a także uważać na siebie. Myślę, że potrafi Pani postępować rozważnie. Jest Pani bardzo sprytna. Życzę powodzenia i niech anioł stróż czuwa nad Panią. Może być potrzebny. Pani oddany przyjaciel J.B. Rafiel

- Dwa dni! - zawołała panna Marple. Nie mogła się doczekać'. Poczta i biuro podróży działały bez zarzutu. Wkrótce otrzymała następujący list:

Szanowna Panno Marple,

zgodnie z poleceniem zmarłego pana Rafiela, przesyłamy Pani program imprezy numer 37 - "Słynne posiadłości i ogrody Wielkiej Brytanii". Wycieczka wyrusza z Londynu siedemnastego, w najbliższy czwartek. Jeżeli mogłaby Pani przyjechać do naszego biura w Londynie, pilot wycieczki, pani Sandbourne, z przyjemnością udzieli Pani szczegółowych informacji i odpowie na wszystkie pytania.

Organizujemy wycieczki dwu-, trzytygodniowe. Zdaniem pana Rafiela, ta właśnie impreza zainteresowałaby Panią najbardziej, ponieważ obejmuje zwiedzanie pięknych ogrodów i posiadłości w części Anglii, której nie miała Pani chyba okazji oglądać. Pan Rafiel zamówił dla Pani najlepsze zakwaterowanie i wszelkie dostępne udogodnienia. Proszę nas zawiadomić, kiedy byłoby Pani najwygodniej odwiedzić biuro przy Berkeley Street.

Panna Marple złożyła list, schowała go do torebki i zadzwoniła do kilku swoich przyjaciół. Rozmawiała z dwiema osobami, z których jedna brała udział w takiej wycieczce i bardzo ją sobie chwaliła. Druga koleżanka nie była na wycieczce osobiście, ale miała znajomych, którzy korzystali z usług tego biura podróży i twierdzili, że impreza jest dosyć droga, ale znakomicie zorganizowana i niezbyt męcząca dla starszych osób. Potem zadzwoniła do biura na Berkeley Street i zawiadomiła, że zjawi się w

najbliższy wtorek. Następnego dnia powiedziała o wszystkim Cherry.

- Wyjeżdżam, Cherry. Wybieram się na wycieczkę.

- Na wycieczkę? - zapytała. - Na taką autokarową czy na wczasy zagraniczne?

- Nie, to nie jest wycieczka zagraniczna, tylko krajowa. Zwiedzanie angielskich zabytków i ogrodów.

- Czy myśli pani, że zwiedzanie to dobry pomysł w pani wieku? To może być bardzo męczące. Trzeba się czasami dużo nachodzić.

- Czuję się znakomicie - stwierdziła panna Marple. - Poza tym słyszałam, że na takich wycieczkach robi się częste odpoczynki dla uczestników o słabszej kondycji.

- No tak, ale przecież miała pani na siebie uważać - powiedziała Cherry. - Nie chciałabym, aby złapał panią atak serca, nawet jeśli teraz zdaje się pani tryskać zdrowiem. Proszę wybaczyć, ale jest pani chyba zbyt leciwa na tego typu wyprawę. Wiem, że nie zabrzmiało to grzecznie, ale nie chciałabym, żeby się pani coś stało.

- Potrafię sama się o siebie zatroszczyć - oświadczyła panna Marple z godnością.

- Dobrze, już dobrze, ale proszę na siebie uważać. Panna Marple zapakowała torbę podróżną, pojechała do Londynu i wynajęła pokój w przyzwoitym hotelu.

"Ach, gdyby to był hotel Bertram - marzyła. - Wspaniały hotel! Ale muszę o tym zapomnieć. St. George to także całkiem miłe miejsce".

O umówionej godzinie zjawiała się w biurze przy Berkeley Street, gdzie powitała ją sympatyczna, mniej więcej trzydziestopięcioletnia kobieta.

Powiedziała, że nazywa się Sandbourne i jest odpowiedzialna za przebieg wycieczki.

- Czy mam rozumieć, że... - panna Marple zawahała się - że ta wycieczka w moim wypadku jest...

Wyczuwając jej zakłopotanie, pani Sandbourne wyjaśniła:

- Ależ tak. Powinniśmy chyba wyraźniej napisać o tym w liście. Pan Rafiel pokrył wszystkie koszty.

- Wie pani, że on nie żyje?

- Tak, wiem. Wszystko zostało jednak załatwione przed jego śmiercią. Wspominał, że jest bardzo chory, ale chciałby sprawić przyjemność swojej dobrej znajomej, która nie może podróżować tak często, jakby chciała.

II

Dwa dni później panna Marple, powierzywszy nową, elegancką walizkę kierowcy, wsiadła z podręczną torbą do najwygodniejszego i najbardziej luksusowego autokaru, jaki jeździł po północno-zachodniej Anglii. Zaczęła od przeczytania listy pasażerów dołączonej do efektownego folderu, w którym podano szczegółowy program wycieczki,

informacje o hotelach, posiłkach, zwiedzanych obiektach oraz możliwościach indywidualnego rozplanowania czasu. Chociaż nie zostało to wyraźnie napisane, program składał się z dwóch wersji: jednej przeznaczonej dla osób młodszych i aktywniejszych, drugiej - dostosowanej do możliwości starszych, mniej sprawnych uczestników, którzy z powodu artretyzmu, reumatyzmu lub bolących stóp woleliby nie przemierzać długich dystansów i nie wspinać się ciągle na wzgórza, za to częściej odpoczywać. Wszystko zostało świetnie zaplanowane i taktownie opisane.

Panna Marple przeczytała listę uczestników i przyjrzała się towarzyszom podróży. Nie musiała się krępować, ponieważ pozostałe osoby robiły dokładnie to samo. Pasażerowie patrzyli również na nią, jednak nikt nie przyglądał jej się szczególnie uważnie. Czytała:

Pani Riseley-Porter

Panna Joanna Cmwford

Pan Pułkownik Walker i Pani Walker

Państwo H.T. Butlerowie

Panna Elisabeth Temple

Pan Profesor Wanstead

Pan Richard Jameson

Panna Lurnley

Panna Bentham

Pan Caspar

Panna Cooke

Panna Barroiu
Pan Emlyn Price
Panna Jam Marple

W autokarze znajdowały się cztery starsze panie. Panna Marple zwróciła uwagę najpierw na nie. Dwie podróżowały razem. Wyglądały na mniej więcej siedemdziesiąt lat. Trudno jednak byłoby uznać je za rówieśnice panny Marple. Jedna z nich, bardzo zasadnicza, była typem osoby wiecznie niezadowolonej. Chciała na przykład miejsce z przodu autokaru, ale gdyby siedziała z przodu, wolałaby z tyłu. Nie odpowiadała jej ani nasłoneczniona, ani zacieniona strona pojazdu. Narzekała na zbyt wiele albo zbyt mało świeżego powietrza. Panie miały ze sobą podróżne kocyki, robione na drutach szale i całą biblioteczkę przewodników. Były trochę niedołążne - narzekały na bóle stóp, kolan i krzyża. Jednak ani wiek, ani dolegliwości nie powstrzymały ich od korzystania z życia. Typowe wścibskie staruszki, lecz nie z gatunku domatorek. Panna Marple otworzyła notes i rozpoczęła swoje śledztwo.

Piętnastu pasażerów, wyłączając ją i panią Sandbourne. Skoro została wysłana na tę wycieczkę, przynajmniej jedna osoba powinna stać się w jakiś sposób ważna - albo jako źródło informacji, albo jako człowiek związany z wymiarem sprawiedliwości lub też wplątany w aferę kryminalną. Mógł to być nawet morderca - taki, który już popełnił zbrodnię

albo dopiero przygotowywał się do niej. Wszystkiego mogła się spodziewać po panu Rafielu. Tak czy inaczej powinna zrobić notatki.

Po prawej stronie wypisała nazwiska osób ważnych z punktu widzenia Rafiela, po lewej - tych, którzy mogli stać się przydatni dla niej samej, jako źródło informacji. Prawdopodobnie nawet nie zdawali sobie sprawy, że coś wiedzą lub nie przypuszczali, iż - dzięki posiadanym informacjom - mogą stać się pomocni dla niej, dla sprawy Rafiela czy dla wymiaru sprawiedliwości, pisanej przez duże "S". Wieczorem zamierzała zapisać z tyłu notesu uwagi o poznanych osobach, zwłaszcza jeśli przypominały jej kogoś z przeszłości. Takie podobieństwa to dobry punkt zaczepienia. Sprawdzały się już przy innych okazjach.

Pozostałe starsze panie, obie koło sześćdziesiątki, nie podróżowały razem. Jedna z nich, bardzo zadbana i dobrze ubrana kobieta, o donośnym, władcym głosie, wyraźnie miała wysokie mniemanie o sobie i tak też postrzegali ją inni. Towarzyszyła jej siostrzenica, mniej więcej osiemnastoletnia, która mówiła do tamtej: "ciociu Geraldine". Panna Marple zauważyła, że dziewczyna była atrakcyjna, sprytna i nieźle sobie radziła z despotyzmem ciotki. Miejsce po przeciwnej stronie panny Marple zajmował potężny mężczyzna o niezgrabnej sylwetce i kwadratowych ramionach. Przypominał ludzika pośpiesznie złożonego z zabawkowych klocków. Jego twarz wyglądała tak, jakby natura chciała uczynić ją

owalną, ale twarz wolą być kwadratowa i utworzyła na dodatek ogromną szczękę. Miał dużą głowę, siwiejące włosy i krzaczaste brwi, które unosiły się i opadały w zależności od tego, o czym mówił. Wypowiadane przez niego słowa tworzyły krótkie serie przypominające warknięcia groźnego psa. Jego sąsiadem był wysoki, ciemnowłosy cudzoziemiec, który żywo gestykulował i nie mógł usiedzieć spokojnie. Mówił w osobliwy sposób, wtrącając do angielskich zdań francuskie bądź niemieckie zwroty. Przysadzisty pan, dostosowując się do tych wypowiedzi, uprzejmie przechodził na francuski lub niemiecki. Przyglądając się im, panna Marple doszła do wniosku, że ten z krzaczastymi brwiami to profesor Wanstead, a nadpobudliwy cudzoziemiec to zapewne pan Caspar. Chciałaby wiedzieć, o czym z takim ożywieniem dyskutowali, ale potoki słów Caspara nie były zrozumiałe. Przed nimi siedziała jeszcze jedna starsza pani, która miała sześćdziesiąt, a może nawet więcej lat. Typ osoby, która zawsze wyróżniała się w tłumie: wysoka, wciąż bardzo przystojna o ciemnosiwych, upiętych wysoko włosach odsłaniających dumne czoło. Miała niski, czysty i dźwięczny głos. Panna Marple pomyślała, że to niezwykła osobowość. Na pewno była kimś znaczącym. Przypominała jej panią Emily Waldron, która była dziekanem Oxford College i wybitnym naukowcem. Panna Marple, chociaż widziała tę osobę tylko raz, zresztą w

towarzystwie siostrzeńca, nie potrafiła jej zapomnieć.

Kontynuowała przegląd pasażerów. Były tam jeszcze dwa małżeństwa w średnim wieku: jedno amerykańskie - zapaleni turyści, sympatyczna, gadatliwa żona i spokojny, uległy mąż - oraz para angielska. Tych ostatnich panna Marple bez wahania rozszyfrowała jako oficera w stanie spoczynku i panią Walker.

Na fotelu za nią siedział wysoki, szczupły mężczyzna około trzydziestki, który wypowiadał się precyzyjnie, używając technicznego słownictwa, zapewne inżynier architekt. W głębi zauważyła dwie panie w średnim wieku, podróżujące razem. Dyskutowały o programie wycieczki, omawiając przewidziane atrakcje. Jedna z nich była szczupłą brunetką, druga, bardziej okrągła, blondynką. Twarz blondynki wydała się pannie Marple znajoma. Zastanawiała się, gdzie mogła ją widzieć, ale nie potrafiła sobie przypomnieć. Zapewne spotkała ją na jakimś przyjęciu lub siedziała kiedyś obok niej w pociągu. Nie zdarzyło się to jednak w żadnych szczególnych okolicznościach.

Pozostał jeszcze jeden człowiek do zanalizowania - młodzieniec mniej więcej dwudziestoletni, ubrany odpowiednio do swego wieku: w wąskie czarne dżinsy i purpurowy sweter polo. Nosił bujną, ciemną czuprynę celowo pozostawioną w nieładzie.

Wykazywał zainteresowanie siostrzenicą apodyktycznej starszej pani, a dziewczyna

odwzajemniała mu się tym samym. Mimo znaczącej przewagi wścibskich staruszek i statecznych pań w średnim wieku wśród pasażerów znalazło się jednak dwoje bardzo młodych ludzi.

Na lunch zatrzymali się w miłym, przytulnym hotelu położonym na rzece. Tego popołudnia mieli w planie zwiedzanie Blenheim, które panna Marple widziała już dwukrotnie, dlatego aby zaoszczędzić siły, ograniczyła ilość oglądanych wnętrz i dosyć szybko zajęła się podziwianiem ogrodów oraz pięknych widoków.

Zanim dotarli do hotelu, w którym mieli się zatrzymać na noc, wszyscy już zdążyli się poznać. Było to zasługą energicznej, niezmordowanej pani Sandbourne, która nie tylko oprowadzanie wycieczki, ale i wszystkie pozostałe obowiązki wykonywała znakomicie. Organizowała małe grupki, do których dołączała każdego, kto wydawał się zagubiony, szepcząc mu do ucha uwagi w rodzaju: "koniecznie musi pan zapytać pułkownika Walkera o jego ogród, on ma wspaniałą kolekcję fuksji". Tym właśnie sposobem udało jej się zintegrować grupę. Panna Marple umiała już przyporządkować wszystkie nazwiska do odpowiednich osób. Tak jak przypuszczała, ten z krzaczastymi brwiami to profesor Wanstead, a cudzoziemiec nazywał się Caspar.

Apodyktyczna starsza kobieta nazywała się Riseley-Porter, jej siostrzenica zaś - Joanna Crawford. Młodzieniec z czarną czupryną to Emlyn Price.

Emlyn i Joanna odkrywali, że mają wiele wspólnych poglądów na życie, sztukę, politykę i ekonomię.

Łączyły ich też podobne zainteresowania.

Panna Marple stwierdziła, że dwie stare panny,

Lumley i Bentham, są jednakowo zrzedliwe. Z

upodobaniem rozmawiały o artretyzmie,

reumatyzmie, dietach oraz leczeniu zarówno

środkami medycznymi, jak i domowymi sposobami,

które sprawdzały się, gdy wszystkie inne zawiodły.

Dyskutowały o swoich licznych podróżach po

Europie, wymieniając uwagi na temat hoteli i agencji

turystycznych. Wreszcie rozmawiały także o swoim

rodzinnym hrabstwie Somerset, gdzie niezwykle

trudno było znaleźć dobrego ogrodnika.

Dwie panie w średnim wieku podróżujące razem

nazywały się Cooke i Barrow. Panna Marple nadal

uważała, że twarz jednej z nich, jasnowłosej panny

Cooke, była znajoma, ale wciąż nie mogła sobie

przypomnieć, gdzie ją widziała. Możliwe, że jej się

tylko wydawało. Miała też wrażenie, że obie panie

unikały jej obecności, odchodząc na bok, gdy tylko

się zbliżała. Oczywiście mógł to być jedynie wytwór

jej fantazji.

Piętnaście osób, z których przynajmniej jedna

powinna być ważna. Podczas wieczornej pogawędki

wspomniała przypadkowo nazwisko Rafiela, mając

nadzieję, że ktoś na nie zareaguje. Nikt jednak tego

nie zrobił.

Nikt też, zdaniem panny Marple, nie wyglądał na potencjalnego mordercę, może z wyjątkiem Caspara, ale to chyba fałszywe uprzedzenia.

Przystojna starsza kobieta, Elisabeth Temple, okazała się emerytowaną dyrektorką słynnej szkoły dla dziewcząt.

Szczupły, młody mężczyzna, Richard Jameson, był rzeczywiście architektem.

- Jutro będzie lepiej - pocieszała się panna Marple.

III

Kiedy położyła się do łóżka, czuła się naprawdę wykończona. Zwiedzanie było przyjemne, ale wyczerpujące. Jeszcze bardziej zmęczyło ją obserwowanie kilkunastu osób równocześnie i rozszyfrowywanie, która z nich mogłaby być zamieszana w przestępstwo. Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, ponieważ wszyscy wyglądali na zwykłych, sympatycznych turystów, a jednak musiał istnieć ktoś taki. Dlatego panna Marple postanowiła potraktować sprawę poważnie i po raz kolejny przebiegła wzrokiem listę pasażerów, rozmyślając i robiąc notatki.

Pani Riseley-Porter. Niezwiązana z przestępstwem.

Zbyt egoistyczna i zajęta różnymi sprawami.

Jej siostrzenica, Joanna Crawford - podobnie jak ciotka. Poza tym energiczna i sprytna.

Pani Riseley-Porter być może wie coś, co okazałoby się przydatne. Trzeba utrzymywać z nią dobre stosunki.

Panna Elisabeth Temple. Ciekawa osobowość. Nie przypominała żadnego znanego pannie Marple typu mordercy. Tak naprawdę promieniowała od niej uczciwość. Gdyby jednak dopuściła się zbrodni, byłaby to głośna sprawa. Morderstwo popełnione ze szlachetnych pobudek. Nie, to nie miało sensu. Elisabeth Temple doskonale przecież wiedziała, co robi i dlaczego. Nigdy nie przyszłyby jej do głowy podobne pomysły. W każdym razie jest ważna i być może Rafiel chciał, żeby ją poznać. Zapisała pospiesznie te spostrzeżenia po prawej stronie kartki.

Zmieniła sposób rozumowania. Do tej pory zastanawiała się nad potencjalnym mordercą, teraz jednak myślała, kto mógłby stać się ofiarą. Nie widziała jednak nikogo takiego. Ewentualnie pani Riseley-Porter, która była bogata i dość antypatyczna. Energiczna siostrzenica odziedziczyłaby spadek. Ona i anarchizmiecznie usposobiony Emlyn mogliby uknuć antykapitalistyczny spisek. Mało sensowne, ale nie przychodził jej na myśl żaden inny motyw. Profesor Wanstead. Interesujący człowiek, uprzejmy. Lekarz czy naukowiec? Trudno powiedzieć. Zdecydowała, że naukowiec. Nie miała co prawda pojęcia o nauce, ale wydawało jej się to dość prawdopodobne.

Państwo Butlerowie. Wykluczyła ich. Mili Amerykanie. Nie kojarzyli jej się z żadną znajomą osobą ani z wydarzeniami w Indiach Zachodnich. Nie przypuszczała, aby mogli mieć jakieś znaczenie. Richard Jameson. Ten szczupły architekt. Panna Marple nie wiedziała, jaki związek ze sprawą mogła mieć architektura, ale nie wykluczała tego. Sekretny pokój, na przykład. W jednym z domów, które mieli zwiedzać, mogła się znajdować kryjówka, a w niej szkielet. Pan Jameson, jako architekt, wiedziałby, gdzie go szukać. Pomogliby sobie nawzajem i wspólnie odnaleźli ciało.

- Coś podobnego! - zawołała - Ale bzdury przychodzą mi do głowy!

Cooke i Barrow. Obie całkiem zwyczajne. Jednak na pewno jedną z nich, pannę Cooke, gdzieś już widziała. No cóż, prędzej czy później sobie przypomni.

Pułkownik Walker i pani Walker. Sympatyczni. On, emerytowany żołnierz, służył głównie za granicą. Miło jej się z nim rozmawiało, ale nie przypuszczała, aby cokolwiek istotnego z tego wynikło.

Panny Bentham i Lumley. Wścibskie staruszki. Mało prawdopodobne, by okazały się kryminalistkami, ale znają mnóstwo plotek i mogą wiedzieć coś, co naświetliłoby sprawę. Mogą nawet wspomnieć o tym w rozmowie na temat chorób i lekarstw.

Pan Caspar. Typ potencjalnie niebezpieczny. Bardzo porywczy. Na razie zostanie umieszczony na liście.

Emlyn Price. Chyba student. Tacy potrafią być agresywni. Czy Rafiel wysłałby ją, aby śledziła studenta? Zależałoby od tego, co taki student zrobił lub zamierza zrobić. Przypuszczalnie anarchista.

- Mój Boże - panna Marple poczuła się nagle wykończona. - Muszę położyć się spać.

Bolały ją nogi i kręgosłup, umysł nie pracował już sprawnie. Zasnęła natychmiast. Miała dziwne sny. W jednym z nich ujrzała, że brwi profesora Wansteada odkleiły się, ponieważ były sztuczne. Kiedy się ocknęła, wydało jej się, jak to często bywa zaraz po przebudzeniu, że ten sen wyjaśnił wszystko.

- Oczywiście! - zawołała. - Ależ tak, on ma doklejane brwi. Wszystko jasne. To on jest przestępcą!

Niestety, po chwili doszła do wniosku, że sztuczne brwi profesora zupełnie niczego nie tłumaczyły.

Odechciało jej się spać. Usiadła na łóżku z nagłym postanowieniem. Westchnęła, założyła szlafrok, podeszła do krzesła, wyjęła z walizki większy notatnik i zabrała się do pracy.

Zadanie, którego się podjęłam, na pewno ma związek z jakimś przestępstwem - pisała. - Pan Rafiel zaznaczył to wyraźnie w swoim liście. Napisał, że mam wrodzone poczucie sprawiedliwości, co w naturalny sposób prowadzi do angażowania się w sprawy związane z łamaniem prawa. A więc chodzi o przestępstwo. Jednak nie o jakieś fałszerstwo, kradzież lub aferę szpiegowską, ponieważ takimi sprawami nigdy się nie zajmowałam i nie znam się

na tym. Pan Rafiel wiedział o mnie tylko to, co zapamiętał z naszego pobytu na St. Honord. Wplątaliśmy się tam oboje w morderstwo. Zbrodnie opisywane w prasie nigdy nie przyciągały mojej uwagi. Nie czytałam żadnych fachowych książek z zakresu kryminalistyki, ponieważ nigdy mnie to naprawdę nie interesowało. Po prostu trochę częściej niż innym ludziom, zdarzało mi się zetknąć z morderstwem, które miało jakiś związek z moim otoczeniem.

Takie dziwne zbiegi okoliczności zdarzają się w życiu. Pamiętam, że jedna z moich ciotek aż pięć razy znalazła się na tonącym statku. A pewną moją przyjaciółkę uważano za osobę przyciągającą wypadki. Niektórzy znajomi nie chcieli z nią wsiadać do samochodu. Brała udział w czterech wypadkach samochodowych spowodowanych przez taksówki, trzy razy rozbiła się, jadać zwykłym autem, a dwa inne wypadki to były katastrofy kolejowe. Takie rzeczy zdarzają się niektórym ludziom bez żadnej racjonalnej przyczyny.

Wolałabym tego nie pisać, ale zdaje się, że moja osoba przyciąga morderstwa. Dzięki Bogu nie padam ich ofiarą, ale zbrodnie zdarzają się w moim otoczeniu.

Panna Marple przerwała, usiadła wygodniej, wsunęła poduszkę pod plecy i pisała dalej:

Muszę spróbować przeprowadzić śledztwo, którego się podjęłam, jak najbardziej konsekwentnie.

Instrukcje, czy jak powiedzieliby znajomi wojskowi "rozkazy", są bardzo nieprecyzyjne, właściwie nie istnieją. Trzeba postawić sobie jedno wyraźne pytanie: "Czego cała sprawa dotyczy?". Moja odpowiedź brzmi: "Nie wiem".

Dziwna i intrygująca sprawa. Nie pasuje do kogoś takiego jak pan Rafiel, człowieka dobrze zorganizowanego i skutecznego w interesach. Chciał, żebym zgadywała, bym posłużyła się intuicją. Muszę bacznie obserwować, wsłuchiwać się w aluzje, podążać w nieokreślonym kierunku.

Sytuacja jest więc następująca:

Po pierwsze, otrzymam instrukcje z zaświatów.

Po drugie, mam wymierzyć sprawiedliwość.

Naprawić niesprawiedliwość z przeszłości, być może pomścić ją i ujawnić prawdę o zdarzeniu. Zgodnie z hasłem "Nemesis", na które powołał się pan Rafiel.

Po przedstawieniu mi propozycji otrzymałam pierwszą wyraźną wskazówkę. Przed śmiercią pan Rafiel opłacił mi wycieczkę po słynnych posiadłościach i ogrodach Anglii. Dlaczego? Na to pytanie powinnam znaleźć odpowiedź. Czy nasza sprawa ma związek z odwiedzanymi miejscami, a więc czy znajdę wskazówkę w którymś z domów, ogrodów lub miejsc widokowych? Wydaje się to mało prawdopodobne. Raczej chodzi o uczestników wycieczki. Nikogo nie znam osobiście, ale przynajmniej jedna osoba musi mieć związek z

zagadką. Ktoś z wycieczki wie coś, co doprowadzi mnie do ofiary, albo też sam jest mordercą, którego jeszcze nie podejrzewam.

Panna Marple przerwała nagle. Pokiwała głową. Teraz była zadowolona z przeprowadzonej analizy. A więc pora spać. Dopisała jeszcze jedno zdanie:

Na tym kończy się dzień pierwszy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY MIŁOŚĆ

Następnego dnia zwiedzali dworek królowej Anny. Podróż nie była ani długa, ani męcząca. Dworek wyglądał uroczo. Miał ciekawą historię oraz piękny, nietypowo usytuowany ogród.

Richard Jameson był pełen podziwu dla konstrukcji architektonicznej dworku, a ponieważ należał do tych młodych ludzi, którzy uwielbiają słuchać własnego głosu, zatrzymywał się niemal w każdym pomieszczeniu, analizując na przykład niezwykle kształt kominka i szczegółowo omawiając jego historię. Niektóre osoby początkowo chętnie słuchały objaśnień architekta, później jednak znużyły się tym monotonnym wykładem. Część z nich zaczęła dyskretnie zostawać z tyłu. Miejscowy przewodnik oprowadzający grupę nie był zadowolony z tego, że jego obowiązki przejął jeden ze zwiedzających. Kilkakrotnie usiłował dojść do głosu, ale pan

Jameson nie pozwalał sobie przerwać. Przewodnik spróbował ostatni raz:

- Proszę państwa - opowiadał - w tej sali, zwanej białym salonem, znaleziono kiedyś nieboszczyka. - Ciało młodego, zasztyletowanego mężczyzny leżało na dywaniku przy kominku. Wydarzyło się to w siedemnastym wieku, kiedy to lady Moffat miała podobno kochanka. Wszedł do niej bocznymi drzwiami, potem wspiał się po stromych schodkach i przez sekretne przejście dostał się do tego pokoju, tuż obok kominka. Mąż pani Moffat, sir Richard, miał być wówczas na morzu, w drodze do Niderlandów. Wrócił jednak niespodziewanie do domu i przyłapał tych dwoje na gorącym uczynku. Przewodnik przerwał i rozejrzał się z dumą, zadowolony z zainteresowania zwiedzających, którzy odetchnęli z ulgą, że nie muszą już słuchać wykładu z architektury.

- Jakież to romantyczne, prawda Henry? - zawołała pani Butler z charakterystycznym amerykańskim akcentem.

- Czy wyczuwasz tę niezwykłą atmosferę w pokoju? Ja ją naprawdę czuję.

- Mamie jest bardzo wrażliwa na atmosferę - oświadczył pan Butler wszystkim obecnym. - Pewnego razu, gdy byliśmy w takim starym domu w Luizjanie...

Pan Butler rozwijał opowieść o niezwykłej wrażliwości mamie, podczas gdy panna Marple oraz

kilka innych osób wykorzystało szansę i wymknęło się chyłkiem. Zeszli eleganckimi schodami na parter.

- Kilka lat temu mój przyjaciel przeżył ogromny wstrząs - powiedziała panna Marple do panny Cooke i Barrow, które znalazły się teraz obok niej. -

Pewnego ranka znalazł w swojej bibliotece leżącego na podłodze nieboszczyka.

- Ktoś z rodziny? - zainteresowała się panna Barrow.

- Może atak epilepsji?

- Nie, morderstwo. Ofiarą była nieznajoma dziewczyna w wieczorowej sukni. Farbowana blondynka. W rzeczywistości była brunetką... Och! - przerwała, wpatrując się w kosmyki włosów panny Cooke, które wymknęły się spod opaski.

Przypomniała sobie natychmiast. Wiedziała już, dlaczego twarz panny Cooke wydała jej się znajoma i gdzie ją zobaczyła. Wtedy jednak ta osoba miała ciemne, niemal całkiem czarne włosy, a teraz były one jasnozłote.

Po schodach szła pani Riseley-Porter i mówiła coś stanowczym głosem. Przepchnęła się obok nich, minęła klatkę schodową i skręciła do holu.

- Naprawdę nie jestem w stanie po raz kolejny wspinać się na górę - oświadczyła. - Takie oglądanie na stojąco i słuchanie jest bardzo męczące.

Spodziewam się, że w tutejszych ogrodach, może nie tak wspaniałych jak wnętrza, znajdzie się kilka ładnych klombów. Proponuję, abyśmy tam poszli. Niewiele tracimy. Wygląda na to, że niedługo się

zachmurzy i jeszcze przed południem będzie padać deszcz.

Ton, jakim wypowiedziała te uwagi, jak zwykle odniósł odpowiedni skutek. Wszyscy, którzy znajdowali się w zasięgu jej głosu, ruszyli posłusznie za nią. Minęli przeszklone drzwi sali jadalnej i wyszli do ogrodu, gdzie faktycznie znaleźli to, czego życzyła sobie pani Riseley-Porter. Ona sama mocno ujęła pod ramię pułkownika Walkera i oddaliła się szybkim krokiem. Niektórzy podążyli ich śladem, a pozostali rozeszli się w innych kierunkach.

Panna Marple ruszyła zdecydowanie w stronę ładnej, ogrodowej ławeczki. Usiadła wygodnie, wydając westchnienie ulgi. Tak samo postąpiła panna Elisabeth Temple, zajmując miejsce tuż obok.

- Zwiedzanie wewnątrz jest zawsze nużące - powiedziała panna Temple. - To najbardziej męczące zajęcie na świecie, zwłaszcza jeśli trzeba słuchać wykańczającego wykładu w każdej sali. - Naturalnie wszystko, co usłyszeliśmy, było bardzo ciekawe - stwierdziła panna Marple z odrobiną ironii.

- Tak pani sądzi? - zapytała Elisabeth Temple. Odwróciła głowę i spojrzała pannie Marple w oczy. Obie natychmiast wyczuły łączącą je nieporozumienia.

- A pani? - odpowiedziała pytaniem panna Marple. - Nie - odrzekła.

W tym momencie wzajemne porozumienie zostało przypieczętowane. Siedziały przez chwilę, milcząc

zgodnie. Potem Elisabeth Temple zaczęła mówić o ogrodzie, w którym się znajdowały.

- Zaprojektował go niejaki Holman - powiedziała. - Między rokiem tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym a osiemsetnym. Szkoda, że zmarł młodo. Miał wielki talent.

- To takie smutne, kiedy ktoś umiera młodo - zauważyła panna Marple.

- No, nie wiem - zastanawiała się Elisabeth Temple.

- Ale taka osoba bardzo wiele traci. Tyle ciekawych rzeczy ją omija - stwierdziła panna Marple.

- Albo oszczędzone jej zostają liczne przykrości.

- Kiedy się jest w moim wieku, to przedwczesną śmierć uważa się jednak za wielką stratę.

- Ja natomiast przez całe lata pracowałam wśród młodzieży i każde życie traktuję jak zamkniętą całość. T.S. Eliot mówił: "Żywot róży i żywot cisu są taką samą krótką chwilą".

- Wiem, co pani ma na myśli - odrzekła panna Marple. - Niezależnie od długości, każde życie jest skończonym doświadczeniem. Czy nie sądzi pani jednak, że życie nagle przerwane, można uznać za niespełnione?

- Tak, zgadzam się z tym.

Panna Marple spojrzała na rosnące obok kwiaty i rzekła:

- Piękne są te piwonie. Takie dumne, a jednocześnie takie delikatne.

Elisabeth Temple odwróciła się i spytała:

- Wybrała się pani na tę wycieczkę, aby oglądać domy czy ogrody?

- Myślę, że raczej domy. Uwielbiam ogrody, ale zwiedzanie posiadłości jest dla mnie nowym, ciekawym doświadczeniem. Różnorodność tych budowli, ich niezwykle dzieje, piękne umeblowanie i malowidła. Pewien przyjaciel podarował mi tę wycieczkę w prezencie - dodała. - Jestem mu za to ogromnie wdzięczna. Nie miałam w życiu zbyt wiele okazji, aby zwiedzać.

- To bardzo miłe - zauważyła panna Temple.

- A pani często wyjeżdża?

- Nie. Zresztą ta wycieczka jest dla mnie nie tylko okazją do zwiedzania.

Panna Marple spojrzała na nią zaciekawiona.

Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Panna Temple uśmiechnęła się.

- Zastanawia się pani, dlaczego w takim razie tutaj jestem? Niech pani spróbuje zgadnąć.

- Och, wolałabym nie.

- Ależ tak, niech pani spróbuje - Elisabeth Temple nalegała. - To mnie bardzo interesuje. Proszę zgadywać.

Panna Marple nie odzywała się przez chwilę, patrzyła uważnie na pannę Temple i zastanawiała się.

- Będę zgadywać nie na podstawie tego, co o pani słyszałam, jest pani przecież dosyć znana, podobnie jak pani szkoła, ale jedynie na podstawie tego, co

widzę. Nazwałabym panią pielgrzymem. Myślę, że wybrała się pani na pielgrzymkę.

Elisabeth Temple milczała. W końcu odezwała się:

- To bardzo trafne określenie. Tak, jestem na pielgrzymce. Panna Marple powiedziała po namyśle:

- Przyjaciel, który zafundował mi tę wycieczkę, już nie żyje. To pan Rafiel, bardzo bogaty człowiek. Czy może znała go pani?

- Jason Rafiel? Oczywiście, słyszałam o nim, ale nie znałam go osobiście. Kiedyś ofiarował sporą sumę na pewien projekt naukowy, na którym mi zależało.

Byłam mu niezmiernie wdzięczna. Jak pani zauważyła, to był bardzo zamożny człowiek. Kilka tygodni temu przeczytałam jego nekrolog w gazecie. A więc był pani dobrym przyjacielem?

- Nie - odparła panna Marple. - Spotkaliśmy się tylko raz. Poznałam go rok temu podczas pobytu w Indiach Zachodnich. Nie znałam go zbyt dobrze. Nie wiem nic o jego życiu prywatnym ani o krewnych i znajomych. Był wielkim człowiekiem interesu, lecz niezwykle skrytym, jeśli chodzi o sprawy osobiste. Czy znała pani kogoś z jego rodziny...? - panna Marple zawahała się. - Zastanawiałam się nad tym często, ale nie chciałam wypytywać i wydać się zbyt ciekawska.

Elisabeth Temple nie odpowiedziała od razu.

- Znałam kiedyś dziewczynę... - zaczęła - chodziła do mojej szkoły w Fallowfield, była moją ulubienicą.

Właściwie to żadna krewna pana Rafiela, ale swego czasu zaręczyła się z jego synem.

- Nie wyszła jednak za niego? - zapytała panna Marple.

- Nie.

- Dlaczego?

- Można by powiedzieć, że ta śliczna, urocza dziewczyna okazała się zbyt rozsądna. To nie był wymarzony kandydat na męża. Nie wiem jednak, dlaczego ślub się nie odbył. Nikt nigdy mi tego nie wyjaśnił.

Westchnęła, po czym dodała:

- W każdym razie, dziewczyna zmarła.

- Co było przyczyną jej śmierci? - zapytała panna Marple. Elisabeth Temple przez dłuższy czas przypatrywała się piwoniom. Kiedy przemówiła, wypowiedziała tylko jedno słowo. Zabrzmiało ono niby dzwon żałobny - głęboko i złowroźbnie:

- Miłość!

- Miłość? - powtórzyła zaskoczona panna Marple.

- To jedno z najbardziej przerażających słów na świecie - stwierdziła Elisabeth Temple i raz jeszcze tragicznym, pełnym goryczy głosem powiedziała:

- Miłość...

ROZDZIAŁ SIÓDMY ZAPROSZENIE

Panna Marple postanowiła zrezygnować z popołudniowego zwiedzania. Stwierdziła, że jest trochę zmęczona i nie musi oglądać zabytkowego kościoła z czternastowiecznymi witrażami. Wolą

odpocząć i przyłączyć się do grupy w herbaciarni, którą wskazała jej pani Sandbourne. Przewodniczka uważała, że to rozsądna decyzja.

Panna Marple odpoczywała na wygodnej ławce nieopodal herbaciarni i obmyślała plan działania. Miała jednak wątpliwości, czy jej pomysł był dobry. Kiedy dołączyła do grupy podczas popołudniowej herbatki, mogła z łatwością przysiąść się do stolika panny Cooke i panny Barrow. Wypadło to całkiem zręcznie i naturalnie. Czwarte krzesło zajął pan Caspar, którego angielszczyzna nie pozwalała traktować go jako liczącego się w rozmowie partnera.

Skubiąc kawałek różka z konfiturą, panna Marple przechyliła się w kierunku panny Cooke i powiedziała:

- Wie pani, mam wrażenie, że skądś się znamy. Bardzo długo się nad tym zastanawiałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Mam jednak dobrą pamięć do twarzy i na pewno gdzieś już panią widziałam.

Panna Cooke spojrzała uprzejmie, ale z powątpiewaniem. Potem skierowała wzrok na swoją przyjaciółkę, na którą patrzyła także panna Marple, jednak nic nie wskazywało na to, aby tamta pomogła im w rozwiązaniu problemu.

- A może była pani kiedyś w mojej okolicy - panna Marple nie dawała z wygraną. - Mieszkam w St. Mary Mead. To niewielka miejscowość, chociaż obecnie coraz bardziej się rozbudowuje. Niedaleko

Much Benham i tylko dwadzieścia kilometrów od Loomouth na wybrzeżu.

- Ach tak, chwileczkę - odrzekła panna Cooke. - Dostyc dobrze znam Loomouth, więc może...

Panna Marple niespodziewanie zawołała:

- Ależ oczywiście! Pamiętam, że pewnego dnia przechodziła pani ścieżką obok mojego ogrodu w St. Mary Mead i odezwała się do mnie. Mówiła pani, że zatrzymała się u kogoś w okolicy.

- Tak, naturalnie. Jak mogłam zapomnieć!

Pamiętam teraz. Rozmawialiśmy o tym, jak trudno w dzisiejszych czasach znaleźć ogrodnika. To znaczy takiego, z którego byłby pożytek.

- Zdaje się, że zatrzymała się pani u kogoś.

- Zgadza się. Zatrzymałam się u pani... pani... - zawahała się, sprawiając wrażenie osoby, która ma trudności z zapamiętywaniem nazwisk.

- U pani Sutherland? - zapytała panna Marple.

- Nie. Nazywała się...

- Hastings - odpowiedziała szybko panna Barrow, biorąc kawałek czekoladowego ciastka.

- Rzeczywiście. Mieszka w którymś z tych nowych domów - uzupełniła panna Marple.

- Hastings? - zawołał wesolo pan Caspar. - Byłem w Hastings. Byłem też w Eastbourne. - Uśmiechnął się.

- Bardzo ładne. Nad morzem.

- Cóż za zbieg okoliczności - zauważyła panna Marple.

- Spotkałyśmy się po raz drugi w tak krótkim czasie. Jaki ten świat jest maty!

- Wszyscy przecież lubimy ogrody - rzuciła panna Cooke wymijająco.
- Śliczne kwiaty - włączył się Caspar. - Bardzo lubię.
- Jego twarz znów się rozjaśniła.
- Mnóstwo rzadkich i pięknych krzewów - potwierdziła Cooke.

Panna Marple rozwijała swój ulubiony temat - ogrodnictwo. Zagłębiała się także w szczegóły techniczne. Cooke uczestniczyła w rozmowie, natomiast Barrow od czasu do czasu wtrącała jakąś uwagę. Caspar wycofał się i milczał, wciąż uśmiechnięty.

Podczas krótkiego odpoczynku przed kolacją panna Marple raz jeszcze przeanalizowała wszystkie fakty. Panna Cooke przyznała, że była w St. Mary Mead oraz że przechodziła obok jej domu. Zgodziła się, że to niezwykle zbieg okoliczności. Czyżby przypadek, zastanawiała się panna Marple, rozważając sprawę z każdej możliwej strony. Zbieg okoliczności? A może panna Cooke miała powód, aby się tam znaleźć. Może ktoś ją tam posłał? Ale dlaczego? Czy takie podejrzenia nie wydają się śmieszne?

- Każde podejrzenie - powiedziała panna Marple do siebie - należy potraktować poważnie. Później, kiedy zdarzenia okażą się rzeczywiście przypadkowe, można o tym zapomnieć.

Cooke i Barrow wydawały się całkiem zwyczajną parą przyjaciółek, które nie po raz pierwszy wybrały się razem na wycieczkę. W zeszłym roku zwiedzały podobno Grecję, dwa lata temu pojechały podziwiać

holenderskie tulipany, a rok wcześniej były w Irlandii Północnej. Sprawiały wrażenie normalnych, miłych kobiet. Jednak przez chwilę wydawało się jakby panna Cooke chciała wyprzeć się swojej wizyty w St. Mary Mead. Spojrzała wtedy na przyjaciółkę, czekając jakby na instrukcję z jej strony. Panna Barrow była zapewne osobą dominującą w tej parze.

- Oczywiście, to wszystko jest być może jedynie wytworem mojej wyobraźni - stwierdziła panna Marple - i nic nie znaczyć.

Nagle pomyślała o niebezpieczeństwie. Pan Rafiel wspominał o nim w pierwszym liście, a w drugim pisał, że przyda jej się opieka anioła stróża. Czy czyhało na nią jakieś niebezpieczeństwo? Jeśli tak, to z jakiego powodu i z której strony mogło nadejść? Cooke i Barrow nie wydawały się groźne. Były całkiem zwyczajne, a jednak panna Cooke przefarbowwała włosy i zmieniła uczesanie. Szczerze powiedziawszy, odmieniła swój wygląd całkowicie, co było dosyć dziwne. Panna Marple ponownie zaczęła analizować zachowanie swoich towarzyszy podróży.

Teraz znacznie łatwiej mogła sobie wyobrazić, że Caspar jest niebezpieczny. Czyżby tylko udawał, że nie zna angielskiego, a rozumiał znacznie więcej, niż wszyscy przypuszczali? Nigdy nie udało jej się całkowicie pozbyć tych wiktoriańskich uprzedzeń względem cudzoziemców. Z takimi ludźmi to nigdy nic nie wiadomo! Zdawała sobie sprawę, że to

absurdalne. Miała zresztą tylu zagranicznych przyjaciół, niemniej jednak...

Cooke, Barrow, Caspar i ten kudłaty chłopak, Emlyn Jakiś-tam, ten rewolucjonista i anarchista. Wreszcie Butlerowie, tacy niby sympatyczni Amerykanie. Może to tylko pozory?

- Dość tego. Trzeba wziąć się w garść - postanowiła. Zajęła się analizowaniem programu wycieczki. Następnego dnia miał być raczej męczący. Wyjazd wcześniej rano, po drodze zwiedzanie, a po południu długi, forsowny marsz wybrzeżem klifowym i oglądanie jakiś rzadkich, kwitnących na niebiesko kwiatów. W programie pojawiła się taktowna uwaga: jeżeli ktoś wolałby odpocząć, może zostać w hotelu Pod Żłotym Dzikim, przy którym znajduje się bardzo ładny ogród. Można też wybrać się na krótki, godzinny spacer i obejrzeć pewne ciekawe miejsce w okolicy. Pomyślała, że chyba wybierze tę ostatnią propozycję.

Nie wiedziała jednak, że jej plany miały się wkrótce całkowicie zmienić.

Gdy następnego dnia panna Marple wychodziła ze swojego hotelowego pokoju na lunch, podeszła do niej jakaś kobieta. Nieznajoma ubrana była w tweedowy kostium i wyglądała na dosyć zdenerwowaną, kiedy zapytała:

- Przepraszam, czy mam przyjemność z panną Marple? Jane Marple?

- Tak, to ja - odpowiedziała lekko zdziwiona.

- Nazywam się Lavinia Glynne. Ja i moje dwie siostry mieszkamy tutaj w okolicy. Słyszałyśmy... to znaczy, dowiedziałyśmy się o pani przyjeździe.

- Słyszały panie o moim przyjeździe? - panna Marple była zaskoczona.

- Tak. Powiadomił nas o tym pewien przyjaciel. Napisał list chyba ze trzy tygodnie temu, podając dokładny termin wycieczki objazdowej po angielskich posiadłościach i ogrodach. Pisał, że w wycieczce bierze udział jego bardzo dobra znajoma czy krewna, nie pamiętam dokładnie...

Panna Marple nie przestawała się dziwić.

- Autorem listu był pan Rafiel.

- Ach, pan Rafiel! - zawołała - czy słyszała pani, że on... - ...że on nie żyje? Tak, przykro mi.

Dowiedziałam się o tym po otrzymaniu jego listu, chyba zmarł niedługo potem. Zależy nam bardzo, aby spełnić jego prośbę. Pisał, że być może zechciałaby pani zatrzymać się u nas przez kilka dni. Ten etap wycieczki jest dosyć męczący, zwłaszcza dla starszych osób. Trzeba dużo chodzić, nawet po kilka mil i wspinać się po stromych, klifowych nadbrzeżach. Będzie nam wszystkim bardzo miło, jeżeli zechce pani przyjąć zaproszenie. To niedaleko od hotelu, tylko dziesięć minut drogi stąd. Jestem pewna, że my także możemy pani pokazać kilka interesujących miejsc w okolicy.

Panna Marple zawahała się przez chwilę. Spodobała jej się ta pulchna, poczciwa pani Glynne.

Sympatyczna kobieta, chociaż trochę nieśmiała.

Zresztą to była chyba jakaś wskazówka od pana Rafiela. Czyżby kolejny krok naprzód? Tak, na pewno.

Ciekawe, dlaczego ona sama była jakby podenerwowana. Może dlatego, że opuszczała znajome miejsce i ludzi, bo chociaż wycieczka trwała dopiero trzy dni, czuła się już członkiem grupy. Odwróciła się do pani Glynne i spojrzała na nią niepewnie.

- Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony. Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY TRZY SIOSTRY

Panna Marple stała przy oknie i patrzyła na ogród. Na łóżku leżała jej walizka. Rzadko zdarzało jej się patrzeć na jakiś ogród niewidzącymi oczyma, zawsze albo go podziwiała, albo krytykowała. W tym wypadku na pewno miałyby wrażenia negatywne, ponieważ ogród był zaniedbany. W ostatnich latach nie włożono w niego ani za dużo pracy, ani pieniędzy. Dom, ładnie zaprojektowany i urządzone, także został zaniedbany. Porządne niegdyś meble nie wyglądały okazale - od dawna nikt się nimi nie zajmował. Najwyraźniej nikt nie wkładał serca w utrzymanie domu, którego nazwa, Stary Dwór, odzwierciedlała jego obecny stan.

Kiedyś miał zapewne swój urok, był lubiany przez mieszkańców i żył ich życiem. Potem dzieci pożeniły

się, powychodziły za mąż i wyjechały. Teraz mieszkała w nim pani Glynne i jej siostry. Kiedy Lavinia prowadziła pannę Marple do jej sypialni, wspomniała, że dom został odziedziczony po wuju, a ona sama zamieszkała tu z siostrami po śmierci męża. Wszystkie trzy miały coraz więcej lat, ich oszczędności kurczyły się, a o pracę było coraz trudniej.

Siostry pani Glynne, jedna starsza, druga młodsza od niej, były nadal pannami. Obie nosiły nazwisko Bradbury-Scott. W domu nie widać było śladów dziecka: żadnych starych zabawek, wózków, maleńkich mebelków. Mieszkały tu tylko trzy siostry.

"Trzy siostry", pomyślała panna Marple. Brzmi to bardzo z rosyjska. "Trzy siostry" Czechowa albo może Dostojewskiego, nie potrafiła sobie przypomnieć. Tutejsze siostry na pewno jednak nie tęskniły, tak jak tamte, za Moskwą. Angielskie siostry były przypuszczalnie bardzo zadowolone z miejsca, w którym mieszkały.

Dwie pozostałe panie poznała zaraz po przyjściu. Jedna z nich nadeszła od strony kuchni, druga zbiegła po schodach, żeby ją powitać. Wszystkie miały nienaganne maniery. Teraz takie określenie wydałoby się przestarzałe, ale za czasów młodości panny Marple nazwano by je "damami". Słyszała także, że mówiono o takich osobach "przywiedłe damy", chociaż jej ojciec mawiał: "Ależ droga Jane,

one nie są »przywiędłe«, tylko »doświadczone przez życie«."

W dzisiejszych czasach starsze damy nie były zbyt ciężko doświadczane przez los. Dostawały zasiłki od rządu i innych instytucji, pomagali im też bogaci krewni. Tacy jak na przykład pan Rafiel. Przecież to on był prawdziwą przyczyną jej obecności tutaj. On zorganizował to wszystko. Stwierdziła, że zadał sobie sporo trudu.

Przeczuwał zapewne zbliżającą się śmierć już kilka tygodni wcześniej. Wziął także poprawkę na to, co mówili lekarze, skłonni w takich sytuacjach do optymizmu. Lekarze wiedzą, że pacjenci, którym pozostało niewiele życia, robią co mogą, aby oszukać los. Natomiast pielęgniarki - panna Marple sama tego doświadczyła - przyzwyczajone do rotacji pacjentów, spodziewają się, że taki pacjent umrze następnego dnia po przyjęciu, i są zaskoczone, kiedy pożyje dłużej, niż myślały. Lekarze pocieszają pacjentów, a pielęgniarki wiedzą swoje. Jednak ci pierwsi mają rację - chorzy, nawet jeśli bardzo cierpią, są niedołęźni i często nieszczęśliwi, wciąż pragną żyć. Przyjmą lekarstwo, aby jakoś przetrwać kolejną noc, nie wezmą jednak nigdy takiej ilości, która pozwoliłaby im przenieść się na tamten świat, skoro nawet tego nie zdążyli jeszcze dobrze poznać. Jason Rafiel. O nim rozmyślała panna Marple, kiedy patrzyła na ogród niewidzącym wzrokiem. Miała wrażenie, że jest trochę bliższa zrozumienia, na czym miałyby polegać powierzone jej zadanie. Pan Rafiel

bardzo lubił planować. Planował wszystko, tak jak te swoje transakcje finansowe. Widać "miał problem" - powiedziała jej gospoia. Kiedy Cherry miała problem, przychodziła po radę do panny Marple. Rafael nie mógł sobie ze swoim problemem poradzić, a to, zdaniem panny Marple, musiało go bardzo irytować. Przyzwyczał się, że każdą sprawę potrafi załatwić sam lub zlecić komuś wykonanie zadania. Ale przed śmiercią został przywiązany do łóżka i nie miał zbyt wiele czasu. Nadal mógł prowadzić interesy, kontaktować się z prawnikami, ze swoimi podwładnymi, a także krewnymi i przyjaciółmi. Było jednak coś, czego nie zdołał załatwić. Problem, którego nie rozwiązał i który nie dawał mu spokoju. Widać nie można było załatwić tej sprawy zwykłym sposobem. Nie wystarczyło zatrudnić prawników i zapłacić.

- Pomyślał więc o mnie - stwierdziła panna Marple. Wciąż wydawało jej się to zaskakujące. Teraz jednak zrozumiała, że jego list był całkiem jasny. Pan Rafael uważał, że potrafiła rozwiązywać zagadki kryminalne. To oczywiste, zresztą myślała już o tym wielokrotnie. Druga rzecz, jaką wiedział o niej Rafael, to to, że uwielbiała ogrody, lecz na pewno nie oczekiwał od niej rozwiązania zagadki ogrodniczej. Pomyślał jednak o swojej dawnej znajomej w związku z jakimś kolejnym przestępstwem, którego nie popełniono w Indiach Zachodnich, ale znacznie bliżej jej rodzinnego domu. Tylko gdzie?

Rafiel zaczął działać. Zwrócił się do swoich prawników. Oni wykonali już zadanie. W odpowiednim czasie wysłali drugi list, który według niej, został bardzo dokładnie przemyślany. Oczywiście znacznie prościej byłoby powiedzieć jej, na czym polega zadanie. Dziwiło ją trochę, że przed śmiercią Rafiel nie wezwał jej do siebie i nie wyjaśnił wszystkiego. Przecież nie odmówiłaby mu na łożu śmierci. Namawiałby ją, nalegał, może nawet próbował zmusić do zajęcia się sprawą, aż w końcu zgodziłaby się. To jednak nie było w jego stylu. Potrafił terroryzować ludzi jak mało kto, ale nie w takiej sytuacji. Na pewno też nie chciał ludzią ją nagrodą lub prosić o wyświadczenie przysługi. Wolał także nie powoływać się na słuszną sprawę. Nie, to również nie było w jego stylu. Postąpił tak, jak postępował przez całe życie: płacił i wymagał. Postanowił jednak przede wszystkim odpowiednio ją zaciekawić. Chciał, aby się zaangażowała. Pieniądze nie miały jej skusić, ale ją zaintrygować. Zaproponowanie odpowiednio dużej sumy nie załatwiało sprawy i on o tym wiedział. Chociaż taka propozycja wydawała się kusząca, to jej tak naprawdę pieniądze nie były potrzebne. Miała przecież swego kochanego siostrzeńca, który dałby jej każdą sumę, o jaką by poprosiła. Opłaciłby lekarzy i kurację, gdyby nagle poważnie zachorowała, oraz wspomógł finansowo, gdyby zechciała wyremontować dom. Pieniądze, które proponował Rafiel, miały ją więc przede wszystkim

zaintrygować. Podobnie jak ekscytujące staje się posiadanie kuponu na loterię, w której zawsze istnieje szansa wygrania jakiejś ogromnej sumy pieniędzy, ale do tego niezbędne jest szczęśliwe zrzęczenie losu.

Z drugiej strony panna Marple wiedziała, że potrzebne jej będzie nie tylko szczęście. Sprawa wymagała sporego wysiłku, zwłaszcza umysłowego. Być może wiązała się także z pewnym ryzykiem. Musiała sama domyślić się wszystkiego, bo pan Rafiel nie zamierzał jej tego wyjaśniać. Na pewno również dlatego, aby jej niczego nie sugerować. Trudno jest przedstawić jakąś sprawę, nie ujawniając jednocześnie własnego punktu widzenia. Może Rafiel obawiał się, że jego osąd okaże się błędny. Chociaż to nie w jego stylu, należało brać pod uwagę taką możliwość. Podejrzewał na przykład, że pod wpływem choroby jego zdolność oceny sytuacji została osłabiona. Natomiast panna Marple, jako zatrudniony przez niego detektyw, miała domyślić się wszystkiego po kolei. W ten sposób powróciła do punktu wyjścia.

Otrzymała wskazówki z zaświatów. Musiała wyjechać z St. Mary Mead, a więc to nie stamtąd należało spodziewać się głównego uderzenia. Sprawa nie dotyczyła zatargu sąsiedzkiego, który można rozwiązać, podglądając kogoś przez dziurkę od klucza i zadając mu pytania, pod warunkiem oczywiście, że wiadomo, o co pytać. Najpierw był list i wizyta w kancelarii, potem dwa kolejne listy i

wyjazd na tę uroczą, świetnie zorganizowaną wycieczkę oraz zwiedzanie pięknych ogrodów. Teraz następny etap - pobyt w Starym Dworze, w Jocelyn St. Mary, gdzie mieszkały dwie panny Bradbury-Scott, Clotilde i Anthea, oraz pani Glynne. Rafael zorganizował tę wizytę dużo wcześniej, kilka tygodni przed śmiercią. Zapewne była to kolejna rzecz, jaką zrobił po wydaniu poleceń prawnikom i zarezerwowaniu w biurze podróży miejsca na wycieczkę. Dlatego też nie znalazła się w tym domu przypadkowo. Zatrzyma się tutaj na dwie noce, może na dłużej - zależy od sytuacji. Może być zmuszona do pozostania albo ktoś ją o to poprosi. Teraz zaczęła rozmyślać o mieszkankach Starego Dworu. Pani Glynne i jej dwie siostry. Muszą mieć jakiś związek ze sprawą i to trzeba będzie wyjaśnić. Kłopot w tym, że nie miała zbyt wiele czasu, ale nawet przez chwilę nie wątpiła, że potrafi się wszystkiego dowiedzieć. Była przecież typową wścibską staruszką, więc nikogo nie dziwiło, że mówiła dużo i zadawała pytania. Zamierzała opowiadać o sobie, o swoim dzieciństwie i młodości, o gustach kulinarnych, gosposiach, dzieciach, rodzeństwie, kuzynach, o różnych krewnych oraz znajomych i w ten sposób sprowokować trzy siostry do podobnych zwierzeń. Będzie plotkowała o podróżach, ślubach i oczywiście pogrzebach. Nie może jednak okazać szczególnego zainteresowania tym tematem. W żadnym wypadku. Wiedziała, że w

takiej sytuacji powinna natychmiast zareagować odpowiednim westchnieniem:

- Mój Boże, jakież to smutne!

Trzeba będzie przeanalizować wzajemne relacje, historie rodzinne i ważne wydarzenia, a jeśli coś wyda jej się istotne, wypytać o to. Sprawa może nie dotyczyć bezpośrednio trzech sióstr i ich domu, lecz kogoś z okolicy. Może być związana ze znaną historią którą panna Marple powinna usłyszeć. W każdym razie tutaj na pewno coś znajdzie. Jakiś ślad, jakąś wskazówkę. Postanowiła, że jeżeli w ciągu dwóch dni nie natrafi na nic takiego, dołączy do wycieczki. Pomyślała znów o uczestnikach. Może jednak odpowiedź znajdowała się w autokarze? Stały jej przed oczami różne postaci - ludzie całkiem zwyczajni i inni, jakby podejrzani. Jakieś bardzo dawne zdarzenie... Zmarszczyła brwi, próbując się skupić. Przemknęło jej przez myśl: "Jestem pewna, najzupełniej pewna..." No tak, ale czego właściwie była pewna?

Wróciła myślami do trzech sióstr. Nie powinna pozostawać tutaj zbyt długo. Rozpakuje kilka najpotrzebniejszych rzeczy - strój do przebrania na dzisiejszy wieczór, przybory toaletowe, coś do spania. Zejdzie na dół, aby przyłączyć się do domowniczek i pogawędzi sobie z nimi. Najpierw jednak musi zdecydować, czy trzy siostry są jej sprzymierzeńcami, czy wrogami. Trzeba było przyporządkować je do którejś kategorii.

Usłyszała pukanie do drzwi. Weszła pani Glynne.

- Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie. Czy mogę pomóc w rozpakowywaniu? Mamy bardzo sympatyczną panią do pomocy, ale przychodzi do nas tylko rano.

- Ależ nie, dziękuję - odrzekła panna Marple. - Rozpakowałam tylko kilka drobiazgów.

- Pomyślałam, że powinnam pani pokazać raz jeszcze drogę na dół, ponieważ są tutaj dwie klatki schodowe. Nasz dom jest niezbyt funkcjonalny i wiem, że można się w nim zgubić.

- To bardzo miło z pani strony.

- Może więc zejdzie pani do nas na kieliszeczek sherry przed obiadem?

Panna Marple z wdzięcznością przyjęła zaproszenie i ruszyła za swoją przewodniczką. Oceniała, że pani Glynne była znacznie młodsza od niej. Miała może pięćdziesiąt lat, nie więcej. Jane Marple schodziła ostrożnie, blisko poręczy, jak zwykle uważając na lewe kolano. Zauważyła, że schody są bardzo ładne.

- To naprawdę niezwykle piękny dom - powiedziała.

- Przypuszczam, że został zbudowany w osiemnastym wieku? Mam rację?

- Tak. W tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku - potwierdziła pani Glynne.

Uwaga panna Marple sprawiła jej wyraźnie przyjemność. Weszły do salonu, przestronnego, okazałego pokoju, w którym znajdowało się kilka ładnych mebli: biurko z czasów królowej Anny, sekretarzyk z epoki Williama i Mary oraz kilka ciężkich wiktoriańskich kanap i gablotek. Były także

perkalowe zasłony, wyblakłe i dosyć zniszczone, dywan pochodzący chyba z Limerick w Irlandii oraz stara i niezgrabna aksamitna sofa. Dwie pozostałe siostry siedziały już w salonie. Na widok panny Marple wstały i podeszły do niej. Jedna podała jej kieliszek sherry, a druga wskazała krzesło.

- Woli pani zapewne wysokie oparcie, prawda?

- Tak - przyznała. - To znacznie wygodniejsze dla kręgosłupa.

Siostry najwyraźniej wiedziały, co znaczą kłopoty z kręgosłupem. Najstarsza z nich była wysoką, przystojną kobietą, o ciemnych, zwiniętych w węzeł włosach. Druga wydawała się znacznie młodsza. Ta szczupła osoba, z popielatymi, niegdyś jasnymi włosami, które nosiła rozrzucone niedbale na ramionach, i bladą twarzą, wyglądała jak widmo.

Panna Marple pomyślała, że mogłaby z powodzeniem zagrać rolę dojrzałej Ofelii. Natomiast Clotilde doskonale nadawałaby się na Klitajmestrę. Mogłaby w uniesieniu zasztyletować swojego męża w kąpeli. Problem polegał na tym, że panna Marple potrafiła wyobrazić ją sobie tylko w roli morderczej żony, a w Starym Dworze nie było żadnego Agamemnona.

Clotilde i Anthea Bradbury-Scott oraz Lavinia Glynne - trzy siostry. Clotilde przystojna, Lavinia nieśmiała, ale miła, Anthea trochę dziwna. Ta ostatnia miała tik nerwowy i od czasu do czasu mrugała jedną powieką. Jej duże, szare oczy rzuciły osobliwe spojrzenia. Rozglądała się na wszystkie

strony, jakby czuła, że ktoś jej się przez cały czas przygląda. "To dziwne", stwierdziła panna Marple i postanowiła jeszcze pomyśleć o Anthei.

Usiadły i rozpoczęły rozmowę. Pani Glynne wyszła z pokoju, prawdopodobnie do kuchni. To chyba ona była tu gospodynią. Rozmowa przebiegała normalnie. Clotilde wyjaśniła, że dom należał od dawna do rodziny. Z jej ciotecznego wuja przeszedł na wuja, a kiedy ten drugi zmarł, dom odziedziczyła ona i jej siostry. Zamieszkały tu wkrótce razem.

- Wie pani, wuj miał tylko jednego syna, który zginął w czasie wojny - tłumaczyła. - Jesteśmy ostatnimi żyjącymi członkami rodziny, z wyjątkiem jakiś dalekich kuzynów.

- To bardzo piękny dom - powiedziała panna Marple.

- Pani siostra mówiła, że pochodzi z tysiąc siedemset osiemdziesiątego roku.

- Tak, chyba tak. Chociaż wołałybyśmy, żeby nie był tak wielki i niewygodny.

- W dzisiejszych czasach naprawy wymagają sporego wysiłku - dodała ze zrozumieniem panna Marple.

- Tak, rzeczywiście - westchnęła Clotilde. - Dlatego w wielu wypadkach musimy po prostu pozwolić, aby dom niszczał. Taka jest smutna prawda.

Zaniedbałyśmy zwłaszcza zabudowania wokół domu i szklarnię. Miałyśmy dużą i piękną szklarnię.

- Wszystkie jej wewnętrzne ściany porastały pnącza muszkatelu, wspaniałej winnej latorośli i heliotropu liliowego - dodała Anthea. - Bardzo mi tego żal. W

czasie wojny trudno było o ogrodnika. Pracował u nas młody chłopak, który został powołany do wojska. Oczywiście nie miałyśmy o to żadnych pretensji, jednak nie mogłyśmy poradzić sobie ze wszystkim i cała szklarnia popadła w ruinę.

- Podobnie jak cieplarnia obok domu.

Obie siostry westchnęły, tak jak wzdychają ludzie, którzy widzą przemijanie czasu i związane z tym zmiany, bynajmniej nie na lepsze.

Zdaniem panny Marple, w tym domu wyczuwało się melancholię. Smutek głęboko przenikał mury, tak głęboko, że nie sposób było się go pozbyć. Wtopił się w otoczenie na stałe... Panna Marple wzdrygnęła się na myśl o tym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY POLYGONUM BALDSCHUANICUM

Obiad był tradycyjny: kawałek baraniny i pieczone ziemniaki, na deser - tarta śliwkowa podana z kubeczkiem śmietany i zwykle ciasteczka.

Na ścianach w pokoju stołowym wisiało kilka portretów rodzinnych. Panna Marple przypuszczała, że pochodziły z epoki wiktoriańskiej i nie miały specjalnej wartości artystycznej. Były tam także: duży ciężki kredens, piękny mebel z mahoni w odcieniu śliwkowym, zasłony z ciemno-purpurowego adamaszku i wielki mahoniowy stół, przy którym swobodnie mieściło się dziesięć osób.

Panna Marple zrelacjonowała dotychczasowy przebieg wycieczki, a ponieważ minęły dopiero trzy dni od jej rozpoczęcia, nie było zbyt wiele do opowiadania.

- Pan Rafiel był pani dobrym przyjacielem? - zapytała starsza panna Bradbury-Scott.

- Niezupełnie - odrzekła panna Marple. - Poznałam go podczas podróży do Indii Zachodnich. Pamiętam, że pojechał tam dla podratowania zdrowia.

- Rzeczywiście. W ciągu kilku lat stan jego zdrowia znacznie się pogorszył - przyznała Anthea.

- To smutne - powiedziała panna Marple. - Szczerze podziwiałam jego wytrwałość. Bardzo ciężko pracował. Codziennie wydawał sekretarce mnóstwo poleceń i wysyłał telegram za telegramem. Nie dawał za wygraną i wcale nie zachowywał się jak chory człowiek.

- Tak, to prawda - potwierdziła Anthea.

- Nie widywałyśmy go zbyt często w ostatnich latach - rzekła pani Glynne. - Był przecież bardzo zapracowany. Ale zawsze pamiętał o nas w czasie świąt.

- Czy mieszka pani w Londynie? - zapytała Anthea pannę Marple.

- Nie. Mieszkam na wsi, w małej miejscowości w połowie drogi między Loomouth a Market Basing. Około czterdziestu kilometrów od Londynu. Kiedyś była to ładna, tradycyjna wioska, lecz teraz, jak wszystko inne, rozbudowuje się i zmienia. Ale pan Rafiel mieszkał, zdaje się, w Londynie? W każdym

razie zauważyłam, że w hotelu na St. Honora podał przy zameldowaniu adres londyński, chyba Eaton Square albo Belgrave Square.

- Miał willę w hrabstwie Kent - odparła Clotilde. - Czasami przyjmował tam gości, głównie ludzi interesu przybyłych z zagranicy. Żadna z nas nie odwiedzała go chyba w Kent. Zapraszał nas raczej do Londynu. Było to w tych rzadkich chwilach, kiedy miał czas, aby spotkać się z nami.

- To bardzo miłe z jego strony, że poprosił panie, aby zaproponowały mi gościnę - powiedziała panna Marple.

- Kto by się spodziewał, że taki zapracowany człowiek myśli o sprawianiu innym przyjemności.

- Gościliśmy już wcześniej jego przyjaciół, którzy brali udział w takich wycieczkach. W zasadzie te imprezy zorganizowane są bardzo starannie, nie sposób jednak wszystkim dogodzić. Młodzi ludzie lubią długie spacery, męczące wędrówki i wspinaczki na wzgórza, aby stamtąd podziwiać widoki. Starsi, mniej sprawni, częściej pozostają w hotelach, które w tej okolicy nie są zbyt wysokiej klasy. Jestem pewna, że dzisiejsza wycieczka oraz wyjazd na St. Bonaventure byłyby dla pani bardzo męczące. Na jutro zaplanowano chyba wyprawę na wyspę. Płynie się tam łodzią, a morze bywa czasami dosyć niespokojne.

- Nawet zwiedzanie domów może być męczące - zauważyła pani Glynne.

- O tak, zgadzam się - odrzekła panna Marple. - Trzeba dużo chodzić i słuchać na stojąco. Nogi szybko się męczą. Nie powinnam chyba podejmować takich wypraw, ale to wielka pokusa móc zobaczyć piękne budowle, wspaniałe umeblowanie wnętrza oraz znakomite obrazy.

- I ogrody - uzupełniła Anthea. - Lubi pani ogrody, prawda?

- Tak. Ogrody lubię najbardziej. Przeczytawszy opis trasy w folderze, z niecierpliwością czekam na wspaniałe ogrody przy zabytkowych dworach, które mamy jeszcze zobaczyć - panna Marple rozpromieniła się.

Atmosfera była na pozór miła i swobodna. Panna Marple zastanawiała się jednak, dlaczego wyczuwała jakieś napięcie, jakby sztuczność w zachowaniu. Ale co właściwie rozumiała przez "sztuczność"?

Rozmowa przebiegała stosownie do okoliczności i dotyczyła spraw banalnych. Wszystkie rozmówczynie ograniczały się do konwencjonalnych, uprzejmych uwag.

Trzy siostry. Panna Marple powróciła do swoich literackich skojarzeń. Dlaczego trójki mają w sobie coś tajemniczego i złowieszczonego? Trzy siostry jak trzy wiedźmy z Makbeta. Właściwie to bardzo dalekie i zupełnie nieuzasadnione skojarzenie, ale... Panna Marple zawsze uważała, że reżyserzy teatralni w niewłaściwy sposób przedstawiają te Szekspirowskie postaci. Pewna inscenizacja wydała jej się całkowicie absurdalna. Wiedźmy wyglądały

jak dziwaczne kreatury - miały śmieszne, wielkie kapelusze, machały przez cały czas skrzydłami, tańczyły i pęsały po scenie. Pamiętała, co powiedziała wtedy do siostrzeńca, który zaprosił ją na przedstawienie:

- Wiesz Raymondzie, gdybym kiedykolwiek reżyserowała tę świetną sztukę, przedstawiłabym trzy wiedźmy zupełnie inaczej. Byłyby zwyczajnymi kobietami, starymi Szkotkami. Nie tańczyłyby i nie pęsały, tylko spoglądały na siebie chytrze. Pod pozorem zwyczajności skrywałyby się cała groza sytuacji.

Panna Marple zjadła ostatni kęs śliwkowego ciasta i spojrzała przez stół na Antheę. Przeciętna, trochę zaniedbana i roztrzepana kobieta o dosyć nieokreślonej urodzie. Dlaczego więc -wyczuwała w niej coś groźnego?

- To efekt mojej wybujałej fantazji - powiedziała do siebie. - Nie powinnam tak myśleć.

Po lunchu Anthea oprowadziła ją po ogrodzie.

Oczom panny Marple przedstawił się dosyć żałosny widok. Kiedyś był to zwyczajny, wiktoriański ogród - dobrze utrzymany, choć może nienadzwyczajnie ładny, z licznymi krzewami, alejami wawrzynu, zadbanymi trawnikami i ścieżkami. Ogródek warzywny wielkości półtora akra wydawał się stanowczo zbyt duży na dzisiejsze potrzeby trzech siostr, dlatego jego nie uprawiana część była zarośnięta chwastami. Większość kwietników porastał niskopienny czarny bez. Panna Marple

ledwie się powstrzymała, aby nie powyrywać rosnących wszędzie pędów powoju.

Długie włosy Anthei trzepotały na wietrze, który od czasu do czasu wyrywał z nich szpilkę i rzucał na ścieżkę lub trawę. Jej głos lekko drżał, gdy mówiła:

- Przypuszczam, że pani ma bardzo ładny ogród.

- Och, raczej niewielki - odrzekła panna Marple.

Szły ścieżką porośniętą trawą i zatrzymały się na jej końcu, naprzeciw małego pagórka usypanego przy murze.

- Nasza szklarnia - powiedziała Anthea ponuro.

- Ach, to tam rosła ta wspaniała winorośl.

- Trzy odmiany: Black Hamburg, piękny muszkatel i jeszcze taka winorośl o bardzo małych i słodkich owocach.

- I heliotrop - podpowiedziała panna Marple.

- Heliotrop liliowy - uściśliła Anthea.

- Oczywiście, liliowy. Pięknie pachnie. Czy w szklarnię uderzyła może jakaś bomba?

- Ależ nie, w tej okolicy było całkiem spokojnie.

Niestety, szklarnia rozpadła się ze starości. Nie zajmowałyśmy się nią przez wiele lat, brakowało pieniędzy na naprawy i odbudowę. Zresztą i tak nie stać by nas było na jej utrzymanie. Po prostu pozwoliłyśmy, żeby niszczała. Nic nie dało się zrobić. A teraz, jak pani widzi, wszystko całkowicie zarosło.

- Rzeczywiście. A właściwie co za roślina tu rośnie?

- Ach, nic nadzwyczajnego. Nie pamiętam nawet nazwy.

- Anthea zastanowiła się. - Zaczyna się na "p".

Chyba Poły, Poły coś-tam.

- Zdaje się, że ja pamiętam. Polygonum baldscliuanicum. Wyjątkowo szybko rośnie. Bardzo przydatna, jeśli chce się ukryć wysypisko śmieci, brzydki mur lub coś w tym rodzaju.

Pagórek, przed którym stały, był gęsto porośnięty jasnozieloną, kwitnącą na biało rośliną. Panna Marple wiedziała, że Polygonum stanowiło zagrożenie dla wszystkich innych roślin. Rozrastało się w niezwykle szybkim tempie.

- Szklarnia musiała być dosyć duża - zauważyła uprzejmie.

- Tak. Hodowałyśmy tutaj brzoskwinie i nektaryny

- Anthea patrzyła na budynek z żalem.

- To miejsce wygląda teraz całkiem ładnie - powiedziała panna Marple tonem pocieszenia. - Śliczne są te białe kwiatuszki.

- Na końcu ścieżki, po lewej stronie, rośnie piękna magnolia - odrzekła Anthea. - Cały ogród okalał kiedyś trawnik, ale trawy także nie potrafimy utrzymać. To za duży wysiłek. Nic już nie jest takie jak dawniej. Wszystko zniszczone.

Ruszyła szybko ścieżką, skręcając w prawo za murem. Coraz bardziej przyspieszała i ledwie można było za nią nadążyć.

"Wygląda tak, jakby umyślnie chciała odciągnąć mnie od tego miejsca", stwierdziła panna Marple.

Szybko oddalały się od porośniętego białymi kwiatkami pagórka, tego nieładnego, sprawiającego

przykre wrażenie zakątka. Czyżby Anthea wstydziła się swego zaniedbania? Polygonum rzeczywiście rozrastało się w błyskawicznym tempie, pozostawione bez żadnej kontroli w tej dzikiej części ogrodu.

Anthea wyraźnie uciekała od tamtego miejsca.

Uwagę panny Marple przyciągnął teraz rozlatujący się chlewik, który porastały pnące róże.

- Wuj hodował tu kiedyś świnie - wyjaśniła Anthea. - Oczywiście dzisiaj nikomu nie przyszłoby to do głowy. Są brudne i dosyć cuchnące. Przy domu rośnie jeszcze kilka róż z gatunku Flońbunda. To wdzięczne i łatwe w hodowli kwiaty.

- Tak, rzeczywiście - potwierdziła panna Marple, po czym wymieniła nazwy kilku ostatnio wyhodowanych gatunków róż, niewiele jednak mówiło to Anthei.

- Często wyjeżdża pani na takie wycieczki? - zapytała tamta niespodziewanie.

- Myśli pani o zwiedzaniu?

- Tak. Niektórzy ludzie wyjeżdżają na takie imprezy co roku.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. To dosyć kosztowne. Ta wycieczka jest właściwie prezentem urodzinowym od przyjaciela.

- Ach, tak. Zastanawiałam się właśnie, dlaczego zdecydowała się pani na taką wyprawę. To dosyć męczące. Z drugiej strony, jeżeli wybiera się pani w tak dalekie podróże, jak na przykład do Indii Zachodnich...

- Ach, tamta wycieczka to także prezent. Zafundował mi ją siostrzeniec. Kochany chłopak! Jest taki dobry dla swojej starej ciotki.

- Teraz rozumiem.

- Nie wiem, co zrobilibyśmy bez młodych - dodała panna Marple. - Tacy są życzliwi.

- Możliwe... przyznam, że nie wiem. Nie mamy żadnych młodych krewnych.

- Czy pani siostra Lavinia nie ma dzieci? Nie mówiła nic na ten temat, a ja nie chciałam pytać.

- Nie. Ona i jej mąż nigdy nie mieli dzieci. Może to i lepiej.

"Co ona miała właściwie na myśli?" - zastanawiała się panna Marple w drodze powrotnej do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ACH, TE STARE DOBRE CZASY!

I

Następnego dnia o wpół do dziewiątej rano panna Marple usłyszała delikatne stukanie do drzwi. Po jej zachęcającym "proszę", w drzwiach ukazała się starsza pani, która niosła tacę z czajniczką herbata, dzbanuszką mleka, filiżanką oraz małym talerzem kanapek.

- Poranna herbata, proszę pani - powiedziała z uśmiechem. - Mamy dziś piękny dzień. Widzę, że zasłony już odsłonięte. Czy dobrze pani spała?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odrzekła panna Marple, odkładając czytany książeczkę do nabożeństwa.

- Naprawdę, piękny dzień. Świetna pogoda na wycieczkę na skały Bonawentury. Ale dobrze, że pani nie poszła z grupą. To strasznie męczące.

- Cieszę się, że jestem właśnie tutaj - rzekła panna Marple. - To niezwykle miłe ze strony panien Bradbury-Scott i pani Glynne, że mnie zaprosiły.

- Dla nich to także przyjemność. Zawsze dobrze mieć w domu gościa, który poprawi trochę nastrój. Ostatnio bardzo tu u nas smutno.

Odsłoniła okno jeszcze bardziej, odsunęła krzesło i naląła gorącej wody do miednicy.

- Łazienka jest piętro wyżej - wyjaśniła - ale chyba wygodniej pani będzie mieć trochę gorącej wody pod ręką, żeby nie musiała się pani wspinać po schodach.

- Dziękuję. Zapewne dobrze pani zna ten dom?

- Zaczęłam tu pracować jako dziewczynka. Byłam wtedy pokojówką. Za czasów pana pułkownika zatrudniano tu trzy osoby: kucharkę, pokojówkę i sprzątaczkę. Pułkownik miał też konie i stajennego. To były czasy! Niestety minęły bezpowrotnie.

Pułkownik wcześniej stracił żonę, a jego syn zginął na wojnie. Pozostała mu tylko córka, która zamieszkała na drugim końcu świata - wyszła za mąż za Nowozelandczyka. Umarła przy porodzie, dziecko także. Pułkownik mieszkał tu całkiem sam i przestał dbać o dom. Po jego śmierci dom odziedziczyły bratanice: panna Clotilde i jej dwie siostry. Ona i panna Anthea zamieszkały tutaj od razu, a pani Lavinia dołączyła do nich po śmierci męża - westchnęła i potrząsnęła głową. - One też nigdy nie

**zajmowały się domem, nie było ich na to stać.
Zaniedbały także ogród.**

- Wielka szkoda - stwierdziła panna Marple.

- Ale to miłe osoby. Panna Anthea jest może trochę roztrzepana, za to panna Clotilde - bardzo mądra i wykształcona. Studiowała; zna trzy języki. A pani Glynne to naprawdę niezwykle sympatyczna osoba. Kiedy tu zamieszkała, myślałam, że coś się zmieni na lepsze. Ale czy to człowiek wie, co przyniesie przyszłość'? Czasami wydaje mi się, że nad tym domem ciąży klątwa.

Panna Marple spojrzała na nią zaciekawiona.

- Nieszczęścia chodzą parami. Najpierw była ta okropna katastrofa lotnicza w Hiszpanii. Nikt nie przeżył. Te samoloty to koszmar, nigdy bym do żadnego nie wsiadła. Zginęło dwoje przyjaciół panny Clotilde, młode małżeństwo.

Ich córka była wtedy w szkole i szczęśliwie uniknęła śmierci, ale przeżyła szok. Panna Clotilde zaopiekowała się nią i traktowała jak własne dziecko. Zabierała ją w podróże zagraniczne, do Francji, Włoch. To była urocza, pogodna dziewczyna. Kto mógł przypuszczać, że przytrafi jej się coś tak strasznego?!

- Co takiego? Czy to zdarzyło się tutaj?

- Nie, dzięki Bogu. Chociaż z drugiej strony, można tak powiedzieć. Tutaj właśnie go spotkała. Mieszkał w sąsiedztwie. Moje panie znały jego ojca, bardzo bogatego człowieka. Syn przyszedł kiedyś z wizytą i od tego się zaczęło...

- Zakochali się w sobie?

- Tak. Ona zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Był przystojnym, miłym i dobrze wychowanym chłopakiem. Nikomu nie przyszło do głowy, że... - przerwała nagle.

- Mieli romans, coś się nie układało i dziewczyna popełniła samobójstwo?

- Samobójstwo? - Starsza kobieta otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. - Kto pani to powiedział? To było morderstwo. Okrutne, popełnione z zimną krwią morderstwo. Udusił ją i zmasakrował twarz. Panna Clotilde musiała ją zidentyfikować. Od tego czasu nigdy już nie była taka jak dawniej. Ciało znaleziono prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd, w zagajniku przy starym kamieniołomie. Szukano jej sześć miesięcy, policja przeczesła całą okolicę. To nie była podobno pierwsza dziewczyna, którą zamordował. Co za diabelskie nasienie! Taki już się chyba urodził. Dzisiaj mówi się, że tacy ludzie nie wiedzą, co robią, że są chorzy psychicznie i nie powinni ponosić za nic odpowiedzialności. Nie chcą ich teraz wieszać. Kompletna bzdura! Morderca to morderca i koniec. Wiem, że w starych rodach czasami zdarzają się szaleńcy. Na przykład byli tu tacy Derwentsi z Brassington, w co drugim pokoleniu któryś z nich kończył w domu wariatów. Albo stara pani Paulett. Spacerowała po uliczkach w brylantowym diademie i powtarzała, że jest Marią Antoniną, dopóki ktoś jej nie zamknął. Pomyłona, lecz nieszkodliwa. Ale ten chłopak to po prostu diabeł wcielony!

- Co się z nim stało?

- Wtedy zniesiono już karę śmierci. Poza tym był bardzo młody. Nie pamiętam dokładnie. Uznali go za winnego i wysłali do Bostol albo Broadsand, jakiejś miejscowości na "b".

- Jak on się nazywał?

- Michael. Nie pamiętam jego nazwiska. To działo się dziesięć lat temu, mogłam zapomnieć. Takie włoskie nazwisko, nazywał się jak ten, co malował obrazy... Raffle czy coś takiego...

- Michael Rafiel?

- Właśnie! Mówili, że bogaty ojciec wyciągnął go z więzienia jakimś podstępem. Taka filmowa ucieczka. Ale to chyba tylko plotka.

A więc to nie samobójstwo, tylko morderstwo.

"Miłość" - w taki sposób Elisabeth Temple wyjaśniła przyczynę śmierci dziewczyny. W pewnym sensie miała rację. Młoda dziewczyna zakochała się w mordercy, a to uczucie przyniosło jej niespodziewaną, okrutną śmierć.

Panna Marple wzdrygnęła się. Wczoraj, kiedy szła tutejszą uliczką, mijala wielki plakat z nagłówkiem prasowym: "Morderstwo na wzgórzach Epsom. Znaleziono ciało drugiej dziewczyny. Policja zatrzymała młodego chłopaka".

Historia powtórzyła się. Ten sam okrutny sposób. Przypomniały jej się słowa zapomnianego wiersza:

**Młodość jak róża biała, namiętna i blada,
Strumień szemrzący w cichej dolinie.**

**I książkę z bajki w prostej opowieści.
Och, nic w życiu nie jest bardziej ulotne
Niż Młodości Róża Biała.**

**Kto powinien ustrzec młodość przed bólem śmierci?
Młodość nie potrafiła, nie mogła ustrzec się sama.
Czy oni dwoje wiedzieli zbyt mało, czy może zbyt
wiele? I dlatego wydawało im się, że wiedzą
wszystko.**

II

**Tego ranka panna Marple wstała trochę wcześniej
niż zwykle. Zeszła na dół, lecz nie zastała nikogo z
domowników. Wyszła na zewnątrz frontowymi
drzwiami i obeszyła ogród. Nie dlatego bynajmniej,
aby jej się szczególnie podobał. Miała niejasne
przecucie, że w ogrodzie znajduje się coś, co pomoże
jej wyjaśnić zagadkę. Powinna to zauważyć
wcześniej, ale nie potrafiła, czuła się więc winna
niedopatrzenia.**

**Wolała nie spotkać żadnej z sióstr. Chciała
przemyśleć pewne sprawy i nowe fakty, które
pojawiły się podczas porannej rozmowy ze służącą
Janet.**

**Boczna furтка ogrodu była otwarta, panna Marple
wyszła na uliczkę. Minąwszy kilka wiejskich
sklepików, skierowała się w stronę strzelistej wieży
oznaczającej teren kościoła i przykościelnego
cmentarza. Pchnęła cmentarną bramę i rozpoczęła**

wędrówkę między grobami. Niektóre z nich pochodziły z dosyć odległych czasów, te w głębi, pod murem, były trochę późniejsze, a pozostałe, widoczne na nowo wyznaczonym terenie, znajdowały się tam od niedawna. Na najstarszych nagrobkach nie znalazła nic interesującego. Niektóre nazwiska powtarzały się, jak to zwykle bywa w niewielkich miejscowościach. Na przykład tablice z nazwiskiem Price: Jasper Price, Margery Price, Edgar i Walter Price oraz czteroletnia Melaine Price - cała rodzina. Hiram Broad, Ellen Jane Broad, dziewięćdziesięcioletnia Eliza Broad.

Doszła już do ostatnich grobów i właśnie miała wracać, kiedy zauważyła starszego mężczyznę porządkującego cmentarz. Ukłonił się jej.

- Dzień dobry - odpowiedziała panna Marple. - Piękna pogoda, prawda?

- Ale później będzie padało - oświadczył z przekonaniem.

- Widzę, że pochowano tu bardzo wielu Price'ów i Broadów - zauważyła panna Marple.

- A tak. Price'owie mieszkają tu od lat. Byli kiedyś właścicielami sporej ilości ziemi. Broadowie też są tutaj od dawna.

- Widziałam także grób dziecka. To przykre, kiedy umiera dziecko.

- Ach, chodzi pani o małą Melaine. Mówili na nią Mellie. Zginęła tragicznie. Potrącił ją samochód, kiedy wybiegła na ulicę ze sklepu z cukierkami. W

dzisiejszych czasach często się to zdarza, samochody jeżdżą jak szalone.

- To smutne, że w każdej chwili umierają ludzie. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, dopóki nie spojrzymy na tablice nagrobne. Różne są przyczyny: choroby, starość, nieszczęśliwe wypadki. Czasami znacznie gorsze rzeczy - morderstwa, na przykład zabójstwa młodych dziewcząt.

- To prawda, często się to zdarza. Dziewczyny są zwykle bezmyślne. Dzisiejsze matki nie mają czasu odpowiednio się nimi zająć, bo za dużo pracują. Panna Marple w zasadzie zgadzała się z tą opinią, ale szkoda jej było czasu na omawianie takich problemów.

- Mieszka pani w Starym Dworze, tak? - zapytał ogrodnik. - Widziałem, że przyjechała pani z wycieczką. Ale to chyba dla pani zbyt męczące. Wiele osób nie wytrzymuje takiego tempa.

- Rzeczywiście, trochę męczące - wyznała panna Marple. - Jednak mój dobry znajomy, niejaki pan Rafiel, napisał do swoich przyjaciółek, aby zaprosiły mnie do siebie na kilka dni.

Nazwisko Rafiel najwyraźniej niewiele mówiło starszemu człowiekowi.

- Tę uprzejmość zawdzięczam pani Glynne i jej siostrze - wyjaśniła. - Przypuszczam, że one także mieszkają tutaj bardzo długo.

- Niezbyt długo. Jakieś dwadzieścia lat. Stary Dwór należał do pułkownika Bradbury-Scotta. Umarł chyba około siedemdziesiątki.

- Czy miał jakieś dzieci?

- Jego syn zginął podczas wojny. Dlatego też zapisał dom swoim bratanicom. Nie miał innego spadkobiercy.

Ogrodnik wrócił do swojej pracy. Panna Marple weszła do kościoła. Wyczuwało się w nim rękę wiktoriańskiego restauratora. W oknach były jasne, odnowione witraże, tylko na ścianach pozostało kilka mosiężnych tablic z dawniejszych lat.

Zajęła miejsce w niewygodnej ławce i zaczęła rozmyślać. Czy znajdowała się na właściwym tropie? Sprawy zaczęły się ze sobą łączyć, ale związki te były nadal bardzo niewyraźne. Zamordowano

dziewczynę, właściwie kilka dziewcząt. Podejrzany był pewien młodzieniec, "chłopak", jak się teraz mówi. Zatrzymała go policja, przesłuchiwała.

Historia, jakich wiele. Dawna sprawa sprzed kilkunastu lat. Nie było czego wyjaśniać. Tragedia miała swój koniec. Co jeszcze mogłaby zrobić?

Czego oczekiwał od niej Rafael?

Pomyślała o Elisabeth Temple. Tak, ona na pewno wie coś więcej. Opowiedziała jej o dziewczynie, która zaręczyła się z Michaelem Rafielem. Ale jaka była prawda? W Starym Dworze nikt chyba nie słyszał o planowanym ślubie.

Panna Marple odtworzyła całą historię według typowego dla małych miasteczek scenariusza.

Początek był zawsze ten sam: chłopak poznaje dziewczynę. Spotykają się przez jakiś czas...

Pewnego dnia dziewczyna odkrywa, że jest w ciąży.

Mówi o tym chłopcu i chce, żeby się z nią ożenił. On jednak nigdy nie myślał o ślubie. Sytuacja staje się dla niego niewygodna. Zapewne jego ojciec nie chce o niczym słyszeć. Jej rodzina nalega, aby chłopak zachował się jak należy. Do tego czasu on już znudził się dziewczyną i być może zdążył sobie znaleźć następną. Wybiera więc proste, brutalne rozwiązanie. Dusi ją i masakruje twarz, żeby nie można było zidentyfikować ofiary. Nikczemna, obrzydliwa zbrodnia.

Rozejrzała się po wnętrzu kościoła. Wyglądało tak spokojnie, że istnienie zła wydało jej się niemożliwe. "Zdolność wyczuwania zła" - tak Rafael to określił. Wstała, wyszła z kościoła i raz jeszcze przyjrzała się cmentarzowi. Tutaj, wśród grobowców i wiekowych tablic nie czaiło się żadne zło. Czy wyczuwała je wczoraj w Starym Dworze? Ten wszechobecny nastrój przygnębienia i przytłaczający smutek. Anthea Bradbury-Scott z jej lęklivymi spojrzeniami rzucanymi przez ramię, jakby przez cały czas ktoś za nią stał.

Trzy siostry. One coś wiedziały, ale co?

Znów pomyślała o Elisabeth Temple. Wyobraziła sobie, jak razem z innymi uczestnikami wycieczki wędruje po wzgórzach, wspinając się po stromych ścieżkach i spoglądając na morze z wysokich skał. Jutro, kiedy panna Marple dołączy do grupy, będzie musiała poprosić Elisabeth, aby opowiedziała jej coś więcej.

Zawróciła w stronę Starego Dworu, szła teraz znacznie wolniej, ponieważ czuła się zmęczona. Nie przypuszczała, żeby poranny spacer na cmentarz miał jej w czymś pomóc. Do tej pory w domu trzech siostr również nie znalazła żadnych istotnych wskazówek. Usłyszała jedynie opowieść starej służącej o tragicznym wydarzeniu sprzed lat. Takie historie służba pamięta równie dokładnie jak szczęśliwe wydarzenia rodzinne: huczne wesela, wielkie przyjęcia, udane operacje lub cudowne ocalenia.

Zbliżając się do furtki, zauważyła stojące przy wejściu dwie osoby. Jedną z nich, pani Glynne, wyszła jej na spotkanie.

- Ach, tu pani jest - powiedziała. - Zastanawialiśmy się właśnie, co się z panią dzieje. Przypuszczałam, że poszła pani na spacer i martwiłam się, żeby się pani nie przemęczyła. Gdybym wiedziała, że się pani gdzieś wybiera, poszłabym z panią, aby pokazać te nieliczne warte zobaczenia miejsca.

- Byłam tu niedaleko - wyjaśniła panna Marple. - Obejrzałam cmentarz i kościół. Zawsze interesowały mnie kościoły. Czasami można tam znaleźć interesujące epitafia. Zbieram co ciekawsze teksty do mojej kolekcji. Zdaje się, że ten kościół został odnowiony w epoce wiktoriańskiej.

- Tak. Wstawili wtedy te okropne ławki. Solidne, z dobrego drewna, ale wyjątkowo nieładne.

- Mam nadzieję, że nie usunęli przy okazji niczego wartościowego.

- Nie sędzę. To nie jest żaden zabytkowy kościół.
- Rzeczywiście nie ma tam zbyt wielu starych tablic pamiątkowych ani charakterystycznych mosiężnych ozdób - przyznała panna Marple.
- Interesuje się pani architekturą sakralną?
- Ależ nie. Nie jestem żadnym znawcą. Ale kościoły są zawsze ciekawe. W mojej rodzinnej miejscowości, St. Mary Mead, życie koncentruje się wokół kościoła. To znaczy, kiedyś tak było, za czasów mojej młodości. Dzisiaj oczywiście wszystko się zmienia. A pani wychowywała się w tej okolicy?
- Niezupełnie. Mieszkaliśmy niezbyt daleko stąd, jakieś pięćdziesiąt kilometrów. W Little Herdsley. Mój ojciec był emerytowanym wojskowym, majorem artylerii. Przyjeżdżaliśmy czasami w odwiedziny do wuja, dokładnie ojca mojego wuja. Właściwie wtedy nie bywałam tu zbyt częstym gościem. Siostry przeprowadziły się tutaj po jego śmierci, a ja i mój mąż mieszkaliśmy jeszcze wtedy za granicą. Mąż zmarł cztery czy pięć lat temu.
- Ach, rozumiem.
- Siostry nalegały, abym przeniosła się do nich. Wydawało się to faktycznie najlepszym rozwiązaniem. Mieszkałam przez pewien czas w Indiach. Mąż stacjonował tam do śmierci. Trudno określić, gdzie są moje korzenie.
- Tak, to prawda. Wiem, co pani ma na myśli. Jednak czuła pani, że te korzenie są tutaj, skoro rodzina mieszkała w okolicy od wielu lat.

- Tak właśnie czułam. Oczywiście wcześniej byłam w stałym kontakcie z siostrami, odwiedzałam je.

Jednak przyszłość zawsze okazuje się inna, niż planujemy. Kupiłam mały domek pod Londynem, niedaleko Hampton Court, gdzie często bywam, pracując dla kilku londyńskich instytucji charytatywnych.

- A więc pracuje pani. To bardzo rozsądne.

- Ostatnio jednak odnoszę wrażenie, że powinnam więcej czasu spędzać z siostrami. Martwię się o nie.

- Zapewne o ich zdrowie - domyśliła się panna Marple. - Dzisiaj jest się czym martwić, zwłaszcza że trudno znaleźć kogoś, kto potrafiłby właściwie zająć się starszymi, schorowanymi osobami. Wiele z nich cierpi na reumatyzm lub artretyzm. Zdarzają się także nieprzyjemne wypadki, można na przykład spaść ze schodów lub poślizgnąć się w łazience.

- Clotilde zawsze była silna i wytrzymała - stwierdziła pani Glynne. - Ale niepokoję się o Antheę. Jest bardzo roztargniona, jakby nieobecna. Czasami gdzieś wychodzi, a potem gubi drogę.

- To przykre. Ludzie mają tyle różnych zmartwień.

- Nie wydaje mi się, aby Anthea miała się czym martwić.

- Może niepokoi się o sprawy finansowe - zasugerowała panna Marple.

- Nie, raczej nie. Przejmuje się jednak bardzo ogrodem. Pamięta, jak wyglądał kiedyś i chciałaby wszystko naprawić, doprowadzić do dawnego stanu. Clotilde tłumaczyła jej, że teraz nikogo na to nie

stać. Ale ona ciągle mówi o szklarniach, brzoskwiniach, które tam rosły, winogronach...

- ...i heliotropie liliowym porastającym ściany - dokończyła panna Marple.

- Pamięta pani? Tej rośliny się nie zapomina. Pięknie pachnie. No i winna latorośl. Miała wczesne, malutkie, ale bardzo słodkie owoce. No cóż, nie powinno się rozpamiętywać przeszłości.

- Panna Anthea marzy też zapewne o kwietnikach - zauważyła panna Marple.

- Tak, tak. Chciałaby mieć również duży, dobrze utrzymany trawnik, okalający ogród. To naprawdę niemożliwe. Dobrze, że przynajmniej raz na dwa tygodnie przychodzi ktoś do koszenia trawy. Niestety co roku zatrudniamy inną firmę. Ale Anthea wolałaby posiać trawę pampasową i tak zwane "goździki pani Simpkin", najlepiej białe. Miałyby rosnąć wzdłuż całego kamiennego muru. I jeszcze drzewo figowe przy wejściu do szklarni. Ona pamięta wszystko z dawnych czasów i nie przestaje o tym mówić.

- To musi być dla pani męczące.

- Tak. Wie pani, nie trafiają do niej żadne argumenty. Clotilde zachowuje się bardziej stanowczo. Ostatnio kategorycznie oświadczyła, że nie chce już słyszeć ani słowa na ten temat.

- To trudna sytuacja - przyznała panna Marple. - Nie wiadomo, jak postępować. Czy lepiej zachowywać się stanowczo i nieustępliwie, czy może wysłuchiwać drugiej osoby ze współczuciem i pozwalać jej na

marzenia, które nigdy nie zostaną spełnione.

Skomplikowana sprawa.

- Mnie jest trochę łatwiej, ponieważ nie mieszkam tutaj na stałe. Mogę udawać, że wierzę w zmiany na lepsze. Ale któregoś dnia, gdy przyjechałam do Starego Dworu, odkryłam, że Anthea próbowała zatrudnić jedną z najdroższych firm ogrodniczych. Chciała odnowić ogród i odbudować szklarnię, co zresztą było pozbawione sensu. Przecież nawet gdyby posadziła winorośl, to owoce pojawiłyby się dopiero za dwa lub trzy lata. Clotilde nic o tym nie wiedziała i strasznie się rozgniewała, zobaczywszy na biurku Anthei kosztorys. Była dla niej bardzo nieprzyjemna.

- Wszystko jest takie skomplikowane - panna Marple często używała tego wygodnego stwierdzenia. -

Wyjeżdżam chyba jutro rano - dodała. - Słyszałam, że wycieczka wyrusza dosyć wcześnie, zdaje się około dziewiątej.

- O Boże, mam nadzieję, że nie będzie to dla pani zbyt męczące.

- Nie sądzę. Jedziemy do miejscowości, która nazywa się... Stirling St. Mary, o ile dobrze pamiętam. To chyba niedaleko stąd. Po drodze mamy zwiedzić jakiś ciekawy kościół i zamek. Po południu będziemy oglądać ładny ogród, niezbyt duży, ale z rzadkimi okazami kwiatów. Po pobycie w Starym Dworze czuję się wypoczęta i powinnam dobrze znieść podróż. Teraz rozumiem, że te wszystkie wspinaczki na pewno by mnie zmęczyły.

- Wobec tego powinna pani wypocząć jeszcze dzisiaj po południu, aby zebrać siły na jutrzejszą wyprawę - poradziła pani Glynne, kiedy wchodziły do domu. - Panna Marple oglądała nasz kościół - wyjaśniła siostrze.

- Obawiam się, że nie ma tam nic wartego obejrzenia - stwierdziła Clotilde. - Wiktoriańskie witraże w najgorszym guście. Niczego nam nie oszczędzono. Niestety winę za to ponosi także nasz wuj. Podobały mu się te jaskrawe czerwienie i błękity.

- Rzeczywiście, krzykliwe i ordynarne - przyznała Lavinia. Po lunchu panna Marple zdrzemnęła się i dołączyła do domowników dopiero wczesnym wieczorem. Po kolacji panie dosyć długo rozmawiały. Panna Marple wspominała czasy swojej młodości, opowiadała o podróżach, wycieczkach, odwiedzanych miejscach i przypadkowo poznanych ludziach. Położyła się spać zmęczona i z poczuciem klęski. Nie dowiedziała się niczego nowego. Być może dlatego, że nic takiego nie istniało. Przypominało jej to trochę wyprawę na ryby, podczas której ryba nie brała, ponieważ nie było jej w wodzie. Albo ona założyła niewłaściwą przynętę...

ROZDZIAŁ JEDENASTY WYPADEK

Panna Marple dostała herbatę następnego dnia rano o siódmej trzydzieści. W ten sposób miała mnóstwo

czasu na spakowanie rzeczy. Właśnie zamykała swoją walizeczkę, kiedy usłyszała niecierpliwe stukanie do drzwi. Do pokoju weszła zdenerwowana Clotilde.

- O mój Boże! Na dole czeka jakiś młody człowiek, który chce się z panią zobaczyć. Emlyn Price. Jest z wycieczki. Przysłano go po panią.

- Tak, tak, pamiętam. Taki młody.

- Zgadza się. Modnie ubrany, z bujną czupryną. Przyszedł, żeby przekazać pani wiadomość. Niestety, nie najlepszą. Obawiam się, że wydarzył się wypadek.

- Wypadek? - panna Marple spojrzała przestraszona. - Wypadek drogowy? Rozbił się autokar? Ktoś jest ranny?

- Nie, nie. To zdarzyło się w górach, nie na drodze. Wczoraj po południu, podczas wycieczki. Pamięta pani, że wiał silny wiatr, chociaż nie sędzę, aby miał z tym coś wspólnego. Niektórzy chyba zabłądzili. Oczywiście jest tam wyznaczony szlak, ale można także pójść na skróty, stromym zboczem. Obie drogi prowadzą do Memoriał Tower, na Wzgórzu Bonawentury, dokąd wszyscy zmierzali. Przypuszczam, że grupa się rozdzieliła. Zabrakło jednego przewodnika, który pilnowałby całej wycieczki. Nie było to raczej rozsądne. Ludzie nie czują się zbyt pewnie w górach, a zbocze nad wąwozem jest dosyć strome. Nagle ze szczytu potoczył się grad kamieni, które uderzyły w jedną z osób idących poniżej.

- O mój Boże - westchnęła panna Marple. - Tak mi przykro. Niezwykle przykro. Kto został ranny?

- Zdaje się, że panna Temple albo Tenderdon.

- Elisabeth Temple. O Boże, to straszne!

Rozmawiałam z nią kilkakrotnie. Siedziałyśmy niedaleko siebie w autokarze. Pamiętam, że była dyrektorką bardzo znanej szkoły. Teraz jest chyba na emeryturze.

- Ach, rzeczywiście - powiedziała Clotilde. - Znam ją. Nawet dosyć dobrze. Kierowała słynną szkołą w Fallowfield. Nie miałam pojęcia, że uczestniczy w tej wycieczce. Przeszła na emeryturę rok czy dwa lata temu. Teraz szkoła ma młodą dyrektorkę o nowoczesnych poglądach. Ale panna Temple nie jest przecież jeszcze taka stara, ma najwyżej sześćdziesiąt lat. Prowadzi aktywne życie, lubi chodzić po górach, wspinać się. To wygląda na nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Mam nadzieję, że nie stało jej się nic poważnego. Jeszcze nie poznałam szczegółów wypadku.

- Jestem już gotowa - oświadczyła panna Marple, zatrzasnąwszy walizkę. - Schodzę zobaczyć się z panem Price'em.

Clotilde chwyciła walizkę.

- Pomogę pani. Proszę iść za mną i uważać na schody.

Panna Marple zeszła na parter, gdzie czekał na nią Emlyn Price. Czuprynę miał jeszcze bardziej zmierzwioną niż zwykle. Ubrany był we wspaniałą

strój: modne, wysokie buty, skórzaną kurtkę i turkusowe spodnie.

- Taki nieszczęśliwy wypadek! - zawołał, ściskając rękę pannie Marple. - Pomyślałem, że przyjdę tutaj i powiadomię panią o wszystkim. Panna Bradbury-Scott chyba już coś pani mówiła. To przytrafiło się pannie Temple, tej ze szkoły. Nie wiem dokładnie, jak to się stało, ale kilka kamieni lub raczej głazów stoczyło się z dosyć stromego zbocza. Uderzyły ją tak mocno, że została wczoraj odwieziona do szpitala ze wstrząsem mózgu. Obawiam się, że nie jest z nią najlepiej. W każdym razie zrezygnowaliśmy z dzisiejszego zwiedzania i zostajemy tutaj na kolejną noc.

- O mój Boże - powiedziała panna Marple. - Przykro mi, ogromnie mi przykro.

- Chcemy poczekać na wyniki badań.

Zdecydowaliśmy przенocować Pod Żłotym Dzikim i zmienić trochę dalszy program wycieczki. Być może w ogóle zrezygnujemy z planowanego na jutro zwiedzania Grangmering, gdzie podobno i tak nie ma nic specjalnie ciekawego. Pani Sandbourne pojechała wcześniej rano do szpitala. O jedenastej spotka się z nami w hotelu na kawie. Sądziłem, że może chciałaby pani pójść ze mną i dowiedzieć się o stan zdrowia panny Temple.

- Oczywiście, że z panem pójdę - odpowiedziała panna Marple. - Idę natychmiast.

Odwróciła się, aby pożegnać pannę Clotilde i panią Lavinę, które stały obok.

- Serdecznie paniom dziękuję - rzekła. - Były panie dla mnie takie uprzejme. Spędziłam tutaj dwa urocze dni i doskonale wypoczęłam. To straszne, co się stało...

- Jeżeli chciałaby pani zostać na jeszcze jedną noc - zaczęła pani Glynne - to oczywiście... - w tym momencie spojrzała na Clotilde.

Panna Marple, dzięki swej spostrzegawczości zauważyła, że Clotilde prawie niezauważalnie potrząsnęła głową i spojrzała znacząco na siostrę.

Pani Glynne dodała więc:

- Z drugiej strony przypuszczam, że wolałaby pani dołączyć do grupy, żeby...

- Tak, tak. Myślę, że tak będzie najlepiej - pospieszyła z odpowiedzią panna Marple. - Dowiem się wtedy, jakie są dalsze plany i może będę mogła w czymś pomóc. Nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Sądzę, że nie będzie problemu z pokojem w hotelu - spojrzała pytająco na Emlyna, który ją uspokoił.

- Żadnego problemu - powiedział. - Dzisiaj zwolniło się kilka pokoi. Nie ma zresztą zbyt wielu gości. Zdaje się, że pani Sandbourne zarezerwowała na tę noc miejsca dla całej grupy. Jutro zobaczymy, co będzie dalej.

Po raz kolejny wymieniły uprzejmości. Emlyn Price wziął bagaż panny Marple i ruszył naprzód szybkim krokiem.

- Hotel jest niedaleko. Trzeba skręcić za tym rogiem, a potem w pierwszą uliczkę w lewo - wyjaśnił.

- Znam drogę, przechodziłam tędy wczoraj. Biedna panna Temple. Mam nadzieję, że nie jest poważnie ranna.

- Obawiam się, że dosyć poważnie - odrzekł Emlyn. - Oczywiście lekarze mówią to, co zwykle w takich przypadkach: "trzeba czekać". W miasteczku nie ma szpitala, zawieziono ją do Carristown, około piętnastu kilometrów stąd. W każdym razie pani Sandbourne powinna wrócić, zanim zdąży się pani rozgościć w hotelu.

Kiedy weszli, cała grupa siedziała w kawiarni przy porannej kawie i bułeczkach. Usłyszeli akurat rozmowę państwa Butlerów.

- Taki tragiczny wypadek! - mówiła pani Butler. - To wstrząsające. Wydarzył się właśnie wtedy, gdy wszyscy byliśmy w takich dobrych nastrojach. Biedna panna Temple! Uważałam ją za osobę bardzo sprawną. Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda Henry?

- Tak, masz rację... Zastanawiam się właśnie... wiesz przecież, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Zastanawiam się, czy nie zrezygnować z dalszego ciągu wycieczki. Upłynie chyba kilka dni, zanim się wszystko wyjaśni. Sprawa może się jeszcze skomplikować. Jeśli, nie daj Boże, okaże się poważna, to... no wiesz, może zostać przeprowadzone jakieś dochodzenie, będziemy przesłuchiwani...

- Och Henry, nie mów takich strasznych rzeczy!

- Mam wrażenie, że podchodzi pan do tego zbyt pesymistycznie - zauważyła panna Cooke. - Na pewno sprawa nie będzie aż tak poważna.

Pan Caspar odezwał się swoją łamaną angielszczyzną:

- Ależ tak, poważna sprawa. Ja słyszeć wczoraj, jak pani Sandbourne rozmawiać przez telefon z doktorem. Bardzo, bardzo źle. Ciężki wstrząs, bardzo ciężki. Przyjechać specjalista, zobaczyć, czy można operować. Tak, sprawa poważna.

- O mój Boże - powiedziała panna Lumley. - Jeśli tak to wygląda, to może my też powinniśmy wrócić do domu, Mildred. Muszę sprawdzić rozkład jazdy pociągów. - Zwróciła się do pani Butler: - Wie pani, poprosiłam sąsiadów, aby zaopiekowali się moimi kotami, więc jeśli wycieczka przedłuży się o dzień lub dwa, wszystko się skomplikuje.

- No cóż, nie powinniśmy się tak ekscytować - stwierdziła pani Riseley-Porter głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Joanno, proszę wyrzucić tę bułkę do kosza. Jest zupełnie niejadalna. Okropny dżem. Nie chcę zostawić jej na moim talerzu, wygląda nieapetycznie.

Joanna pozbyła się bułki i zapytała:

- Czy mogę pójść z Emlynem na spacer po miasteczku? Nie sądzę, aby siedzenie w tym ponurym nastroju było dobrym rozwiązaniem. Nie możemy nic zrobić.

- Uważam, że to bardzo rozsądny pomysł - rzekła panna Cooke.

- Tak, tak, idźcie - dodała panna Barrow, zanim pani Riseley-Porter zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Cooke i Barrow spojrzwały na siebie, westchnęły i pokiwały głowami.

- Trawa była wczoraj bardzo mokra - zauważyła panna Barrow. - Sama poślizgnęłam się kilka razy.

- Kamienie też - powiedziała panna Cooke. - Kiedy skręcałam na ścieżkę, stoczył się z góry spory grad kamieni. Jeden nawet uderzył mnie dosyć mocno w ramię.

Kawa, herbata i ciasteczka szybko znikwały. Wszyscy czuli się nieswojo. Kiedy zdarzy się jakieś nieszczęście, nigdy nie wiadomo, jak się zachować.

Każdy wypowiedział swoje zdanie, wyraził zdziwienie lub niepokój. Wszyscy byli ciekawi wiadomości za szpitala, a jednocześnie chętnie by się czymś zajęli, na przykład zwiedzaniem, żeby wypełnić jakoś czas. Lunch miał być dopiero o pierwszej, a siedzenie przy stole i powtarzanie tych samych ponurych uwag nie wydawało się najlepszym wyjściem z sytuacji.

Cooke i Barrow wstały równocześnie i stwierdziły, że muszą zrobić małe zakupy. Powinny także pójść na pocztę i kupić znaczki.

- Chciałabym wysłać kilka widokówek. Muszę zapytać o cenę znaczków do Chin - wyjaśniła panna Barrow.

- A ja zamierzam kupić kilka kłębków wełny - powiedziała panna Cooke. - Może przy okazji coś

zwiedzimy. Podobno po drugiej stronie rynku jest jakaś interesująca budowla.

- Myślę, że wszystkim dobrze zrobi mały spacer - stwierdziła panna Barrow.

Pułkownik Walker i jego żona także wstali i zaproponowali państwu Butlerom wspólne oglądanie miasteczka. Okazało się, że pani Butler szuka sklepu z antykami.

- Właściwie nie chodzi mi o prawdziwe antyki, tylko o jakieś starocie. Czasami w takim sklepie można kupić coś ciekawego.

Wszyscy szykowali się do wyjścia. Joanna była już przy drzwiach, za nią ruszył Emlyn Price. Nie zamierzali tłumaczyć się ze swoich planów. Po nieudanej próbie zawrócenia siostrzenicy pani Riseley-Porter oświadczyła, że można by przynajmniej wybrać przyjemniejsze miejsce do siedzenia. Panna Lumley przyznała jej rację. Caspar poczuł się w obowiązku towarzyszyć obu paniom. Oprócz panny Marple w kawiarni pozostał tylko profesor Wanstead.

- Zastanawiam się, czy nie byłoby przyjemniej usiąść na powietrzu - profesor zwrócił się do panny Marple.

- Jest tutaj ogród i taras z widokiem na ulicę. Czy miałaby pani ochotę mi towarzyszyć?

Panna Marple zgodziła się chętnie i wstała. Nie miała jeszcze okazji porozmawiać z profesorem Wansteadem. Widziała, że wziął ze sobą kilka uczonych książek i ciągle je przeglądał. Czytał nawet w autokarze.

- A może pani także wolałaby pójść na zakupy? Ja jednak najchętniej usiądę w jakimś spokojnym miejscu i poczekam na panią Sandbourne. Dobrze byłoby wiedzieć, co się dzieje.

- Zgadza się z panem całkowicie - odparła panna Marple. - Wczoraj spacerowałam trochę po mieście i nie mam ochoty robić tego dzisiaj raz jeszcze.

Wolałabym poczekać tutaj. Może się na coś przydam. Nie spodziewam się, aby była taka potrzeba, ale nigdy nic nie wiadomo.

Wyszli z hotelu. Za rogiem, obok kamiennej ścieżki biegnącej wzdłuż ściany budynku, znajdował się niewielki, kwadratowy ogródek z mnóstwem wiklinowych krzeseł, w którym aktualnie nie było nikogo. Zajęli dwa miejsca naprzeciwko siebie.

Panna Marple przyjrzała się uważnie swemu rozmówcy. Miał usianą zmarszczkami twarz, krzaczaste brwi i bujne, siwe włosy. Chodził lekko przygarbiony, mówił suchym, ostrym głosem.

"Interesująca twarz - stwierdziła panna Marple - twarz człowieka z charakterem".

- Mam przyjemność z panną Marple, prawda?

- Zgadza się. Jestem Jane Marple.

Zdziwiła się, chociaż właściwie nie powinna.

Wycieczka nie trwała na tyle długo, aby wszyscy zdążyli się poznać. Zresztą ostatnie dwa dni spędziła z dala od grupy. Pytanie było więc całkiem naturalne.

- Tak myślałem - stwierdził Wanstead. - Pasuje pani do opisu, który wcześniej otrzymałem.

- Mojego opisu? - panna Marple nadal była zdziwiona.
- Tak - milczał przez chwilę, po czym powiedział ciszej, ale całkiem wyraźnie: - od pana Rafiela.
- Och! - zawołała panna Marple zupełnie zaskoczona.
- Jest pani zdziwiona?
- Raczej tak.
- A chyba pani nie powinna.
- Nie spodziewałam się, że... - zaczęła i nagle przerwała.

Profesor Wanstead milczał i przyglądał się jej badawczo, jakby miał za chwilę spytać: "Jakie szanowna pani ma objawy? Trudności w przelękaniu? Bezsenność? A może kłopoty z trawieniem?". Panna Marple miała teraz całkowitą pewność, że był lekarzem.

- Kiedy mnie panu opisał? To musiało być...
- Tak, jakiś czas temu. Kilka tygodni przed jego śmiercią. Mówił, że będzie pani na tej wycieczce.
- I wiedział, że pan także zamierza wziąć w niej udział.
- Można tak to ująć - odparł Wanstead. - Powiedział, że właściwie on sam zorganizował pani ten wyjazd.
- Tak, to miłe z jego strony - przyznała panna Marple.
- Naprawdę, bardzo miłe. Zrobił mi wspaniałą niespodziankę. Taki prezent! Nigdy nie mogłabym sobie na taki luksus pozwolić.

- Rzeczywiście. Ładnie to pani ujęła - profesor pokiwał z uznaniem głową, jakby nagradzał właściwą odpowiedź ucznia.

- To przykre, że zdarzyło się coś takiego - stwierdziła.

- Wszyscy tak dobrze się bawiliśmy.

- Tak - przyznał Wanstead. - Bardzo przykre zdarzenie. Niespodziewane. A może jednak należało się go spodziewać. Jak pani sądzi?

- Co pan ma na myśli, profesorze?

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, w odpowiedzi na jej oburzone spojrzenie.

- Pan Rafiel dużo mi o pani opowiadał - wyjaśnił. - zaproponował, abym wybrał się na tę wycieczkę i poznał panią. Zwykle na takim wyjeździe po kilku dniach tworzą się małe grupki osób o podobnych zainteresowaniach. Potem dodał, że powinienem mieć na panią oko.

- Mieć na mnie oko? - powtórzyła panna Marple z pewnym niezadowoleniem. - Z jakiegoż to powodu?

- Myślę, że chodziło mu o pani bezpieczeństwo. Chciał mieć pewność, że nic złego się pani nie stanie.

- A co miałyby mi się stać? Powinnam chyba wiedzieć.

- Na przykład coś takiego, co przytrafiło się pannie Elisabeth Temple - wyjaśnił Wanstead.

Zza rogu budynku wyszła Joanna Crawford. Niosła torbę na zakupy. Mijając ich, skinęła głową. Spojrzała na nich z zainteresowaniem i poszła dalej

uliczką. Profesor milczał, dopóki nie zniknęła im z oczu.

- Sympatyczna dziewczyna - powiedział. - Takie przynajmniej sprawia wrażenie. Wciąż jeszcze zadowolona z opieki i posłuszna despotycznej ciotce, ale sądzę, że już wkrótce wejdzie w okres buntu.

- Co pan miał na myśli, mówiąc o pannie Temple? - zapytała panna Marple, chwilowo niezainteresowana potencjalnym buntem Joanny.

- Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, powinniśmy chyba wspólnie spróbować odpowiedzieć na to pytanie.

- Chodzi panu o wypadek?

- Tak. Jeśli to był wypadek.

- Uważa pan, że nie?

- No cóż. Myślę, że trzeba rozważyć także inne możliwości. To wszystko.

- Nie wiem, co się tak naprawdę stało - panna Marple zawahała się.

- Rzeczywiście, nie było pani z nami, ponieważ jeśli mogę tak powiedzieć, wykonywała pani swoje obowiązki w innym miejscu, prawda?

Panna Marple milczała przez moment. Rzuciła profesorowi jedno czy dwa krótkie spojrzenia i odrzekła:

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Jest pani ostrożna. I bardzo dobrze.

- To stało się moim zwyczajem.

- Ostrożność?

- Właściwie ujęłabym to inaczej. Zawsze jestem gotowa, aby nie wierzyć w nic, a jednocześnie móc w każdej chwili uwierzyć we wszystko, co usłyszę.

- W tym wypadku także muszę pani przyznać rację. Nic pani o mnie nie wie. Zna pani tylko moje nazwisko, które widziała pani na liście uczestników tej sympatycznej wycieczki. Zwiedzamy razem zamki, zabytkowe posiadłości i wspaniałe ogrody. Panią zdaje się najbardziej interesują te ostatnie.

- Możliwe.

- Są tutaj i inne osoby, które interesują się ogrodami.

- Albo takie, które udają, że się interesują.

- Ach, to także pani zauważyła - powiedział profesor, po czym kontynuował wyjaśnienia: - zacznę może od początku. Miałem zadanie obserwować pani działania i być w pobliżu, gdyby zaszła taka potrzeba... gdyby pojawiło się niebezpieczeństwo, powiedzmy dosadnie, jakiejś "mokrej roboty". Teraz jednak sprawy wyglądają trochę inaczej. Musi pani zdecydować, czy jestem pani sprzymierzeńcem, czy wrogiem.

- Ma pan rację - odrzekła panna Marple. - Wyraził się pan dosyć jasno, ale nie udzielił mi pan żadnych informacji o sobie, które ułatwiłyby mi ocenę.

Przypuszczam, że był pan przyjacielem Rafiela.

- Nie - odparł Wanstead. - Nie byliśmy przyjaciółmi. Widziałem go tylko kilka razy. Raz na zebraniu zarządu w szpitalu, a drugi raz na jakiejś oficjalnej imprezie. Słyszałem o nim. On o mnie chyba też. Jeśli powiem, że jestem człowiekiem wybitnym w

swojej dziedzinie, pomyśli pani pewnie, że to próżność.

- Nie sądzę - odrzekła panna Marple. - Jeżeli mówi pan tak o sobie, to przypuszczalnie taka jest prawda. Podejrzewam, że pana zajęcie ma jakiś związek z medycyną.

- Jest pani spostrzegawcza. Bardzo spostrzegawcza. Rzeczywiście, ukończyłem studia medyczne. Zrobiłem także specjalizację z patologii i psychologii. Nie mam ze sobą żadnych dyplomów i będzie mi pani musiała uwierzyć na słowo. Mógłbym jednak pokazać pani listy adresowane do mnie i kilka dokumentów, które by panią przekonały. Specjalizuję się w medycynie sądowej. Mówiąc prościej, interesują mnie różne typy umysłów przestępczych. Badam to zagadnienie od kilku lat. Opublikowałem parę książek na ten temat. Niektóre z nich były powodem do wielu dyskusji i przysporzyły mi zarówno przeciwników, jak i zwolenników. Ostatnio nie mam zbyt wiele pracy. Sporo piszę, koncentrując się na tematach, które wydają mi się interesujące. Od czasu do czasu pojawia się jakaś sprawa, która szczególnie mnie zajmuje. Taka, którą chciałbym dokładniej zbadać. Ale zdaje się, że panią nudzę.

- Ależ wręcz przeciwnie - zaprotestowała panna Marple. - Słuchając pana mam nadzieję, że wreszcie dowiem się tego, czego nie powiedział mi pan Rafiel. Poprosił mnie, abym zajęła się pewną sprawą, nie wyjaśniając, o co mu dokładnie chodzi. Przedstawił

mi propozycję, a potem kazał działać całkowicie po omacku. Jego postępowanie wydało mi się zupełnie bezsensowne.

- Przyjęła pani jednak propozycję?

- Tak. Ale... będę z panem szczerą. Wiąże się z tym nagroda pieniężna.

- Która nie zaważyła jednak na pani decyzji?

Panna Marple milczała przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

- Zapewne trudno panu będzie w to uwierzyć, ale odpowiedź brzmi "nie".

- Nie jestem wcale zdziwiony. Sprawa po prostu panią zaintrygowała, prawda?

- Tak. Zaintrygowała mnie. Nie znałam pana Rafaela zbyt dobrze. Poznaliśmy się przypadkowo, ale widywaliśmy się dosyć często przez kilka tygodni. Podczas pobytu w Indiach Zachodnich.

Przypuszczam, że słyszał pan o tym.

- Wiem, że tam właśnie Rafael panią poznał i tam razem z panią współpracował.

Panna Marple spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Czyżby panu o tym mówił? - potrząsnęła głową.

- Tak, mówił mi - odparł Wanstead. - Uważał, że ma pani niezwykle dar do rozwiązywania zagadek kryminalnych.

Panna Marple spojrzała na niego, unosząc brwi. - I nie wydaje się to panu nieprawdopodobne? - zapytała. - Nie dziwi to pana?

- Rzadko się czemuś dziwię - wyjaśnił profesor. - Rafael był bardzo bystry i umiał właściwie oceniać ludzi. Jego zdaniem, pani także to potrafi.

- Nie powiedziałabym tego - stwierdziła panna Marple. - Niektórzy ludzie przypominają mi tylko inne, znane wcześniej osoby i na tej podstawie mogę czasami przewidzieć ich zachowanie. Jeżeli jednak sądzi pan, że wiem, co tutaj robię, to się pan myli.

- Raczej przypadkowo, niż według jakiegoś planu, znaleźliśmy się w tym wyjątkowo odpowiednim do rozmowy miejscu - powiedział. - Nie wydaje się możliwe, aby ktoś nas obserwował lub podsłuchiwał. W pobliżu nie ma żadnych drzwi, okien ani balkonów. Możemy więc swobodnie porozmawiać.

- Tak, to dobra okazja - odrzekła. - Muszę jednak od razu wyjaśnić, że nie mam pojęcia, na czym polega moje zadanie i co powinnam robić. Nie wiem, dlaczego pan Rafael tak to zaplanował.

- Ja się chyba domyślam. Chciał, aby poznała pani pewne fakty sama, bez żadnych uprzedzeń i sugestii z czyjejkolwiek strony.

- A więc pan także nie zamierza mi niczego wyjaśniać? - Panna Marple była zirytowana. - Naprawdę istnieją jakieś granice!

- Tak. Zgadza się z panią - profesor uśmiechnął się niespodziewanie. - Musimy przekroczyć niektóre z tych granic. Podam pani kilka informacji, dzięki którym zrozumie pani pewne sprawy.

- Raczej wątpię - odrzekła. - Będzie to zapewne kilka kolejnych zagadkowych wskazówek. A wskazówki to nie to samo co informacje.

- W takim razie... - zaczął Wanstead i przerwał.

- Na litość boską! Niech pan mówi! - zawołała panna Marple.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

NARADA

Spróbuję krótko, bez zagłębiania się w szczegóły, opowiedzieć, w jaki sposób zetknąłem się z tą sprawą. Od czasu do czasu pracuję dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako tajny doradca.

Współpracuję także z różnymi zakładami, które zajmują się organizacją utrzymania dla kryminalistów skazanych za rozmaite przestępstwa. Przebywają oni w miejscach odosobnienia przez ściśle określony czas, w zależności od ich wieku. Jeżeli są bardzo młodzi, kieruje się ich do specjalnie wyznaczonych zakładów. Na pewno rozumie pani, o czym mówię.

- Tak, oczywiście.

- Zazwyczaj wzywają mnie niedługo po dokonaniu przestępstwa, aby zasięgnąć rady w sprawie traktowania winnego i ewentualnych prognoz na przyszłość. To nieistotne dla naszej sprawy, dlatego nie będę pani dokładnie wyjaśniał. Czasami kierownik zakładu prosi mnie o konsultacje dotyczące jakiegoś szczególnego przypadku. W tej

sprawie zostałem wezwany za pośrednictwem ministerstwa. Pojechałem na spotkanie z kierownikiem, a właściwie naczelnikiem, który jest odpowiedzialny za więźniów, czy jak pani woli, pacjentów. Okazało się, że to mój kolega. Zналиśmy się od dawna, jednak nie łączyły nas żadne zażyłe stosunki. Stawiłem się na oficjalne wezwanie, a on przedstawił mi swój problem.

- Sprawa dotyczyła jednego z pacjentów, co do którego miał pewne wątpliwości. Chodziło o człowieka, który trafił do zakładu jako bardzo młody chłopak. Od tego czasu upłynęło już kilka lat, zmienił się też naczelnik. Mój znajomy nie pracował tam w momencie przyjęcia chłopca. Kiedy zwrócił na niego uwagę, bardzo się w tę sprawę zaangażował. Nie był wybitnym znawcą ludzkich charakterów, ale miał za sobą wiele lat doświadczeń, bo długo pracował wśród pacjentów i więźniów. Ten chłopak zawsze źle się prowadził. Łobuz, młody bandyta, człowiek o ograniczonej odpowiedzialności. Różnie można by go nazwać. Niektóre określenia są właściwsze, inne zupełnie mylące. W każdym razie nieustannie popadał w konflikt z prawem. Należał do gangów, był oskarżony o pobicia, kradzieże, defraudacje i oszustwa. Syn, który doprowadziłby do rozpaczki każdego ojca,

- Ach, teraz rozumiem - powiedziała panna Marple.

- Co pani rozumie?

- Domyślam się, że mówi pan o synu Rafiela.

- Tak, zgadza się. Mówię właśnie o nim. Co pani o nim wie?

- Niewiele - odparła. - Dokładnie wczoraj usłyszałam, że pan Rafiel miał syna, który delikatnie mówiąc, przysparzał ojcu wielu zmartwień. Chłopak z przeszłością kryminalną. Tylko tyle o nim wiem. Czy to jego jedyny syn?

- Tak, jedyny. Rafiel miał jeszcze dwie córki. Jedna z nich zmarła w wieku czternastu lat, starsza wyszła szczęśliwie za mąż, ale nie miała dzieci.

- To musiało być dla niego przykre.

- Możliwe - przyznał Wanstead. - Trudno powiedzieć. Jego żona zmarła młodo i sędzę, że właśnie jej śmierć najbardziej go dotknęła, chociaż nigdy tego nie okazywał. Nie wiem, jak bardzo troszczył się o dzieci. Zabezpieczył je finansowo i zrobił dla nich, co mógł. Pomagał synowi, ale nie wiadomo, co naprawdę czuł. Niełatwo się tego domyślić, ponieważ nie ujawniał swoich uczuć. Moim zdaniem, przez całe życie koncentrował się na zarabianiu pieniędzy. Interesowało go nie tyle samo ich posiadanie, ile proces zdobywania i pomnażania pieniędzy wszelkimi możliwymi, nawet zaskakującymi sposobami. Uwielbiał to i oddawał się swojemu zajęciu bez reszty.

Myślę, że robił co mógł dla syna. Wyciągał go ze szkolnych kłopotów, a potem zatrudniał najlepszych prawników, którzy bronili chłopca w sądzie. Były to różne drobne przewinienia, później jednak chłopak popełnił bardzo poważne przestępstwo. Stał przed

sądem oskarżony o napastowanie i zgwałcenie młodej dziewczyny, za co został skazany na karę więzienia, ale ze względu na młody wiek potraktowano go dosyć łagodnie. Potem oskarżono go o kolejne, jeszcze gorsze przestępstwo.

- Zabójstwo, tak? - zapytała panna Marple. - Słyszałam o tym.

- Podobno wywabił dziewczynę z domu. Widziano ich razem przed jej zniknięciem. Potem znaleziono ciało ofiary. Została uduszona, a jej twarz była zmasakrowana. Użyto ciężkich kamieni, prawdopodobnie dlatego, żeby utrudnić identyfikację.

- Niezbyt przyjemny sposób załatwiania sprawy - stwierdziła panna Marple tonem zdegustowanej starszej pani.

Profesor przyglądał jej się przez chwilę.

- Tak pani uważa?

- Tak, właśnie tak - odparła. - Takie postępowanie zawsze budziło mój sprzeciw. Niech pan nie oczekuje ode mnie współczucia czy próby usprawiedliwiania winnego jego trudnym dzieciństwem albo wpływem złego środowiska. Nie zamierzam użalać się nad tym pana młodym zabójcą. Nie lubię złych ludzi ani ich złych czynów.

- Cieszę się, że pani tak myśli - odrzekł profesor. - Nie uwierzyłaby pani, jak często w mojej pracy muszę wysłuchiwać różnych przestępców, którzy użalają się nad sobą i za własne winy oskarżają wszystkich, tylko nie siebie. Gdyby wiedzieli, w

jakich trudnych warunkach przychodzi żyć niektórym ludziom, w jakim środowisku, ile przeciwności losu mają do pokonania, a mimo to nie schodzą na złą drogę, nie mówiliby takich rzeczy. Należy współczuć tym nieprzystosowanym, którzy mogą urodzić się z nieodpowiednimi genami i nie ponoszą odpowiedzialności za swoje czyny. Tak jak współczuje się ludziom z wrodzonymi schorzeniami, na przykład epileptykom. Wie pani, czym są zmiany genetyczne?

- Mniej więcej. Tyle co przeciętny człowiek. Nie mam żadnej specjalistycznej wiedzy - powiedziała.

- Ten doświadczony naczelnik zakładu wyjaśnił dokładnie, dlaczego chciałby poznać moją opinię na temat więźnia. Uważał, że chłopak nie był zabójcą. Nie przypominał żadnego znanego mu typu mordercy. Z drugiej strony należał do tego rodzaju przestępców, którzy bez względu na rodzaj wymierzonej kary, traktowania ich i resocjalizacji, nigdy się nie zmieniają. Czuł jednak, że ostatni wyrok sądu był błędny. Nie wierzył, aby chłopak mógł zabić dziewczynę, dusząc ją i masakrując jej twarz. Po prostu nie mieściło mu się to w głowie. Przejrzał akta sprawy, okoliczności obciążały więźnia. Chłopak znał dziewczynę, widywali się wielokrotnie, zanim została zamordowana. Prawdopodobnie utrzymywali ze sobą intymne stosunki. Przed jej zniknięciem widziano jego samochód w okolicy, jego samego także rozpoznano. Wszystko wydawało się oczywiste, ale mojemu

koledze to nie wystarczało. Miał niezwykle silne poczucie sprawiedliwości. Postanowił zasięgnąć opinii kogoś innego, nie policji jednak - jej stanowisko było jasne - ale biegłego psychologa sądowego. Wiedział, że to moja specjalność, tym się dokładnie zajmowałem. Chciał, abym zobaczył tego młodego człowieka, porozmawiał z nim kilka razy, dokonał fachowej oceny i przedstawił mu ją.

- To ciekawe - powiedziała panna Marple. - Bardzo ciekawe. Pański kolega, ten naczelnik, miał duże doświadczenie i poczucie sprawiedliwości. Ze zdaniem takiego człowieka należy się liczyć.

Przypuszczam, że spełnił pan jego prośbę.

- Tak - odrzekł Wanstead. - Bardzo się w tę sprawę zaangażowałem. Spotykałem się z chłopakiem i rozmawiałem z nim. Rozważałem wszystko z różnych stron, przeanalizowałem okoliczności, które przedstawiono w sądzie. Powiedziałem, że istnieje szansa powtórnego rozpatrzenia sprawy.

Rozmawiałem z nim jak przyjaciel i jak wróg, aby sprawdzić jego zachowanie w różnych sytuacjach.

Przeprowadzałem także rozmaite nowoczesne testy psychologiczne. Nie będę pani wyjaśniał tych technicznych szczegółów.

- I do jakich doszedł pan wniosków?

- Stwierdziłem, że mój kolega miał rację. Moim zdaniem, Michael Rafiel nie był mordercą.

- A to poprzednie przestępstwo, o którym pan wspomniał?

- To oczywiście świadczyło przeciwko niemu. Ława przysięgłych nie wiedziała o niczym, aż do chwili ogłoszenia wyroku. Ale wpłynęło to na pewno na opinię sędziego. Oczywiście obciążało to chłopaka. Później jednak sam zrobiłem mały wywiad. Rzeczywiście napastował dziewczynę, nie jest wykluczone, że ją zgwałcił, ale nie próbował jej udusić. Moim zdaniem, a zetknąłem się z wieloma takimi sprawami, nie był to oczywisty przypadek gwałtu. Musi pani pamiętać, że dzisiejsze dziewczęta znacznie częściej prowokują gwałt niż dawniej. Ich matki nalegają później, aby to, co się stało, nazwać gwałtem. Tamta dziewczyna miała wielu chłopców, z którymi bynajmniej nie łączyły jej uczucia platoniczne. Nie uważałem więc, aby świadczyło to przeciwko niemu. Zabójstwo to co innego. Tutaj była prawdziwa ofiara. Ale wyniki wszystkich moich testów nie potwierdzały jego winy.

- Co pan wobec tego zrobił?

- Skontaktowałem się z panem Rafielem.

Powiedziałem, że chciałbym omówić pewną sprawę dotyczącą jego syna. Kiedy spotkaliśmy się, przedstawiłem mu opinię moją i naczelnika więzienia. Mówiłem, że nie mamy żadnych dowodów ani podstaw, aby się odwołać, ale obaj uważamy, że sąd wydał niesprawiedliwy wyrok. Można przeprowadzić kolejne dochodzenie, które odsłoniłoby zapewne nowe fakty, nie wiadomo jednak, czy byłoby skuteczne. Można także szukać dowodów na własną rękę, co na pewno będzie dosyć

kosztowne, ale dla człowieka z jego pozycją nie stanowiło to problemu. Równocześnie zdałem sobie sprawę, jak bardzo był chory. Zresztą sam mi o tym powiedział. Mówił, że koniec może nadejść w każdej chwili, chociaż dzięki niezwyklej sile organizmu i tak żył dłużej, niż oczekiwali lekarze. Zapytałem o jego uczucia do syna.

- No właśnie, i co powiedział? - zapytała panna Marple.

- Ciekawi to panią podobnie jak mnie. Myślę, że był ze mną szczery, nawet jeśli...

- ...dosyć bezwzględny? - podpowiedziała.

- Tak, użyła pani właściwego słowa. Był bezwzględnym, ale sprawiedliwym i uczciwym człowiekiem. Powiedział mi: "Wiem, jak mój syn postępował przez wiele lat. Nie próbowałem go zmieniać, ponieważ nie wierzyłem, aby było to możliwe. Taki już jest. Ma skrzywiony charakter. To łobuz i oszust. Zawsze sprawiał kłopoty. Nic i nikt na świecie nie potrafi go zmienić. Jestem tego całkowicie świadomy. W pewnym sensie umyłem ręce, tylko pozornie robiłem to, co należało. Zawsze gdy o to poprosił, dostawał pieniądze.

Załatwiałem mu pomoc prawną, kiedy była potrzebna. Robiłem co w mojej mocy. Powiedzmy, że gdyby mój syn urodził się ciężko chory, niepełnosprawny, robiłbym wszystko, aby mu pomóc. Skoro mam syna chorego moralnie, którego nie można wyleczyć, również mu pomagam. Tak to wygląda. A co teraz mogę dla niego zrobić?"

Powiedziałem, że to zależy od niego. "Jak pan widzi, jestem przywiązany do łóżka - odrzekł - ale doskonale wiem, co robię. Chciałbym oczyścić syna z zarzutów, aby został zwolniony z więzienia. Niech wyjdzie na wolność i żyje swoim własnym życiem najlepiej, jak potrafi. Jeśli mają to być kolejne nieuczciwości, niech tak będzie. Przeznaczę odpowiednie środki na ten cel. Trzeba zrobić w tej sprawie, co tylko możliwe. Nie chcę, żeby cierpiał, siedząc w więzieniu i nie mogąc normalnie żyć z powodu nieszczęśliwej pomyłki sądowej. Jeśli ktoś inny zabił dziewczynę, niech to zostanie ujawnione. Chcę dla Michaela sprawiedliwości. Jestem jednak schorowany i niedołężny. Moje życie dobiega końca. Odmierzam czas nie latami czy miesiącami, ale tygodniami".

Znam pewną firmę prawniczą... - zasugerowałem, ale on przerwał mi natychmiast. "Pańscy prawnicy na nic się nie przydadzą - oświadczył. - Może pan ich zatrudnić, ale to nie ma sensu. Sam muszę wszystko zorganizować w tym krótkim czasie, jaki mi pozostał". Zaproponował mi dużą sumę pieniędzy za zajęcie się sprawą. Miałem podjąć wszelkie możliwe działania, nie zważając na koszty. "Sam niewiele już mogę zrobić. W każdej chwili spodziewam się śmierci. Powierzam panu odpowiedzialność za wszystko, a do pomocy znajdę panu jeszcze jedną osobę". Zapisał nazwisko na kartce: "panna Jane Marple". "Nie podam panu jej adresu, stwierdził,

chę, abyście spotkali się w wybranych przeze mnie okolicznościach".

Potem powiedział mi o tej miłej, niewinnej wycieczce, w czasie której zwiedza się stare posiadłości, zamki i ogrody. Miał zarezerwować dla mnie miejsce na określony termin. "Panna Marple też tam będzie, mówił. Pozna ją pan na wycieczce i będzie to wyglądało na zwyczajne, przypadkowe spotkanie". Ja miałem wybrać najodpowiedniejszy moment, żeby się z panią zapoznać. Zapyta pani, czy ja lub znajomy naczelnik mamy podstawy, aby podejrzewać kogoś innego o dokonanie zabójstwa. Naczelnik oczywiście nie wskazał nikogo, ale podjął pewne kroki, kontaktując się z oficerem śledczym odpowiedzialnym za dochodzenie, godnym zaufania i bardzo doświadczonym.

- Nie podejrzewano nikogo? Jakiegoś innego przyjaciela dziewczyny albo dawnego, zazdrosnego chłopaka?

- Nikogo takiego nie znaleźliśmy. Poprosiłem, żeby Rafael opowiedział mi coś o pani. Nie bardzo chciał. Powiedział tylko, że jest pani starszą, znającą się na ludziach osobą i jeszcze jedno... - przerwał.

- Co takiego? - zapytała. - Wie pan, jestem z natury ciekawska. Naprawdę nie przychodzi mi do głowy żadna inna cecha. Trochę słabo słyszę, a mój wzrok nie jest już tak dobry jak dawniej. Nie wiem, co jeszcze można by o mnie powiedzieć poza tym, że jestem prostą, niewykształconą osobą, taką niezbyt

mądrą, nieszkodliwą staruszką. Czy powiedział coś w tym rodzaju?

- Nie - odrzekł profesor. - Stwierdził, że ma pani dar wyczuwania zła.

- Och! - panna Marple była zaskoczona. Wanstead przyglądał się jej.

- Zgodziłaby się pani z tą opinią? - zapytał. Milczała przez dłuższą chwilę, aż w końcu odpowiedziała:

- Być może miał rację. Rzeczywiście kilka razy zdarzyło się, że zauważyłam lub wyczułam złoczące się w okolicy. Czułam na przykład, że coś niedobrego krąży wokół osoby z mojego otoczenia i ma to związek z różnymi wydarzeniami.

Spojrzała na niego i nagle uśmiechnęła się.

- To trochę tak, jakby urodzić się z wyostrzonym węchem. Wyczuwa się na przykład ulatniający się gaz, gdy inni go nie czują, albo rozróżnia zapachy perfum. Miałam kiedyś ciotkę, która twierdziła, że czuje, kiedy ktoś kłamie. Mówiła, że unosi się wtedy wokół niego charakterystyczny zapach, który drażni jej nos. Nie wiem, czy to była prawda, ale w kilku przypadkach wykazała się wyjątkową intuicją.

Powiedziała kiedyś do mojego wuja: "Jack, nie zatrudniaj człowieka, z którym rozmawiałeś dzisiaj rano. Kłamał jak z nut", i okazało się, że miała rację.

- Dar wyczuwania zła - powtórzył profesor. - No cóż, jeśli wyczuje pani coś niedobrego, proszę mi powiedzieć. Chciałbym o tym wiedzieć. Nie sądzę, żebym miał takie zdolności. Rozpoznaję choroby,

rozmaite dolegliwości, ale zła rodzącego się tutaj - dotknął palcem czoła - niestety nie.

- Teraz ja panu opowiem, jak zetknęłam się z tą sprawą - zaproponowała. - Po śmierci pana Rafiela, jego prawnicy zaprosili mnie do siebie na rozmowę i przedstawili tę propozycję. Otrzymałam list od Rafiela, który niczego nie wyjaśniał. Potem przez jakiś czas nic się nie działo. Następnie dowiedziałam się, że przed śmiercią pan Rafael zarezerwował dla mnie wycieczkę. Chciał mi zrobić niespodziankę, uważał, że sprawi mi tym przyjemność. Dostałam zawiadomienie z biura podróży. Byłam bardzo zaskoczona, ale potraktowałam ten wyjazd jako pierwszy etap w rozwiązaniu tajemnicy.

Pomyślałam, że podczas wycieczki pojawi się kolejna wskazówka lub chociaż jakiś trop. I chyba miałam rację. Wczoraj, przepraszam: przedwczoraj, po przyjeździe tutaj poznałam trzy kobiety, które mieszkają w domu o nazwie Stary Dwór.

Zaproponowały mi u siebie gościnę. Pan Rafael jakiś czas przed śmiercią napisał im, że jego dawna znajoma przyjedzie tutaj z wycieczką. Chciał, aby zaprosiły mnie na dwa lub trzy dni, ponieważ nie podołam trudom wspinaczki na Memoriał Tower, która była głównym punktem wczorajszego programu.

- I to także potraktowała pani jako wskazówkę.

- Oczywiście - odrzekła. - Nie mogło być innego powodu. Pan Rafael nie był człowiekiem, który bezinteresownie robiłby komuś przyjemności i

troszczył się o staruszkę nie mającą siły chodzić po górach. On po prostu chciał, abym się tam znalazła.

- Przyjęła pani zaproszenie i co było dalej?

- Nic - powiedziała. - Poznałam trzy siostry.

- Trzy fatalne siostry.

- Na początku też tak myślałam - przyznała. - Ale to całkiem zwyczajne siostry, w każdym razie tak mi się wydaje. Nie jestem jeszcze pewna. Zobaczymy. Dom należał kiedyś do ich wuja, przeprowadziły się tutaj dopiero kilkanaście lat temu. Żyją raczej w trudnych warunkach. Sympatyczne, niezbyt interesujące kobiety. Każda trochę inna. Nie znały chyba dobrze Rafiela. Moje rozmowy z nimi nie wniosły niczego nowego do sprawy.

- Niczego się pani nie dowiedziała podczas tej wizyty?

- Usłyszałam tylko o tych wydarzeniach, o których pan przed chwilą opowiadał. Nawet nie od sióstr, a od starej służącej, która pamiętała jeszcze czasy wuja. Znała Rafiela tylko z nazwiska. Ale dużo powiedziała mi na temat morderstwa. Opowiadała, że wszystko zaczęło się od wizyty tego straszego łobuza, syna pana Rafiela. Mówiła, że dziewczyna zakochała się w nim, a on ją udusił. Taka tragiczna historia! I tak dalej. Dużo przesady, ale historia rzeczywiście okropna. Uwierzyła policji, że to nie było jego pierwsze zabójstwo.

- Nie dopatrzyła się pani jakiegoś związku między morderstwem a trzema fatalnymi siostrami?

- Nie. Wiem tylko, że były opiekunkami dziewczyny i bardzo ją kochały. Nic poza tym.

- Mogłyby wiedzieć coś o innym mężczyźnie.

- Tak. Tego właśnie szukamy, prawda? Brutalnego mężczyzny, który po zabiciu dziewczyny nie zawahałby się, aby zmasakrować jej twarz.

Człowieka oszalałego z zazdrości. Bywają tacy.

- A poza tym nic ciekawego nie usłyszała pani w Starym Dworze?

- Nie, raczej nie. Jedna z sióstr, chyba najmłodsza, nie przestaje mówić o ogrodzie. Wypowiada się tak, jakby była zapalonym ogrodnikiem, ale nawet nie zna nazw połowy gatunków. Przyłapałam ją na tym, kiedy wymieniłam kilka rzadkich roślin. Raz mówiła, że szybko rosną, innym razem, przeciwnie, że są bardzo delikatne. W rzeczywistości zupełnie nie знаła się na roślinach. To mi kogoś przypomina...

- Kogo takiego?

- Pomyśli pan zapewne, że mam bzika na punkcie ogrodów, ale znam się na ogrodnictwie, podobnie jak na ptakach, o których sporo wiem.

- Sądzę jednak, że chciałaby pani powiedzieć mi coś na temat ogrodów.

- Tak. Czy zwrócił pan uwagę na dwie kobiety z tej wycieczki, panny Cooke i Barrow?

- Dwie stare panny, które podróżują razem?

- Zgadza się. Myślę, że w pannie Cooke jest coś dziwnego. Nazywa się Cooke, prawda? To znaczy, takiego nazwiska używa na wycieczce.

- Czyżby miała jakieś inne?

- Tak mi się wydaje. Jest to ta sama osoba, która mnie kiedyś odwiedziła. Właściwie nie odwiedziła, tylko przechodziła koło mojego domu w St. Mary Mead. Pochwaliła ogród, a potem rozmawialiśmy chwilę o ogrodnictwie. Mówiła, że zatrzymała się w tej miejscowości, ponieważ zajmuje się czymś ogrodem. Jakiejś pani, która przeprowadziła się do któregoś z nowych domów. Sądzę, że to wszystko kłamstwa. Ona także nie miała pojęcia o ogrodnictwie, tylko udawała, że coś wie.

- Dlaczego tam się znalazła, jak pani myśli?

- Nie miałam wtedy pojęcia. Powiedziała, że nazywa się Bartlett, a kobieta, u której mieszka miała nazwisko na "h", nie pamiętam w tej chwili. Od tego czasu zmieniła nie tylko uczesanie, ale i kolor włosów. Z początku nie rozpoznałam jej.

Zastanawiałam się, dlaczego ta twarz wydała mi się dziwnie znajoma. I nagle zorientowałam się: z powodu tych farbowanych włosów. Powiedziałam, że pamiętam, gdzie ją wcześniej widziałam. Przyznała, że była w St. Mary Mead, ale udawała, że mnie nie poznaje. Same kłamstwa.

- A pani co o tym wszystkim myśli?

- No cóż, jedno jest pewne. Panna Cooke, powiedzmy, że tak się nazywa, przyjechała do St. Mary Mead, aby mi się przyjrzeć. Chciała mieć pewność, że rozpozna mnie przy kolejnym spotkaniu.

- Ale do czego jej to było potrzebne?

- Nie wiem. Są dwie możliwości i chyba jedna z nich nie bardzo mi się podoba.

- Mnie także się ona nie podoba - przyznał profesor. Milczeli przez kilka minut, a potem Wanstead powiedział:

- Nie podoba mi się również ta historia z Elisabeth Temple. Rozmawiała z nią pani podczas wycieczki?

- Tak. Kiedy poczuje się lepiej, chciałabym z nią jeszcze raz porozmawiać. Może nam coś więcej powiedzieć o zamordowanej. Opowiadała mi o dziewczynie, która była w jej szkole i która zamierzała wyjść za mąż za syna Rafie-la. Nie zrobiła tego, ponieważ zmarła. Zapytałam dlaczego i jak do tego doszło. A ona odpowiedziała jednym słowem: "miłość" - taka była przyczyna. Sądziłam, że myślała o samobójstwie, ale to było morderstwo. Mogło jednak być z miłości, jeśli zrobił to inny człowiek, na przykład zazdrosny rywal, którego musimy znaleźć. Panna Temple może nam powiedzieć, kto to jest.

- Czy nie wyczuwa pani innych złowróżbnych znaków?

- Myślę, że potrzebujemy raczej kilku zwyczajnych informacji. Nie wierzę, żeby groziło nam niebezpieczeństwo ze strony uczestników wycieczki, albo żeby zło czaiło się w Starym Dworze. Ale jedna z sióstr prawdopodobnie wie coś więcej. Może pamięta jakąś wypowiedź dziewczyny albo Michaela. Myślę o Clotilde, opiekunce dziewczyny, która często wyjeżdżała z nią za granicę. Dlatego mogłaby

pamiętać coś, co dziewczyna powiedziała podczas takiej wycieczki, jakiegoś człowieka, którego wtedy poznała. Może zdarzyło się coś ważnego, co nie musi mieć związku ze Starym Dworem. To trudne, kiedy próbuje się znaleźć wskazówki, wyciągając wnioski z przypadkowych rozmów. Druga z sióstr, pani Glynne, dosyć wczesnie wyszła za mąż. Mieszkała chyba w Indiach i Afryce. Mogła dowiedzieć się czegoś od męża albo jego krewnych, ale to także nie będzie miało nic wspólnego z domem sióstr, gdyż odwiedzała je tylko czasami. Znała zapewne zamordowaną, chociaż nie tak dobrze jak one, co jednak wcale nie znaczy, aby nie mogła wiedzieć o niej czegoś istotnego. Trzecia siostra jest trochę dziwna i roztrzepana. Zdaje się, że również nie znała dziewczyny najlepiej. Ale też mogłaby słyszeć coś o jej dawnych chłopakach czy kochankach albo widzieć zamordowaną z jakimś obcym człowiekiem. O, to właśnie ona przechodzi teraz obok hotelu. Panna Marple, mimo że patrzyła na swego rozmówcę, nie zrezygnowała ze zwyczaju obserwowania wszystkiego wokół. Z tego miejsca natychmiast zauważała wszystkich przechodniów i tych spieszących się dokąds, i tych spacerujących bez celu.

- Anthea Bradbury-Scott. Ta kobieta z dużą paczką. Przypuszczam, że niesie ją na pocztę, która znajduje się chyba za rogiem.

- Trochę zwariowana - zauważył Wanstead. - Z tymi rozwianymi siwymi włosami wygląda jak Ofelia po pięćdziesiątce.

- Też tak pomyślałam, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. O Boże, chciałabym wiedzieć, co robić! Zostać Pod Żółtym Dzikim przez kilka dni czy dołączyć do wycieczki? Czuję, jakbym szukała igły w stogu siana. Ale jeśli poszuka się dostatecznie głęboko, w końcu coś się znajdzie, nawet jeśli grozi to ukłuciem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY CZERWONO-CZARNA KRATKA

I

Kiedy wróciła pani Sandbourne, cała grupa zasiadała do lunchu. Opiekunka grupy nie przywiozła dobrych wieści. Panna Temple nadal była nieprzytomna i przez co najmniej kilka dni musiała pozostać w szpitalu.

Potem omówione zostały sprawy organizacyjne. Pani Sandbourne podała rozkład jazdy pociągów tym z uczestników, którzy chcieliby wracać do Londynu, oraz przedstawiła nowy program na kolejne dni. Zapropowała także krótką popołudniową wycieczkę po okolicy. Mieli pojechać w małych grupach wypożyczonymi samochodami.

Kiedy wychodzili z restauracji, Wanstead podszedł do panny Marple i powiedział:

- Wolałaby pani chyba odpocząć po południu. Jeśli jednak nie, może zwiedzilibyśmy pewien interesujący kościół w okolicy? Przyjechałbym po panią za godzinę.

- Z przyjemnością - odrzekła.

II

Profesor zjawił się o omówionej godzinie. Panna Marple nie pytała o nic.

- Pomyślałem, że ten kościół spodoba się pani.

Niedaleko jest także ładna miejscowość do zobaczenia - wyjaśnił. - Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy zwiedzić okolicy, skoro już tu jesteśmy.

- Dobry pomysł - powiedziała, lecz spojrzała na niego z lekkim wahaniem. - Bardzo dobry, jednak... czy nie wydaje się panu, że to trochę bezduszne z naszej strony?

- Moja droga, panna Temple nie jest przecież pani przyjaciółką. Chociaż to oczywiście przykre, co jej się przydarzyło.

- No cóż - odparła. - Ma pan chyba rację.

Profesor otworzył drzwiczki samochodu i panna Marple wsiadła. Musiał wynająć ten samochód. To miłe, że zabiera starszą panią na wycieczkę po okolicy. Mógłby przecież znaleźć sobie jakąś młodszą, ciekawszą i na pewno bardziej atrakcyjną towarzyszkę. Panna Marple przyglądała się profesorowi, kiedy przejeżdżali przez wioskę. On

jednak nie patrzył na nią, czasami tylko wyglądał przez szybę ze swojej strony.

Kiedy wyjechali z miejscowości i znaleźli się na drugorzędnej krętej drodze górskiej, odwrócił głowę i powiedział:

- Niestety, nie pojedziemy do kościoła.

- Tak przypuszczałam - odrzekła.

- No tak, musiała się pani domyślać.

- Dokąd wobec tego jedziemy, jeśli można spytać?

- Do szpitala w Carristown.

- Ach, tam gdzie leży panna Temple? Pytanie nie wymagało odpowiedzi.

- Pani Sandbourne przywiozła mi list od dyrekcji szpitala. Właśnie rozmawiałem z nimi telefonicznie.

- Czy ich zdaniem panna Temple wyzdrowieje?

- Niestety, nie wiadomo.

- Rozumiem, a właściwie nie rozumiem - stwierdziła.

- Trudno powiedzieć, czy wyzdrowieje, ale nic więcej nie można zrobić. Przypuszczalnie nie odzyska już przytomności, jednak mogą pojawić się jakieś przebłyski.

- Ale dlaczego mnie pan tam wiezie? Mówił pan przecież, że nie jestem jej przyjaciółką. Poznałam ją dopiero na wycieczce.

- Tak, wiem o tym. Zabieram tam panią, ponieważ kiedy panna Temple odzyskała na chwilę świadomość, prosiła, aby pani przyjechała.

- Rozumiem - odpowiedziała. - Ciekawe, po co chciała zobaczyć się właśnie ze mną. Dlaczego uważała, że mogłabym coś dla niej zrobić. To mądra

kobieta. W pewnym sensie wielka osobowość. Jako dyrektorka szkoły w Fallowfield zajmowała znaczącą pozycję w środowisku pedagogów.

- Była chyba dyrektorką najlepszej szkoły dla dziewcząt?

- Tak. To niezwykła osoba. Bardzo wykształcona. Jej specjalnością była matematyka, ale jako wszechstronny pedagog interesowała się wszystkim, zwłaszcza odkrywaniem i rozwijaniem zdolności swoich uczennic. Gdyby umarła, byłoby to wielkie okrucieństwo losu i ogromna strata. Chociaż panna Temple zrezygnowała ze szkoły i przeszła na emeryturę, była niezwykle żywotna. Ale ten wypadek... - przerwała - może nie chce pan o tym mówić?

- Lepiej chyba, abyśmy o tym porozmawiali. Wiemy, że ze wzgórza, stoczył się wielki głaz. To zdarzało się już wcześniej, chociaż dosyć rzadko. Ktoś jednak widział, jak do tego doszło i opowiedział mi o wszystkim - wyjaśnił Wanstead.

- Ktoś opowiadał panu o wypadku? Kto taki?

- Tych dwoje młodych ludzi. Joanna Crawford i Emlyn Price.

- Co mówili?

- Joanna powiedziała, że wydawało jej się, jakby na górze stała jakaś osoba. Dosyć wysoko. Ona i Emlyn wspinali się kamienistą, biegnącą wokół wzgórza ścieżką. Kiedy minęli zakręt, ujrzeli zarys jakiejś postaci. Człowiek ten próbował zepchnąć na dół wielki głaz. Kamień zakołysał się, a potem zaczął

coraz szybciej staczać się po zboczu. Panna Temple doszła do miejsca, które znajdowało się dokładnie poniżej i wtedy głaz w nią uderzył. Jeśli ktoś zrobił to umyślnie, mógł po prostu chybić, trafił jednak. Jeżeli usiłował zrobić jej krzywdę, udało mu się to aż nazbyt dobrze.

- Zobaczyli mężczyznę czy kobietę? - zapytała panna Marple.

- Niestety Joanna nie potrafiła powiedzieć. Osoba ta miała na sobie prawdopodobnie dzinsy i niezwykle pulower w czerwono-czarną kratkę. Postać odwróciła się i niemal natychmiast znikła im z oczu. Joannie wydawało się, że to raczej mężczyzna, ale nie miała pewności.

- I podobnie jak pan, Joanna uważa, że zaplanował on atak na życie panny Temple?

- Im dłużej o tym rozmyśla, tym mocniej w to wierzy. Chłopak jest tego samego zdania.

- Nie ma pan pojęcia, kto to mógł być?

- Absolutnie. Oni także nie. Może ktoś z naszej grupy, kto poszedł wtedy na przechadzkę, albo zupełnie obca osoba, która wiedziała o przyjeździe wycieczki i wybrała to wzgórze na miejsce swego ataku. Jakiś młody przestępca, który wyładował agresję dla przyjemności. Albo jej wróg.

- Tajemniczy wróg. To brzmi dosyć melodramatycznie - zauważyła.

- Rzeczywiście. Kto chciałby zabić emerytowaną i szanowaną dyrektorkę szkoły? Na to pytanie musimy znaleźć odpowiedź. To raczej mało

prawdopodobne, ale może panna Temple będzie potrafiła nam to wyjaśnić. Mogła rozpoznać osobę na wzgórzu albo domyśla się, kto żywi do niej jakąś urazę.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie także - powiedział profesor. - Wydaje się niemożliwe, aby ktoś chciał jej zrobić krzywdę. Z drugiej strony, jako dyrektorka szkoły, znała wiele osób. Sporo ludzi, jeśli mogę tak powiedzieć, przewinęło się przez jej rękę.

- To znaczy, mnóstwo dziewcząt.

- Tak, o tym właśnie myślałem. Dziewczęta i ich rodziny. Dyrektorka musi wiedzieć o wielu sprawach, nawet takich, których nie domyślają się rodzice. Na przykład o romansach swoich uczennic. Tak, tak, w ostatnich latach zdarzają się one coraz częściej. Mówi się, że teraz dziewczęta dojrzewają szybciej. W sensie fizycznym - tak, ale emocjonalnie rozwijają się znacznie wolniej. Długo pozostają dziecinne. Objawia się to w ich sposobie ubierania, uczesaniu. Te minispódniczki, pastelowe piżamki, fartuszki, krótkie spodenki i rozpuszczone włosy stanowią tęsknotę za okresem dzieciństwa. Wolałyby nie dorastać, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności. Z drugiej strony, jak każde dziecko, pragną być dorosłe i móc swobodnie robić to co inni ludzie. Czasami prowadzi to do tragedii.

- Czy ma pan coś konkretnego na myśli?

- Niezupełnie. Rozważam różne możliwości, pozwalając swobodnie krążyć myślom. Nie potrafię

uwierzyć, aby Elisabeth Temple miała osobistego wroga. Na tyle bezlitosnego, żeby chciał ją zabić. A pani co myśli? - spojrzał na pannę Marple. - Czy przychodzi coś pani do głowy?

- No cóż, zdaje się, że wiem, co pan sugeruje.

Zdaniem pana, Elisabeth Temple wiedziała coś, co byłoby dla kogoś niewygodne lub niebezpieczne, gdyby wyszło na jaw.

- Tak właśnie myślę.

- W takim razie - stwierdziła - wydaje się, że na wycieczce znalazła się osoba, która rozpoznała pannę Temple. Jednak dyrektorka, z powodu upływu czasu, nie mogła tej osoby pamiętać. Czyżbyśmy wracali do naszych znajomych z autokaru? -

milczała chwilę. - Mówił pan, że ten pulower był w czerwono-czarną kratę?

- Ach tak, pulower - spojrzał na nią z ciekawością. - Co panią w tym uderzyło?

- Taki sweter rzuca się w oczy - stwierdziła. - Od razu nasunęło mi się to spostrzeżenie. Takie kolory się zapamiętuje. Joanna zwróciła uwagę właśnie na pulower.

- I co to według pani oznacza?

- Umyślne pozostawienie śladu - powiedziała z namysłem. - Ktoś chciał, aby zauważyć pulower, zapamiętać i rozpoznać go.

- Proszę mówić dalej - zachęcał Wanstead.

- Kiedy trzeba opisać osobę widzianą z daleka, pierwsza rzecz, na jaką zwracamy uwagę, to jej ubranie. Nie na sposób poruszania się albo na twarz

czy inne części ciała, które widać tylko z bliska. Pamiętamy szkarłatny szkocki beret, purpurowy płaszcz, dziwaczną skórzaną kurtkę lub niezwykle pulower w czerwono-czarną kratkę. Wszystko, co rzuca się w oczy i łatwo daje się rozpoznać. Jeżeli jednak taka osoba pozbędzie się ubrania, wyśle je na przykład w paczce do jakiegoś miejsca oddalonego o kilkadziesiąt mil, wyrzuci do ulicznego kosza na śmieci, spali czy w inny sposób zniszczy, a potem ubierze się skromnie i bezbarwnie, nie będzie kojarzona z tą częścią garderoby ani o nic podejrzewana. Ten czerwono-czarny sweter został założony celowo. Miał być rozpoznany, ale na pewno nie na swoim właścicielu.

- Sprytne rozwiązanie - przyznał profesor. - Wie pani, że Fallowfield znajduje się niedaleko, chyba dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Elisabeth Temple mieszkała w tej właśnie okolicy, zna więc tutejszych ludzi i sama również mogła zostać rozpoznana.

- Tak. To daje nam wiele możliwości - stwierdziła. - Ja także uważam, że atakujący raczej był mężczyzną. - Jeżeli gwałt zrzucano umyślnie, zrobione to zostało z dużą precyzją, która cechuje bardziej mężczyzn niż kobiety. Z drugiej strony mógł być to po prostu ktoś z naszej wycieczki. Albo osoba mieszkająca w okolicy, która zobaczyła pannę Temple, powiedzmy, na ulicy. Na przykład dawna uczennica, teraz dorosła kobieta, której nauczycielka nie rozpoznałaby po tylu latach. Natomiast panna Temple jest już w takim wieku, że sama niewiele się

zmienia. A więc uczennica rozpoznaje dyrektorę, która musi wiedzieć coś, co może się okazać dla niej niebezpieczne - westchnęła. - Przyznam, że nie znam tej okolicy, a pan?

- Niestety, ja też nie. Usłyszałem tylko kilka lokalnych historii, ale głównie od pani. Gdyby nie nasza znajomość, wiedziałbym bardzo niewiele. A pani dlaczego znalazła się tutaj? Wszystko zostało zorganizowane przez Rafiela: i ta wycieczka, i nasze spotkanie. Przejeżdżaliśmy przez tyle innych miejscowości, jednak pani miała się zatrzymać na dłużej właśnie w tej. U dawnych znajomych Rafiela, które nie odrzuciłyby jego prośby. Dlaczego tak się stało?

- Miałam zebrać pewne informacje - odpowiedziała.

- O serii morderstw, które wydarzyły się wiele lat temu - Wanstead spojrział z powątpiewaniem. - Nie ma w tym nic niezwykłego. Takie rzeczy dzieją się różnych miejscach Wielkiej Brytanii. Zabójstwa często są seryjne. Najpierw znajduje się ciało pierwszej zamordowanej, potem w niewielkiej odległości od tamtej ciała następnej. Później, dwadzieścia kilometrów dalej, jeszcze jednej. We wszystkich wypadkach ten sam sposób zabijania. W Jocelyn St. Mary zgłoszono zaginięcie dwóch dziewcząt. Pierwsza z nich to ta, o której mówimy. Ciało znaleziono po sześciu miesiącach, kilkadziesiąt kilometrów stąd. Po raz ostatni widziano ją w towarzystwie Michaela Rafiela.

- A druga?

- Nazywała się Nora Broad. Nie była to cicha, stroniąca od chłopców dziewczyna. Prawdopodobnie miała o jednego chłopaka za dużo. Jej ciała nigdy nie znaleziono, ale kiedyś na pewno zostanie odkryte. Bywały wypadki, że zwłoki znajdowały się nawet po dwudziestu latach - stwierdził Wanstead. Samochód zwolnił - jesteśmy na miejscu - powiedział. - Oto szpital w Carristown.

Weszli do środka, gdzie już byli oczekiwani. Zaprowadzono ich do małego pokoju, w którym powitała ich jakaś kobieta.

- Profesor Wanstead, prawda? - zapytała. - A to jest zapewne... - zawahała się.

- Panna Jane Marple - przedstawił profesor. - Mówiłem o niej siostrze Barker przez telefon.

- Oczywiście. Siostra Barker wszystko zorganizowała i będzie państwu towarzyszyć.

- Jak się czuje panna Temple?

- Niestety, jej stan nie poprawił się - wstała. - Zaprowadzę państwa do siostry Barker.

Siostra Barker była wysoką, szczupłą kobietą o niskim, stanowczym głosie i ciemnoszarych oczach. Rzuciła na rozmówcę krótkie spojrzenie i szybko odwracała wzrok. Obserwowany miał wrażenie, że poddano go surowej ocenie, której wynik nie zostanie mu ujawniony.

- Nie wiem, co dyrekcja szpitala miała na myśli... - zaczął profesor.

- Lepiej od razu wszystko państwu wyjaśnię.

Pacjentka nadal jest nieprzytomna, miewa jednak

krótkie przebłycki świadomości. Rozpoznaje jakby otoczenie, udaje jej się nawet powiedzieć kilka słów. Nie jesteśmy w stanie przywrócić jej przytomności. Trzeba cierpliwie czekać. Profesor Wanstead mówił chyba pani - tu zwróciła się do panny Marple - że podczas jednego z takich przebudzeń panna Temple wyraźnie wymówiła pani nazwisko, powiedziała, że chciałyby z panią rozmawiać, i ponownie zapadła w śpiączkę. Doktor uważał, że byłoby dobrze skontaktować się z grupą. Profesor Wanstead wyjaśnił nam wiele spraw i obiecał, że panią przywiezie. Chcielibyśmy, aby usiadła pani przy pannie Temple i spróbowała zanotować jej słowa, gdyby odzyskała przytomność.

- Szczerze powiedziawszy, spodziewamy się najgorszego - przyznała. - Chyba lepiej, że nie jest pani krewną, i może ta wiadomość nie będzie dla pani wielkim wstrząsem. Doktor uważa, że pacjentka może umrzeć, nie odzyskawszy przytomności. Nie potrafimy nic zrobić. Teraz wydaje się najważniejsze, żeby ktoś usłyszał jej słowa. Zdaniem doktora, wokół niej nie powinno być zbyt wiele osób, kiedy odzyska przytomność. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, w pokoju będzie siedziała pielęgniarka, niewidoczna dla panny Temple. Usiądzie w kącie, za parawanem i nie poruszy się, jeśli nie będzie takiej potrzeby.

- Jest tu także policjant, gotowy wszystko zapisać - dodała. - On także nie powinien zostać zauważony. Panna Temple chciała rozmawiać z panią. Widok

innych osób mógłby ją zdenerwować lub spowodować, że nie powie tego, co zamierzała. Mam nadzieję, że nie wymagamy od pani zbyt wiele?

- Ależ nie - odrzekła panna Marple. - Jestem przygotowana na wszystko. Wzięłam ze sobą mały notatnik i pióro, zresztą zapamiętam jej słowa bez robienia notatek. Mogą państwo zaufać mojej pamięci i słuchowi. Nie słyszę już tak dobrze jak kiedyś, ale jeśli usiądę blisko łóżka, na pewno rozróżnię każde słowo, nawet jeśli będzie mówiła szeptem. Miałam już do czynienia z chorymi ludźmi i wiem, jak ich słuchać.

Siostra Barker znów obrzuciła ją swoim charakterystycznym spojrzeniem. Tym razem okazała jakby zadowolenie.

- Cieszę się, że chce nam pani pomóc - powiedziała. - Jestem pewna, że możemy na pani polegać. Zechce pan usiąść na dole w poczekalni, profesorze. Zawołamy pana, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. A teraz proszę iść za mną, panno Marple.

Minęły korytarz i weszły do jednoosobowej, dobrze wyposażonej sali. Elisabeth Temple leżała w półmroku, okna zostały częściowo zasłonięte. Nie wyglądała jak śpiący człowiek, przypominała raczej posąg. Oddychała płytko i nierówno. Siostra Barker pochyliła się, zbadała pacjentkę i wskazała pannie Marple krzesło przy łóżku. Potem zawróciła w stronę drzwi. Zza parawanu wyszedł młody mężczyzna z notatnikiem w ręku.

- To pan Reckitt. Jest tu z polecenia doktora - przedstawiła go siostra. Pokazała się także pielęgniarka, która siedziała w drugim końcu pomieszczenia.

- Siostrzynie Edmonds, proszę mnie zawołać w razie potrzeby - powiedziała Barker. - I niech pani robi wszystko, o co poprosi panna Marple.

W pokoju było ciepło. Panna Marple zdjęła żakiet, który został zabrany przez pielęgniarkę i usiadła przy łóżku. Spojrzawszy na leżącą pomyślała, tak jak wtedy w autokarze, że Elisabeth ma piękne, dumne czoło. Jej siwe, zaczesane do tyłu włosy harmonizowały ze szlachetnym profilem. Mądra i niezwykła kobieta. Gdyby panna Temple umarła, byłaby to ogromna strata.

Panna Marple poprawiła jej poduszkę, przysunęła się jeszcze bliżej, wyprostowała na krześle i czekała. Nie wiedziała, czy to czekanie ma w ogóle sens. Czas mijał. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny, trzydzieści pięć minut. Nagle usłyszała jej głos. Był cichy, lekko zachrypnięty, lecz wyraźny. W niczym jednak nie przypominał dawnego dźwięcznego głosu Elisabeth.

- Panna Marple - Elisabeth Temple otworzyła oczy i patrzyła zupełnie przytomnie. Bez cienia emocji czy zdziwienia, za to bardzo uważnie analizowała twarz panny Marple.

- Panna Marple - powtórzyła. - Pani jest Jane Marple, prawda?

- Tak, nazywam się Jane Marple - odrzekła.

- Henry często mi o pani opowiadał.
- Henry? - Panna Marple spojrzała pytająco.
- Henry Clithering, mój serdeczny przyjaciel.
- Ach, Henry Clithering. Jest także moim przyjacielem.

Myślnami powędrowała do znanego jej od lat sir Clitheringa. Przypomniała sobie ich wspólne rozmowy i wzajemnie udzielaną pomoc.

Rzeczywiście, był jej serdecznym przyjacielem.

- Zapamiętałam pani nazwisko. Potem przeczytałam je na liście pasażerów. Byłam pewna, że to pani. Pani mogłaby pomóc. Henry, gdyby tu był, też by tak powiedział. Pani odkryje prawdę. To ważne, bardzo ważne. Chociaż minęło już wiele lat, wiele lat...

Głos jej zadrżał, powieki opadły. Pielęgniarka wstała, podniosła szklankę wody i przyłożyła ją do ust Elisabeth. Panna Temple wzięła łyk i podziękowała skinieniem głowy. Pielęgniarka odstawiła naczynie i wróciła na miejsce.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała panna Marple, nie pytając o nic więcej.

- To dobrze - powiedziała Elisabeth. - Dobrze - powtórzyła po chwili.

Przez kilka minut leżała z przymkniętymi oczami. Nie wiadomo było, czy nie zasnęła lub nie straciła znów przytomności. Nagle ponownie otworzyła oczy.

- Która z nich? - zapytała. - Trzeba się tego dowiedzieć. Wie pani, o kim mówię?

- Chyba tak. O tej zaginionej dziewczynie, Norze Broad? Elisabeth zmarszczyła czoło.

- Nie, nie. O tej drugiej, Verity Hunt - zamilkła, a po chwili dodała: - Jane Marple, nie jest już pani młoda. Znacznie starsza niż wtedy, gdy o pani usłyszałam. Ale wciąż może pani pomóc. Może pani, prawda? - mówiła teraz głośniej i bardziej natarczywie. - Niech pani powie, że tak. Nie zostało mi wiele czasu. Wiem o tym doskonale. Jedna z nich, ale która? Niech się pani dowie. Henry powiedziałby, że pani potrafi... To może być niebezpieczne. Ale dowie się pani, tak?

- Z Bożą pomocą, zrobię to - słowa panny Marple zabrzmiały jak przysięga.

- Ach.

Przymknęła oczy, a potem znów je otworzyła. Jej twarz wykrzywił jakby grymas lub uśmiech.

- Wielki kamień z góry. Kamień Śmierci.

- Kto go zepchnął?

- Nie wiem. Nieważne. Liczy się tylko Verity. Niech pani odkryje prawdę o niej. "Verity" znaczy "prawda".

Panna Marple dostrzegła, że ciało na łóżku jakby się rozluźniło. Usłyszała słaby szept:

- Do widzenia. Niech pani zrobi, co w pani mocy.

Ciało rozluźniło się jeszcze bardziej, powieki opadły. Pielęgniarka podeszła do łóżka. Zmierzyła puls i dała znak pannie Marple, która posłusznie wstała i wyszła za siostrą z pokoju.

- To był dla niej ogromny wysiłek - wyjaśniła pielęgniarka. - Nie odzyska przytomności przez jakiś

czas, a może wcale. Mam nadzieję, że dowiedziała się pani czegoś.

- Nie jestem pewna - odrzekła panna Marple. - Ale nigdy nie wiadomo, co okaże się ważne.

- Czy usłyszała pani coś nowego? - zapytał Wanstead, kiedy byli już w samochodzie.

- Imię - powiedziała. - Verity. Czy tak nazywała się ta dziewczyna?

- Tak, Verity Hunt.

Elisabeth Temple zmarła półtorej godziny później, nie odzyskawszy przytomności.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

PAN BROADRIBB SIĘ ZASTANAWIA

Czytałeś dzisiejszego "Timesa"? - zapytał Broadribb swojego współnika Schustera.

Schuster odpowiedział, że nie mógł sobie pozwolić na "Timesa", więc kupił "Telegraph".

- Tam także powinieneś znaleźć tę informację - stwierdził Broadribb. - W rubryce zgonów, panna Elisabeth Temple.

Schuster wydawał się zdziwiony.

- Dyrektorka szkoły w Fallowfield? Słyszałeś chyba o tej szkole?

- Oczywiście - odpowiedział Schuster. - Szkoła dla dziewcząt. Istnieje, zdaje się, od pięćdziesięciu lat. Ekskluzywna i niesamowicie droga. A więc była jej dyrektorką. Sądziłem, że zrezygnowała ze stanowiska co najmniej pół roku temu. Jestem

pevien, że czytałem o tym w gazecie. Teraz mają tam podobno nową dyrektorę, znacznie młodszą, trzydziestoparoletnią. Jest mężatką z nowoczesnymi poglądami. Dziewczęta mają kursy pielęgnacji urody i mogą chodzić w spodniach.

- Hm - mruknął Broadribb z dezaprobatą, jak przystało na prawnika w słuźnym wieku, który słyzy o sprawach sprzecznych z jego wieloletnim doświadczeniem. - Nie sądzę, aby jej nazwisko stało się kiedykolwiek tak znane jak panny Temple. Ona była kimś. Kierowała tą szkołą bardzo długo.

- Tak - Schuster udawał, że sprawa go ciekawi. Zastanawiał się, dlaczego Broadribb interesował się nieżyjącą dyrektorką.

Obu panów przestały zajmować problemy szkół średnich, odkąd ich pociechy zakończyły ten etap edukacji. Dwaj synowie Broadribba już pracowali - jeden w administracji państwowej, drugi w firmie naftowej. Trochę młodsze dzieci Schustera studiowały na dwóch różnych uniwersytetach, gdzie każde z nich sprawiało odpowiednio dużo kłopotów władzom uczelni.

- I co z tą panną Temple? - zapytał.

- Była na wycieczce autokarowej - powiedział Broadribb.

- Ach te wycieczki - westchnął Schuster. - Nikomu z rodziny nie pozwoliłbym na taki wyjazd. W zeszłym tygodniu jeden autokar spadł w przepaść w Szwajcarii, a dwa miesiące temu rozbił się jakiś inny

i zginęło dwadzieścia osób. Nie wiem, co za kierowcy jeżdżą dzisiaj po drogach.

- To była wycieczka po słynnych posiadłościach i ogrodach Wielkiej Brytanii - dodał Broadribb. - Nie pamiętam dokładnej nazwy, ale wiesz, co mam na myśli.

- Tak, wiem. Ach, na taką wycieczkę wysłaliśmy przecież tę pannę... jak ona się nazywa? Staruszek Rafiel załatwił jej ten wyjazd.

- Panna Jane Marple. Tak, ona też była na tej wycieczce.

- Ale chyba nie zginęła? - zapytał Schuster.

- O ile wiem, to nie - odpowiedział Broadribb. - Zastanawiam się jednak...

- Czy to był wypadek samochodowy?

- Nie, to zdarzyło się na jednym z punktów widokowych. Grupa wspinała się na wzgórze.

Trudna trasa: strome podejście, kamienista, otoczona głazami ścieżka. Jeden z głazów oderwał się i stoczył po zboczu. Uderzył w pannę Temple, która ciężko ranna została odwieziona do szpitala i tam zmarła.

- Pechowe zdarzenie - skomentował Schuster i czekał na dalszy ciąg opowieści.

- Zastanawiałem się właśnie - powiedział Broadribb - dlaczego ta nazwa wydała mi się znajoma. Do szkoły w Fallowfield chodziła przecież ta dziewczyna.

- Jaka dziewczyna? Naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

- Ta, którą zabił Michael Rafiel. Przypomniałem sobie właśnie o kilku rzeczach, które mogłyby mieć jakiś związek z tą dziwną sprawą, którą Rafiel zlecił Jane Marple. Szkoda, że nie powiedział nam nic więcej.

- I co wymyśliłeś? - zapytał Schuster.

Rozmowa zaczęła go intrygować. Uaktywnił się jego zmysł prawniczy. Chciał teraz zająć określone stanowisko w sprawie i skomentować spostrzeżenia współnika.

- Dziewczyna, której nazwiska nie pamiętam, miała na imię Hope, Faith lub coś w tym rodzaju. Wiem! Verity...* Verity Hunter chyba. Była jedną z ofiar tych seryjnych zabójstw. Jej ciało znaleziono w rowie około pięćdziesięciu kilometrów od miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni. Nie żyła od sześciu miesięcy. Ślady wskazywały na uduszenie, a jej twarz została zmasakrowana, co miało utrudnić identyfikację. Została jednak rozpoznana bardzo szybko. Po ubraniu, torebce, biżuterii i charakterystycznym znamieniu czy bliźnie. Wyjątkowo łatwo ustalono jej tożsamość.

- I właśnie w sprawie zabójstwa tej dziewczyny odbył się proces?

- Tak. Michaela podejrzewano o zamordowanie jeszcze trzech innych dziewcząt w poprzednich latach. Jednak w wypadku pozostałych zabójstw nie było dowodów, więc policja skupiła się na tej jednej sprawie. Liczne dowody obciążające, przeszłość kryminalna, wcześniejsze oskarżenie o napastowanie

i gwałt. No cóż, wszyscy wiemy, że dzisiaj gwałt jest pojęciem względnym. Mamusia mówi córce, że powinna oskarżyć chłopaka o gwałt, nawet jeśli nie było mowy o żadnym zmuszaniu. Dziewczyna cały czas spędza tylko z nim. Przesiadują w pustym domu, mama w pracy, tata wyjechał. Dziewczyna nie przestaje zamęczać chłopaka, aż w końcu on zgadza się z nią przespać. Potem mama każe córce nazwać to gwałtem. Nie o tym jednak mówimy - Broadribb zmienił temat. - Ciekawy jestem, czy między tymi wydarzeniami istnieje jakiś związek. Czy sprawa zlecona Jane Marple przez Rafiela może mieć coś wspólnego z Michaelem.

- Uznano go za winnego, prawda? Dostał dożywocie?

- Nie pamiętam już dokładnie. To zdarzyło się tak dawno temu. Zdaje się, że kara została złagodzona z powodu ograniczonej poczytalności.

- I mówisz, że Verity Hunter, albo Hunt, chodziła do szkoły panny Temple? Nie była już chyba uczennicą, kiedy ją zamordowano? Ja też nie pamiętam.

- Nie. Miała wtedy osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Mieszkała u krewnych albo przyjaciół swoich rodziców. Sympatyczni ludzie, miły dom, urocza dziewczyna, z tego, co słyszałem. Taka dziewczyna, o której rodzina mówi: "Bardzo spokojna i dosyć nieśmiała. Nie spotyka się z obcymi i nie ma chłopaka". Krewni nigdy nie wiedzą o takich chłopakach, dziewczyna potrafi się już o to postarać. Podobno młody Rafael bardzo podobał się dziewczynom.

- Nigdy nie było wątpliwości co do jego winy? -
zapytał Schuster.
- Żadnych. Przez cały proces kłamał. Adwokat nie
powinien mu pozwolić w ogóle zeznawać. Wielu
przyjaciół próbowało mu zapewnić niewiarygodne
alibi. Oni także kłamali jak z nut.
- Co o tym wszystkim myślisz?
- Och, jeszcze nic - odpowiedział Broadribb. - Po
prostu byłem ciekawy, czy ma to jakiś związek ze
śmiercią tej kobiety.
- W jakim sensie?
- No wiesz, te głązy spadające prosto na
przechodzącego człowieka... To nie jest zgodne z
prawami natury. Z mojego doświadczenia wynika, że
głązy są nieruchome.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

VERITY

Verity - powiedziała panna Marple. Elisabeth
Margaret Temple zmarła poprzedniego dnia
wieczorem. Miała spokojną śmierć. Panna Marple
ponownie znalazła się pośród wyblakłych
perkalowych dodatków w salonie Starego Dworu.
Jasnoróżowy kaftanik, który robiła poprzednio na
drutach, zastąpiła teraz szydełkowym, purpurowym
szalikiem. Postępowała zgodnie z wczesno-
wiktoriańskim modelem zachowania w obliczu
tragedii.

Następnego dnia policja miała wszcząć dochodzenie. Wezwano pastora, który zgodził się odprawić krótkie nabożeństwo, gdy tylko wszystko zostanie przygotowane. Pracownicy zakładu pogrzebowego zjawili się w stosownych strojach, z poważnymi, żalobnymi minami, i obiecali zająć się wszelkimi formalnościami. Przesłuchania miały się rozpocząć o jedenastej. Uczestnicy wycieczki zgodzili się składać zeznania. Część grupy postanowiła pozostać także na nabożeństwie.

Pani Glynne przyszła do hotelu i namówiła pannę Marple na powtórny przeprowadzkę do Starego Dworu.

- Uniknie pani reporterów, a potem spokojnie dołączy do odjeżdżającej wycieczki.

Panna Marple podziękowała serdecznie wszystkim siostronom i przyjęła zaproszenie.

Po nabożeństwie wycieczka wyruszała dalej.

Najpierw do oddalonego o pięćdziesiąt parę kilometrów South Bedestone. Zatrzymywali się tam na dłużej w eleganckim hotelu, w którym pierwotnie mieli tylko przenocować. Następnie planowano realizację normalnego programu wycieczki. Zgodnie z przypuszczeniami panny Marple niektórzy postanowili zrezygnować z dalszego ciągu i wrócić do domu albo też kontynuowali podróż w innym kierunku niż cała grupa. Można było zrozumieć zarówno decyzję o odjeździe, jak i pozostaniu z wycieczką. Jedni chcieli wyjechać i szybko zapomnieć o przykrym zdarzeniu, a inni postanowili

kontynuować zwiedzanie, za które zapłacili. Niemily wypadek może się w końcu zdarzyć na każdej wycieczce. Panna Marple uważała, że wiele będzie zależeć od wyniku śledztwa.

Wymieniwszy kilka stosownych do okoliczności uwag z trzema gospodyniami, panna Marple zajęła się swoją purpurową robótką. Zastanawiała się nad dalszym sposobem postępowania. Potem, nie przerywając szydełkowania, wypowiedziała jedno słowo: "Verity". Rzuciła je jak kamień do strumienia, aby zobaczyć, co się stanie dalej. Czy to imię znaczyło coś dla trzech sióstr? Może tak, a może nie. Jeśli nie, spróbuje powtórzyć je dziś wieczorem podczas kolacji, w obecności uczestników wycieczki. Było to jedno z ostatnich słów Elisabeth Temple. Dlatego też wypowiedziała je tutaj i obserwowała reakcję, nie przestając robić na szydełku. Miała taką wprawę, że potrafiła czytać książkę lub prowadzić ożywioną rozmowę, a jej palce, mimo że trochę powykrzywiane przez reumatyzm, wykonywały właściwe ruchy.

Po wrzuceniu kamyka do wody widać falowanie powierzchni i słyszeć plusk. Czy i tutaj coś się zdarzy? Muszą jakoś zareagować. Nie pomyliła się. Zachowując nieruchomy wyraz twarzy, spoglądała zza okularów na wszystkie trzy siostry po kolei. Zastosowała wypracowaną przez lata technikę przydatną do obserwacji sąsiadów oraz uczestniczek spotkań religijnych lub innych publicznych zebrań w

St. Mary Mead, kiedy była na tropie sensacyjnej nowinki.

Pani Glynne upuściła czytana książkę i spojrzała zaskoczona na pannę Marple. Zdziwiło ją nie samo słowo, ale to, że usłyszała je z ust gościa. Clotilde zareagowała inaczej. Podniosła głowę, wychyliła się i patrzyła przed siebie, ale nie na pannę Marple, tylko w kierunku okna. Jane Marple, pochylona nad robótką, udawała, że nic nie widzi. Zauważyła jednak łzy, które pojawiły się w oczach Clotilde. Gospodyni siedziała nieruchomo, pozwalając, aby łzy spływały jej po policzkach. Nie próbowała wyciągnąć chusteczki, nie odezwała się też ani słowem. Jej niezwykle smutek zrobił na panie Marple wrażenie.

Anthea zachowała się natomiast całkiem odmiennie. Zawołała podekscytowana:

- Verity? Powiedziała pani: "Verity"? Nie miałam pojęcia, że ją pani znała. Myśli pani o Verity Hunt, prawda?

- Czy to jest czyjeś imię? - zapytała Lavinia.

- Nigdy nie znalazłam osoby o takim imieniu - odrzekła panna Marple. - Ale miałam na myśli właśnie imię. Ve-ri-ty - powtórzyła z namysłem. - Moim zdaniem, jest dosyć niezwykle.

Upuściła kłębek purpurowej wełny na podłogę, po czym rozejrzała się wokół. Miała przepraszający i lekko zakłopotany wyraz twarzy jak ktoś, kto zorientował się, że popełnił duży nietakt, ale nie wie dlaczego.

- Tak mi przykro. Czy powiedziałam coś niewłaściwego? Chciałam tylko...

- Nie. Oczywiście, że nie - zaprzeczyła pani Glynne. - Po prostu to imię kojarzy nam się z pewną osobą.

- Przyszło mi do głowy, ponieważ wypowiedziała je biedna panna Temple - wyjaśniała nadal skruszona Jane Marple. - Wczoraj po południu pojechałam ją odwiedzić. Profesor Wanstead zawiózł mnie do szpitala. Myślał chyba, że moja obecność mogłaby jakimś cudem przywrócić jej przytomność. Nie byłam co prawda jej przyjaciółką, ale na wycieczce często siedziałyśmy obok siebie i rozmawiałyśmy. Dlatego miał nadzieję, że mogłabym się na coś przydać. Niestety, nie zdołałam pomóc. Usiadłam przy niej i czekałam, aż się ocknie, a wtedy ona powiedziała kilka słów, które nic chyba nie znaczyły. Kiedy już miałam wychodzić, otworzyła nagle oczy i spojrzała na mnie. Nie wiem, czy wzięła mnie może za kogoś innego, ale powiedziała wtedy: "Verity". Oczywiście to słowo utkwilo mi w pamięci, zwłaszcza gdy dowiedziałam się, że wkrótce potem umarła. Miała zapewne na myśli jakąś konkretną osobę, albo po prostu prawdę. "Verity" znaczy przecież "prawda".

Spojrzała po kolei na trzy siostry: na Clotilde, Lavinie i Antheę.

- Tak miała na imię dziewczyna, którą znałyśmy - wyjaśniła Lavinia Glynne. - Dlatego pani słowa nas zaskoczyły.

- Zginęła bardzo okrutną śmiercią - dodała Anthea.

- Antheo! Nie ma potrzeby zagłębiać się w szczegóły - powiedziała Clotilde swoim niskim głosem.

- Przecież wszyscy o tym wiedzą - stwierdziła Anthea i zwróciła się do panny Marple: - myślałam, że słyszała pani o niej od Rafiela. Skoro pisał do nas o pani, musiała być pani jego znajomą.

Podejrzewałam, że opowiedział pani całą historię.

- Niestety, chyba nie wiem, co pani ma na myśli - odrzekła panna Marple.

- Jej ciało znaleziono w rowie - powiedziała Anthea. Panna Marple wiedziała, że nic nie jest w stanie powstrzymać Anthei, jeśli już zaczęła mówić. Czuła, że gadulstwo siostry sprawia przykrość Clotilde, która wyjęła teraz chusteczkę i powoli ocierała łzy. Potem wyprostowała się i spojrzała przed siebie. W jej oczach malował się głęboki ból.

- Verity to dziewczyna, którą się opiekowałyśmy - rzekła.

- Mieszkała z nami przez jakiś czas. Bardzo ją kochałam.

- Tak jak i ona ciebie - dodała Lavinia.

- Jej rodzice byli moimi przyjaciółmi - uzupełniła Clotilde.

- Zginęli w katastrofie lotniczej.

- Chodziła do szkoły w Fallowfield. Sądzę, że dlatego panna Temple przypomniała sobie o niej - wyjaśniła Lavinia.

- Ach, rozumiem - stwierdziła panna Marple. - Elisabeth Temple była dyrektorką tej szkoły.

Słyszałam naturalnie o Fallowfield. To bardzo dobra szkoła, prawda?

- Tak - odparła Clotilde. - Verity tam się właśnie uczyła. Po śmierci rodziców zamieszkała z nami do czasu, w którym sama miała zdecydować o swojej przyszłości. Miała osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Uroczą, kochaną dziewczyną. Chciała najpierw zostać pielęgniarką, ale ponieważ była bardzo zdolna, panna Temple namówiła ją na uniwersytet. Przygotowywała się właśnie do egzaminów na studia, kiedy wydarzyła się ta tragedia.

Odwróciła głowę.

- Ja... czy możemy już więcej nie rozmawiać na ten temat? - zapytała.

- Ależ oczywiście - odrzekła panna Marple. - Przepraszam, że przywołałam te tragiczne wspomnienia. O niczym nie wiedziałam. Nikt mi nie powiedział. Myślałam, że... to znaczy... - wypowiedź panny Marple robiła się coraz bardziej chaotyczna. Wieczorem usłyszała trochę więcej na ten temat. Pani Glynne przyszła do jej pokoju, kiedy panna Marple przebierała się przed wyjściem do hotelu, gdzie zamierzała dołączyć do grupy.

- Pomyślałam, że powinnam przyjść i wyjaśnić pani coś - powiedziała Lavinia. - Chodzi o tę dziewczynę, Verity Hunt. Nie mogła pani oczywiście wiedzieć, że moja siostra, Clotilde, była do niej tak przywiązana. Ta okropna śmierć wywołała u niej wielki szok. Staramy się nie mówić o tym, ale sądzę, że powinnam wyjaśnić pani pewne rzeczy. Verity bez

naszej wiedzy zaprzyjaźniła się z nieodpowiednim, mówiąc łagodnie, chłopakiem, który okazał się niebezpiecznym przestępcą. Przyszedł do nas kiedyś przypadkowo w odwiedziny, ponieważ znałyśmy dobrze jego ojca - przerwała. - Myślę, że będzie lepiej, jeżeli powiem pani całą prawdę. Wygląda na to, że pani o niczym nie wie. To był Michael, syn pana Rafiela.

- O mój Boże - westchnęła panna Marple. - Nie przypominam sobie jego imienia, ale pamiętam, że słyszałam coś o synu, z którego pan Rafiel nie był zadowolony.

- Delikatnie powiedziane - stwierdziła pani Glynne.

- Od dawna sprawiał kłopoty. Oskarżano go o różne przestępstwa, między innymi o napaść na nastolatkę. Zawsze uważałam, że sędziowie są zbyt pobłażliwi w takich przypadkach. Nie chcą zepsuć chłopakom opinii na uniwersytecie i dlatego zwalniają ich, ogłaszając, zapomnialam, jak to się nazywa, chyba... wyrok w zawieszeniu. Jeśli takich młodych ludzi zamykaliby od razu w więzieniu, może tamci potraktowaliby to jako przestrozę i zeszli ze złej drogi. Michael był także złodziejem, podrabiał czeki. Łobuz i już. Przyjaźniłyśmy się z jego matką. Miała chyba szczęście, że zmarła młodo i nie doczekała tego wszystkiego. Moim zdaniem, Rafiel robił co w jego mocy. Próbował znaleźć synowi odpowiednią pracę, płacił za niego grzywny i tak dalej. Myślę, że był to dla niego ogromny cios, chociaż udawał obojętność. Zachowywał się tak, jakby to była jedna z rzeczy,

które przytrafiają się w życiu i nic nie można na nie poradzić.

- W tej okolicy popełniono kilka brutalnych morderstw, o czym może pani usłyszeć od mieszkańców wioski. Zdarzało się to zresztą i w innych rejonach kraju, ale tutaj jakby wszystko się skoncentrowało. W każdym razie, któregoś dnia Verity wyszła do przyjaciółki i już nie wróciła. Zawiadomiłyśmy policję, która rozpoczęła poszukiwania. Przetrzęsnęli całą okolicę, ale nie natrafili na najmniejszy ślad. Dałyśmy ogłoszenie, policja także. Sugerowali, że dziewczyna mogła uciec ze swoim chłopakiem. Okazało się, że widziano ją z Michaelem Rafielem. Od tego czasu policja nie spuszczała z niego oka, pamiętając o poprzednich przestępstwach. Nie mieli jednak żadnych dowodów. Widziano dziewczynę ubraną jak Verity, w towarzystwie chłopaka, którego opis pasował do Michaela, w takim samochodzie, jaki miał młody Rafael.

- Były tylko te zeznania, dopóki nie znaleziono ciała. Odkryto je sześć miesięcy później, w lesistej odludnej okolicy, pięćdziesiąt kilometrów stąd. Leżało w rowie przysypane ziemią i przykryte kamieniami. Clotilde musiała zidentyfikować zwłoki. To była Verity. Została uduszona i miała zmasakrowaną twarz. Clotilde nigdy nie doszła do siebie po tym przeżyciu. Rozpoznała dziewczynę po znakach szczególnych: pieprzyku, starej bliźnie i oczywiście po ubraniu oraz zawartości torebki. Panna Temple bardzo

lubila Verity. Dlatego widocznie przypomniała ją sobie przed śmiercią.

**- Przykro mi, naprawdę bardzo przykro -
przepraszala panna Marple. - Proszę powiedzieć
siostrze, że o niczym nie wiedziałam, nie miałam
pojęcia...**

ROZDZIAŁ SZESNASTY DOCHODZENIE

**Panna Marple szła wolnym krokiem w kierunku
rynku. Tam właśnie w budynku, który od stu lat był
siedzibą lokalnej policji, miały się odbywać
przesłuchania. Spojrzała na zegarek, zostało jej
jeszcze dwadzieścia minut do wyznaczonej godziny.
Zaczęła więc oglądać wystawy. Zatrzymała się przed
sklepem dziewiarskim, w którym sprzedawano wełnę
i ubranka dla dzieci. Obserwowała przez chwilę
wnętrze, gdzie młoda ekspedientka pomagała
przymierzyć wełniane sweterki dwójce małych
klientów. W głębi sklepu, za ladą w siedziała starsza
kobieta.**

**Panna Marple weszła do środka, podeszła do
siedzącej po przeciwnej stronie kobiety i pokazała jej
kawalek różowej wełny. Wyjaśniła, że zabrakło jej
właśnie tego gatunku, a chciała skończyć robiony na
drutach kaftanik. Wkrótce miała przed sobą kilka
różnych próbek wełny podobnych do tamtej.
Oglądając je, wdała się w rozmowę. Zaczęła od
przykrego wypadku, który zdarzył się ostatnio. Pani**

Merrypit, jeśli nazwisko starszej kobiety zgadzało się z tym, jakie widniało na szyldzie, wyraziła swoje współczucie i poskarżyła się na lokalne władze, które nie zajmowały się niebezpiecznymi ścieżkami i szlakami turystycznymi.

- Wie pani, deszcz wypłukuje ziemię spod gładów, które nie stoją już potem stabilnie i dlatego spadają. Pamiętam rok, w którym spadły aż trzy. W pierwszym z wypadków jeden chłopiec omal nie został zabity. Pół roku później kamień spadł na jakiegoś mężczyznę i złamał mu rękę. Trzecią ofiarą była biedna stara pani Walker niewidoma i przygłucha. Podobno zdążyłaby zejść z drogi. Jacyś ludzie zobaczyli spadający głaz i krzyczeli do niej, ale byli za daleko, aby dobiec. Niestety, zginęła.

- Tragiczna historia - westchnęła panna Marple. - Takich wypadków się nie zapomina.

- Rzeczywiście. Przypuszczam, że oficer śledczy wspomni dzisiaj o tym.

- Na pewno - powiedziała panna Marple. - Niestety, takie wypadki zdarzają się w górach. Czasami jednak ktoś celowo zepchnie kamień.

- No tak, są łobuzy zdolne do wszystkiego. Ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś ich widział zabawiających się w ten sposób w górach.

Panna Marple zmieniła temat. Wypytywała teraz o jaskrawe pulowery.

- To nie dla mnie - tłumaczyła - tylko dla siostrzeńca. Chciał kolorowy pulower z kołnierzykiem polo.

- Faktycznie, w dzisiejszych czasach młodzież lubi jaskrawe kolory - przyznała pani Merrypit. - Dżinsy mają być czarne lub granatowe, ale swetry jasne. Panna Marple opisała pulower w czerwono-czarną kratkę. W sklepie był duży wybór swetrów, nie znalazła jednak żadnego w takich kolorach.

Właścicielka nie pamiętała również, aby ostatnio miała coś tego typu. Obejrząwszy kilka próbek wełny, panna Marple zaczęła zbierać się do wyjścia. Wspomniała jeszcze o kilku morderstwach, które podobno wydarzyły się kiedyś w okolicy.

- W końcu złapali tego człowieka - powiedziała pani Merrypit. - Przystojny, sympatyczny chłopak. Nikt by go nie podejrzewał. Podobno dobrze wychowany i wykształcony, studiował na uniwersytecie, syn bogatego ojca. Moim zdaniem, pomyłony. Nie wysłali go co prawda do Broadway ani innego zakładu dla umysłowo chorych, ale było z nim chyba coś nie w porządku. Mówili, że zaginęło jeszcze pięć czy sześć innych dziewcząt. Policja podejrzewała kilku młodych ludzi. Najpierw Geoffreya Granta. Byli pewni, że miał z tym coś wspólnego. Od dziecka zachowywał się dziwnie. Napastował idące do szkoły małe dziewczynki. Proponował im cukierki, potem zaciągał na łąkę, żeby oglądać razem pierwiosnki... wie pani, o co chodzi. Był głównym podejrzanym, jednak wypuścili go. Potem złapali Berta Williamsa, ale ten miał mocne alibi. Okazało się, że kiedy dokonano dwóch zabójstw, nie było go w okolicy. Potem podejrzewali tego ostatniego. Nie pamiętam,

jak się nazywał. Lukę, a może Mike. Mówiłam już, że bardzo sympatyczny. Był jednak wcześniej notowany. Kradzieże, podrabianie czeków i tym podobne, i jeszcze sprawy o ojcostwo... no, wie pani, o czym mówię. Kiedy dziewczyna spodziewa się dziecka, a sąd nakazuje ojcu płacić alimenty. Miał dwie takie sprawy.

- A czy tamta dziewczyna też była przy nadziei?

- O tak. Kiedy znaleziono ciało, wszyscy myśleliśmy, że to Nora Broad. Siostrzenica tej pani Blackett, która mieszka na końcu uliczki. Lubiła latać za chłopakami. Zaginęła w podobny sposób. Nikt jej nie widział. Dlatego, gdy po sześciu miesiącach znaleźli ciało, myśleli, że to Nora.

- Ale to nie było jej ciało.

- Nie. Zupełnie inne.

- Czy znaleziono potem zwłoki Nory?

- Nie. Może kiedyś ją znajdą. Na koniec podejrzewali, że ciało wrzucono do rzeki. Ale kto to wie? Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć na przykład na zaoranym polu. Widziałam kiedyś taki wykopany skarb. W Luton Loo, chyba tak się nazywała ta miejscowość. W każdym razie we wschodnich hrabstwach. Skarb znaleźli na polu. Bardzo piękny. Miniaturowe statki wikingów, złote półmiski i ogromne patery. Trudno przewidzieć, czy człowiek znajdzie złotą zastawę sprzed kilku wieków, czy nieboszczyka sprzed paru lat. Jak na przykład zwłoki tej Mary Lucas, której szukali podobno

cztery lata. Znaleźli ją gdzieś w okolicach Reigate. Ech, co za życie! Nie wiadomo, co komu przyniesie.

- Mieszkała tu, zdaje się, jeszcze jedna dziewczyna, którą zamordowano - przypomniała panna Marple.
- Mówi pani o tej, której ciało uznano najpierw za zwłoki Nory Broad? Nie pamiętam, jak się nazywała. Chyba Hope, albo Charity. Wie pani, tego rodzaju imię. Popularne w czasach wiktoriańskich, a dzisiaj raczej rzadko spotykane. Po śmierci rodziców zamieszkała w Starym Dworze.
- Jej rodzice zginęli w jakiejś katastrofie?
- Zgadza się. Lecieli samolotem do Włoch albo Hiszpanii.
- Mówi pani, że zamieszkała tutaj? To była jej rodzina?
- Nie wiem, czy rodzina, ale pani Glynne, wtedy jeszcze panna, była zdaje się serdeczną przyjaciółką matki dziewczyny. Po ślubie pani Glynne zamieszkała za granicą, ale panna Clotilde, ta najstarsza, z ciemnymi włosami, zaopiekowała się dziewczyną. Zabierała ją do Włoch, Francji, uczyła maszynopisania i stenografii, rozwijała jej zdolności artystyczne. Panna Clotilde jest bardzo wykształcona. Ależ ona uwielbiała tę dziewczynę! Po jej zaginięciu załamała się. Zupełnie inaczej niż panna Anthea.
- Ta najmłodsza z sióstr?
- Tak. Podobno niezupełnie normalna. Roztrzepana, nieprzytomna. Czasem, jak spaceruje, to mówi sama do siebie i potrząsa tak dziwnie głową. Dzieci boją się

jej. Ludzie mówią, że dziwaczka. Sama nie wiem. Pewnie słyszała już pani o tej rodzinie. Ich wuj, który mieszkał tu wcześniej, też był trochę dziwny. Kiedy nikt go nie widział, trenował w ogrodzie strzelanie z rewolweru. Tak bez powodu. Potem z dumą opowiadał, że jest dobrym strzelcem.

- Ale panna Clotilde jest normalna?

- O tak. Bardzo inteligentna. Zdaje się, że zna grekę i łacinę. Chciała studiować na uniwersytecie, ale nie mogła, bo przez długi czas opiekowała się chorą matką. Przywiązała się do tej panny... jak ona miała na imię? Może Faith? Kochała ją jak córkę. Potem zjawiał się ten młody chłopak... Michael chyba.

Któregoś dnia dziewczyna bez słowa wyszła z domu. Nie jestem pewna, czy panna Clotilde wiedziała, że ona była przy nadziei.

- Ale pani wiedziała?

- Och tak. Znam się na tym. Potrafię rozpoznać, kiedy dziewczyna jest w ciąży. To łatwo zauważyć. Nie tylko po zaokrąglonych kształtach - dziewczyny mają to wypisane na twarzy, inaczej też chodzą i siadają, mają częste zawroty głowy i nudności. "No tak, pomyślałam wtedy, mamy następną". Panna Clotilde musiała zidentyfikować zwłoki. To ją zupełnie załamało. Od tego czasu jest inną kobietą. Naprawdę szczerze kochała dziewczynę.

- A druga siostra, Anthea?

- Wie pani, to dziwne, ale wydawała się jakby zadowolona. Tak, właśnie zadowolona. Niezbyt przyjemne, prawda? Tak samo zachowywała się

córka farmera Plummera. Zawsze chodziła oglądać, jak zabijają świnie. Lubiła to. W rodzinach zdarzają się różne dziwne przypadki.

Pan Marple pożegnała się. Stwierdziła, że zostało jej jeszcze dziesięć minut. Poszła więc na pocztę, która, podobnie jak największy sklep w miasteczku, znajdowała się tuż przy rynku. Weszła do środka, kupiła kilka znaczków, obejrzała pocztówki i zaczęła przeglądać kieszonkowe wydania książek. W okienku siedziała kobieta w średnim wieku, z dosyć cierpkim* wyrazem twarzy. Wyszła, aby pomóc pannie Marple wyjąc jedną z książek, która zaczepiła się o brzeg drucianego stojaka.

- Zahaczają się czasami na rogach. Ludzie nigdy nie odkładają ich jak należy - powiedziała.

Na poczcie nie było w tej chwili żadnego innego klienta. Panna Marple spojrzała zdegustowana na okładkę przedstawiającą nagą dziewczynę z zakrwawioną twarzą i groźnego zabójcę, który pochylał się nad ofiarą, trzymając poplamiony krwią nóż.

- Nie lubię tych dzisiejszych horrorów - oświadczyła.

- Trochę przesadzają z ilustracjami na okładkach.

Nie każdy to lubi. Ostatnio tyle wszędzie przemocy - przyznała pani Vinegar.

Panna Marple wyjęła następną książkę.

- "Co się stało z małą Jane" - przeczytała tytuł. - Mój Boże, na jakim strasznym świecie żyjemy!

- O tak. Czytałam wczoraj w gazecie, że jakaś kobieta zostawiła pod sklepem dziecko w wózku.

Przyszedł ktoś obcy i zabrał je. Wygląda na to, że zupełnie bez powodu. Na szczęście policja znalazła dziecko całe i zdrowe. Wszyscy złodzieje mówią to samo, niezależnie do tego, czy ukradną coś ze sklepu, czy cudze dziecko. Podobno nie wiedzą, co im strzeliło do głowy...

- Może faktycznie nie wiedzą - zauważyła panna Marple. Pani Vinegar zrobiła jeszcze bardziej cierpką minę.

- Nie wierzę w takie tłumaczenie.

Panna Marple rozejrzała się wokół. Na poczcie nadal nie było nikogo. Podeszła do okienka.

- Jeśli nie jest pani zbyt zajęta, chciałabym panią o coś spytać - zaczęła. - Zrobiłam okropne głupstwo.

Im jestem starsza, tym częściej mi się to zdarza.

Wysłałam paczkę do instytucji charytatywnej. Były tam różne rzeczy: swetry, także ubranka dla dzieci.

Zapakowałam wszystko, zaadresowałam i wysłałam.

Dopiero dzisiaj rano zorientowałam się, że napisałam chyba zły adres. Nie sędzę, aby państwo mieli tu listę adresatów paczek, ale pomyślałam, że może przypadkiem ktoś na poczcie zapamiętał adres.

Zamierzałam wysłać paczkę do Towarzystwa Dobroczyńnego "Dockyard and Thames Side".

Pani Vinegar zrobiła się teraz znacznie sympatyczniejsza, poruszona roztrzepaniem i bezradnością tak typową dla starszych osób.

- Czy przyniosła pani paczkę osobiście?

- **Nie. Mieszkam w Starym Dworze i poprosiłam tamte panie o wysłanie paczki. Są bardzo uprzejme. Przyszła tu chyba pani Glynne.**
- **Chwileczkę, niech pomyślę. To nie było we wtorek, tylko... Nie przyniosła jej pani Glynne, ale najmłodsza z sióstr, panna Anthea.**
- **Tak, tak. Myślę, że to było w....**
- **Przypomniałam już sobie. Taki karton sporej wielkości, niezbyt ciężki. Ale na paczce był inny adres, niż pani podała: "Wielebny Matthews, Zbiórka wełnianej odzieży dla kobiet i dzieci, East Ham".**
- **Ależ oczywiście - panna Marple klasnęła uszczęśliwiona w dłonie i odetchnęła z ulgą. - Cieszę się, że pani zapamiętała. Wiem już, co zrobiłam. Na Boże Narodzenie rzeczywiście wysyłałam paczkę do East Ham. Organizowali tam specjalną zbiórkę ciepłej odzieży. Musiałam więc przepisać ten sam adres. Czy może go pani powtórzyć? - poprosiła, otworzywszy mały notatnik.**
- **Obawiam się, że paczka została już wysłana.**
- **Rozumiem, ale mogę tam napisać i wyjaśniewszy pomyłkę, poprosić, żeby przesłali paczkę do towarzystwa Dockyard. Serdecznie pani dziękuję. Panna Marple podreptała do drzwi. Pani Vinegar podawała już znaczki następnemu klientowi.**
- **Biedna, roztrzepana staruszka. Przypuszczam, że często zdarzają jej się takie pomyłki - powiedziała do siedzącego obok kolegi.**

Kiedy panna Marple wyszła z poczty, spostrzegła Emlyna Price'a i Joannę Crawford. Podeszła do nich.

Zauważyła, że Joanna była bardzo blada i jakby zdenerwowana.

- Będą mnie przesłuchiwać - powiedziała. - Nie wiem, o co pytają. Tak się boję. Nie podoba mi się to.

Wyjaśniałam już temu policjantowi, co widziałam.

- Nie przejmuj się, Joanno - uspokajał ją Emlyn. - Będzie z tobą rozmawiał ten urzędnik, zdaje się, że lekarz sądowy. Miły człowiek. Zada ci tylko kilka pytań, a ty opowiesz mu, co widziałaś.

- Ty też to widziałeś - zauważyła.

- Owszem - odparł. - W każdym razie zdawało mi się, że widzę kogoś stojącego przy kamieniach. Nie martw się.

- Przyszli do hotelu i przeszukiwali pokoje - dodała Joanna. - Pytali nas o pozwolenie, ale i tak mieli nakaz sądowy. Sprawdzali pokoje i bagaże.

- Myślę, że szukali tego swetra, który pani opisała. Nie musi się pani niczym przejmować. Gdyby miała pani taki pulower, nie mówiłaby pani przecież o nim. Był w czerwono-czarną kratę, tak?

- Ja nie wiem - przyznał Emlyn. - Nie rozróżniam zbyt dobrze kolorów. Moim zdaniem był jasny, tylko tyle pamiętam.

- Niczego nie znaleźli - stwierdziła Joanna. -

Właściwie nikt nie miał zbyt wielu bagaży. Tyle, ile zabiera się na wycieczkę. Nie było niczego podobnego wśród naszych rzeczy. Do tej pory nie

zauważyłam, aby ktoś z grupy nosił taki pulower. A ty?

- Chyba nie. Nie jestem jednak pewien, czybym zauważył. Mylę trochę czerwony z zielonym.

- Jesteś po prostu daltonistą. Domyśliłam się tego.

- Domyśliłaś się? W jaki sposób?

- Zapytałam któregoś dnia, czy widziałeś gdzieś mój czerwony szal. Powiedziałeś, że widziałeś zielony i przyniosłeś ten czerwony. Zostawiłam go w jadalni, tylko że ty nie wiedziałeś, jaki miał kolor.

- No dobrze, ale nie powtarzaj, że jestem daltonistą. To trochę zraża ludzi.

- Mężczyźni częściej bywają daltonistami niż kobiety. To jest zdeterminowane płciowo - oświadczyła Joanna tonem erudyty. - Kobieta przekazuje daltonizm w genach, ale wada ujawnia się u mężczyzny.

- Mówisz, jakby to była choroba zakaźna - zauważył Emlyn. - Jesteśmy na miejscu.

- Widzę, że nie przejmujesz się zbyt przysłuchaniem - powiedziała Joanna, kiedy wchodzili po schodach.

- Rzeczywiście, nie bardzo. Nigdy jeszcze nie brałam udziału w śledztwie, a wszystko, co nowe, wydaje się ciekawe.

Najpierw sprawą zajęła się policja, a następnie lekarz sądowy, który od strony medycznej powinien ustalić przyczynę zgonu. Doktor Stokes był człowiekiem w średnim wieku. Miał siwiejące włosy i nosił okulary.

Pani Sandbourne przedstawiła mu program wycieczki, zwłaszcza szczegóły dotyczące tego fatalnego popołudnia. Opowiedziała, w jaki sposób doszło do wypadku. Wyjaśniła, że panna Temple, chociaż już niemłoda, była zapaloną turystką. Grupa szła dobrze oznaczonym szlakiem, który okrążając wzgórze, pnie się łagodnie aż do starego kościółka w Moorland, zbudowanego w epoce elżbietańskiej, a potem odrestaurowanego. Na sąsiednim grzbiecie znajdował się tak zwany Obelisk Bonawentury. Podejście na szczyt było dosyć strome, dlatego też każdy pokonywał je w innym tempie. Młodzi szli szybko, a nawet biegle, docierając na górę najwcześniej. Starsze osoby wspinały się powoli. Ona, jako przewodniczka, szła na końcu i w razie potrzeby radziła tym najbardziej zmęczonym, aby zawrócili i na dole poczekali na resztę grupy. Pamiętała, że panna Temple rozmawiała najpierw z Butlerami, ale zniecierpliwiona ich wolnym tempem, wyprzedziła ich i ruszyła dalej żwawym krokiem. Lubiała chodzić szybko i denerwowała się, kiedy ktoś wspinał się wolniej. Zniknęła za zakrętem. Potem usłyszeli krzyk. Pobiegli w tamtą stronę i ujrzeli pannę Temple leżącą na ziemi. Pomyśleli, że na pewno jeden z tych głazów widocznych powyżej obsunął się, stoczył po zboczu i uderzył w przechodzącą turystkę. Wyjątkowo nieszczęśliwy i tragiczny wypadek.

- Nie przyszło pani to głowy, że to może nie był wypadek?

- Oczywiście, że nie. A co innego mogłoby to być?
- Czy nie zauważyła pani jakiejś postaci na wzgórzu?
- Nie. To jest główny szlak wiodący na szczyt, którym oczywiście przechodzi sporo ludzi. Tego popołudnia nie zauważyłam jednak nikogo szczególnego.

Potem wezwano Joannę Crawford. Po zanotowaniu jej danych personalnych doktor Stokes zapytał:

- Pani odłączyła się od reszty wycieczki?
- Tak. Wybraliśmy inną trasę, która znajdowała się powyżej głównego szlaku.
- Był z panią ktoś jeszcze?
- Tak. Pan Emlyn Price.
- Nikt oprócz państwa nie szedł tamtędy?
- Nie. Rozmawialiśmy i podziwialiśmy różne rzadkie okazy kwiatów. Emlyn interesuje się botaniką.
- Czy reszta grupy była w zasięgu państwa wzroku?
- Nie przez cały czas. Wszyscy szli tym głównym szlakiem, znajdującym się poniżej.
- Widziała pani pannę Temple?
- Wydaje mi się, że tak. Wyprzedziła pozostałych, a potem zniknęła mi z oczu za zakrętem, ponieważ zasłoniło ją zbocze góry.
- Dostrzegła pani kogoś na szczycie?
- Tak, jakiś człowiek był na górze, pośród wielkiego skupiska głazów.
- Wiem, które głazy ma pani na myśli - powiedział Stokes. - Ludzie nazywają to miejsce Baranimi Skalami.

- Przypuszczam, że z daleka mogą rzeczywiście wyglądać jak owce, ale my znajdowaliśmy się trochę bliżej.

- A więc zauważyła pani kogoś między skałami?

- Tak, ktoś znajdował się mniej więcej pośrodku tego skupiska. Osoba opierała się o jeden z głazów.

- Czy zdaniem pani, próbowała go zepchnąć?

- Tak właśnie pomyślałam i dziwiłam się, dlaczego to robi. Wybrała kamień znajdujący się na krawędzi zbocza. Głazy wyglądały na tak ciężkie, że poruszenie ich zdawało się niemożliwe. Okazało się jednak niezbyt trudne dla tego człowieka.

- Mówi pani o nim w sposób nieokreślony. Według pani, był mężczyzną czy kobietą?

- No cóż, wtedy się nad tym chyba nie zastanawiałam. Myślę, że mógł być mężczyzną. W każdym razie miał na sobie spodnie i męski pulower typu polo.

- Jakiego koloru był ten pulower?

- Zdaje się, że w czerwono-czarną kratkę.

Jaskrawoczerwoną. Pamiętam też beret, spod którego wystawały długie włosy. Wyglądały na włosy kobiety, ale równie dobrze mogły należeć do mężczyzny.

- Rzeczywiście - stwierdził sucho Stokes. - W dzisiejszych czasach rozróżnienie płci osoby na podstawie włosów jest dosyć trudne. I co się działo później? - zapytał.

- Głaz oderwał się od krawędzi i zaczął staczać z coraz większą prędkością. Powiedziałam wtedy do

Emlyna: "patrz, doleci na sam dół". Następnie jakby uderzył w coś i zdawało mi się, że słyszę krzyk, ale nie byłam pewna.

- A potem?

- Pobiegliśmy w dół, w kierunku zakrętu, żeby sprawdzić, co się stało z tym głazem.

- I co pani zobaczyła?

- Głaz leżał na ścieżce, a pod nim znajdowało się ciało. Zza zakrętu wybiegali ludzie.

- Czy to panna Temple wydała ten okrzyk?

- Ona albo ktoś z biegnących. To było okropne.

- Och, z pewnością. Co się stało z człowiekiem na górze, z tą osobą w czerwono-czarnym swetrze? Nadal znajdowała się między skałami?

- Nie wiem. Nie patrzyłam w górę, tylko na to, co działo się na ścieżce. Zbiegliśmy, żeby dowiedzieć się, czy nie trzeba w czymś pomóc. Później spojrzałam tam chyba, ale nikogo nie zauważyłam. Skały miały różne kształty, można więc było bardzo łatwo stracić taką osobę z oczu.

- Czy mógł to być ktoś z wycieczki?

- Na pewno nie. Poznałabym taką osobę po ubraniu. Jestem pewna, że nikt z grupy nie miał swetra w czerwono-czarną kratkę.

- Dziękuję pani.

Później wezwano Emlyna Price'a, którego zeznania potwierdziły właściwie słowa Joanny. Prowadzący śledztwo stwierdził, że nie ma wystarczających dowodów, aby jednoznacznie określić przyczynę

śmierci Elisabeth Temple i odroczył dochodzenie na dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY DWIE WIZYTY

W powrotnej drodze do hotelu prawie nikt się nie odzywał. Profesor Wanstead towarzyszył panie Marple, a ponieważ nie chodziła ona zbyt szybko, wszyscy inni wkrótce ich wyprzedzili.

- I co będzie dalej? - odezwała się w końcu.

- Pyta pani o dochodzenie czy o naszą sprawę?

- Myślałam o jednym i o drugim. Obie sprawy mogą się ze sobą wiązać.

- Zapewne policja będzie prowadzić dalsze śledztwo, opierając się na zeznaniach tej dwójki młodych ludzi.

- No tak.

- Niezbędne są kolejne przesłuchania. Mało prawdopodobne, aby śmierć panny Temple uznano teraz za przypadkową.

- Tak, rozumiem - powiedziała. - Co pan sądzi o ich zeznaniach?

Profesor rzucił jej krótkie spojrzenie spod swoich krzaczastych brwi.

- A jakie jest pani zdanie na ten temat? - zapytał znacząco. - Oczywiście dla nas obojga ich słowa nie były zaskoczeniem.

- Nie były.

- Chciała pani wiedzieć, co sędzę o tych młodych ludziach i jaki może być ich stosunek do sprawy?

- Tak. To ciekawe, co powiedzieli. Intryguje mnie ten czerwono-czarny sweter. Uważam, że to ważny szczegół, a pan?

- Zgadza się.

Wanstead znów spojrział na nią przenikliwie.

- Co to według pani znaczy?

- Moim zdaniem, opis tego swetra może stać się dla nas cenną wskazówką.

Wrócili do hotelu o wpół do pierwszej. Zostało jeszcze trochę czasu do lunchu, więc pani Sandbourne zaproponowała mały aperitif na zaostrzenie apetytu. Kiedy uczestnicy wycieczki popijali sherry, sok pomidorowy i inne napoje, pilotka przekazała grupie kilka informacji.

- Rozmawiałam z prowadzącymi śledztwo.

Zakończyli już oględziny zwłok, dlatego jutro o jedenastej odbędzie się nabożeństwo żałobne. Ustalę wszystko z tutejszym pastorem. Myślę, że następnego dnia możemy pojechać dalej. Program został trochę zmieniony, ponieważ straciliśmy trzy dni, ale mimo to nie powinno być żadnych komplikacji. Słyszałam, że kilka osób chciałoby wrócić pociągiem do Londynu. Doskonale rozumiem przyczyny tej decyzji i nie zamierzam namawiać państwa do pozostania. Śmierć panny Temple była dla nas wszystkich bardzo przykrym wydarzeniem.

Nadal chciałabym wierzyć, że nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Takie rzeczy zdarzały się

już wcześniej na tej trasie, chociaż tym razem ani zmiany geologiczne, ani warunki pogodowe nie wskazywały, aby kamienie miały się osunąć.

Oczywiście jakiś nierozważny turysta mógł poruszyć głazy przypadkowo, nie zdając sobie sprawy, że stwarza zagrożenie dla innych. Jeżeli znajdzie się ta osoba, sprawa dosyć szybko się wyjaśni, na razie jednak nie możemy być niczego pewni. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby panna Temple miała jakiegoś osobistego wroga, który chciałby jej wyrządzić krzywdę.

Proponuję, abyśmy już nie rozmawiali o wypadku. Jest to problem lokalnej policji, która prowadzi śledztwo w tej sprawie. Myślę, że wszyscy państwo zechcą uczestniczyć w jutrzejszym nabożeństwie.

Potem pojedziemy dalej i mam nadzieję, że w drodze zdołamy uwolnić się od przykrych wspomnień. Przed nami jeszcze wiele słynnych, zabytkowych budowli i pięknych krajobrazów.

Wkrótce potem podano lunch. Nikt nie wracał do tematu. W każdym razie - nie otwarcie. Po lunchu wszyscy zasiedli przy kawie, tworząc małe grupki, w których omawiali dalsze plany.

- Czy pojedzie pani z wycieczką? - zapytał Wanstead pannę Marple.

- Chyba nie - odpowiedziała powoli. - Myślę, że po tym, co się wydarzyło, powinnam zostać tutaj trochę dłużej.

- Pod Złotym Dzikim czy w Starym Dworze?

- To zależy, czy zostanę po raz kolejny zaproszona do Starego Dworu. Nie mogę nadużywać gościnności. Początkowo miałam się tam zatrzymać tylko na dwa, trzy dni. Sądzę, że lepiej, jeśli zostanę w hotelu.

- Nie myśli pani o powrocie do St. Mary Mead?

- Jeszcze nie - odparła. - Mam tutaj do załatwienia kilka spraw. Jedną rzecz udało mi się już ustalić - dostrzegła jego pytające spojrzenie. - Jeśli wyjeżdża pan z grupą, powiem panu, czego się dowiedziałam. Jest także inny powód, dla którego zostaję tutaj, ale wyjaśnię to panu później. Chcę zebrać pewne informacje, ponieważ jednak nie wiem, czy się na coś przydadzą, wolę o tym nie mówić. A jakie są pańskie plany?

- Powinienem wrócić do Londynu. Mam tam trochę pracy. Chyba że mógłbym tutaj pani pomóc.

- Nie - odrzekła. - Na razie nie. Przypuszczam, że pan ma także różne sprawy do wyjaśnienia.

- Przyjechałem na tę wycieczkę, aby panią poznać.

- A więc poznał mnie pan i dowiedział się ode mnie wszystkiego. Rozumiem, że ma pan jeszcze inne zadania. Zanim pan wyjedzie, proszę poświęcić mi kilka chwil.

- Tak, słucham panią.

- Pamiętam, co pan o mnie powiedział.

- O darze wyczuwania zła? Czy zauważyła pani coś w pobliżu?

- Czasami trudno określić, na czym polega zło.

- Niemniej jednak wyczuwa pani, że coś jest nie w porządku?

- Tak, bardzo wyraźnie.
- Zwłaszcza od czasu śmierci panny Temple, która bynajmniej nie była przypadkowa, niezależnie od tego, co sądzi pani Sandbourne.
- Tak, to oczywiście nie był wypadek. Nie mówiłam panu jeszcze, co wyznała mi panna Temple. Powiedziała, że ta wycieczka jest dla niej pielgrzymką.
- Interesujące - odrzekł profesor. - Nie mówiła, dokąd albo do kogo pielgrzymuje?
- Nie - odpowiedziała. - Gdyby miała więcej sił, może wyjaśniłaby mi to. Niestety, śmierć przyszła trochę za wcześnie.
- Nie domyśla się pani niczego?
- Nie. Mam jedynie pewność, że ta pielgrzymka zakończyła się tragicznie, ponieważ ktoś postanowił udaremnić jej plany. Możemy mieć tylko nadzieję, że opatrność pomoże nam wyjaśnić tę sprawę.
- Dlatego postanowiła pani zostać?
- Nie tylko dlatego - odparła. - Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o niej, o Norze Broad.
- O Norze Broad? - Wanstead wyglądał na zaskoczonego.
- To ta dziewczyna, która zaginęła w tym samym czasie co Verity Hunt. Wspominał pan o niej, pamięta pan? Dziewczyna, która uganiała się za chłopakami. Zapewne dosyć głupia, ale musiała być atrakcyjna. Sądzę, że dodatkowe informacje o niej mogą okazać się przydatne.

- Zdaje się na panią, detektywie Marple - oświadczył profesor.

Na nabożeństwie zjawili się wszyscy uczestnicy wycieczki. Panna Marple rozejrzała się po kościele. Zobaczyła także panią Glynne i pannę Clotilde, brakowało tylko najmłodszej siostry, panny Anthei. Było jeszcze kilka osób z miasteczka, które raczej nie znały panny Temple, ale przyszły przygnane niezdrową ciekawością. Panna Marple zauważyła nieznanego pastora, starszego człowieka po siedemdziesiątce, o szlachetnej, postawnej figurze. Miał miłą twarz, gęste, niemal białe włosy i był trochę niedołączny. Zastanawiała się, czy to może jakiś dawny przyjaciel panny Temple, który przyjechał z daleka na jej pogrzeb.

Po wyjściu z kościoła panna Marple zamieniła kilka słów z osobami z wycieczki. Wiedziała już teraz, kto jakie miał plany.

Butlerowie wracali do Londynu.

- Powiedziałam Henry'emu, że po tym, co się wydarzyło, nie jestem w stanie jechać dalej - tłumaczyła pani Butler. - Przez cały czas wydawałoby mi się, że ktoś może na nas wyskoczyć zza rogu, a potem strzelić albo rzucić kamieniem. Ktoś kto na przykład nie lubi angielskich ogrodów i zabytków.

- Uspokój się, Mamie - zawołał pan Butler. - Masz zbyt wybujałą wyobraźnię!

- W dzisiejszych czasach wszystkiego można się spodziewać. Te porwania samolotów i napady! Człowiek nigdzie nie czuje się bezpieczny. Starsze panny Lumley i Bentham postanowiły kontynuować zwiedzanie, wyjaśniając tę decyzję ze stoickim spokojem:

- Wycieczka sporo nas kosztowała i szkoda nam z niej zrezygnować tylko dlatego, że zdarzył się wypadek. Zadzwoniliśmy wczoraj do sąsiadów, którzy zaopiekują się kotami, nie musimy się więc niczym martwić.

Dla nich obu śmierć panny Temple pozostała nieszczęśliwym wypadkiem. Wygodniej było tak myśleć.

Pani Riseley-Porter także jechała z wycieczką. Pułkownik Walker i jego żona stwierdzili, że nic nie jest w stanie przeszkodzić im w podziwianiu rzadkich okazów fuksji w ogrodzie, który grupa miała oglądać dwa dni później. Architekt, pan Jameson, kontynuował zwiedzanie ze względu na kilka zabytkowych budowli, które bardzo go interesowały. Natomiast pan Caspar zrezygnował z wycieczki i wracał pociągiem. Panny Cooke i Barrow wydawały się niezdecydowane.

- Sądzę, że zatrzymamy się jeszcze jakiś czas w hotelu Pod Żłotym Dzikim. To piękna okolica - zauważyła panna Cooke. - Pani też tu zostaje, prawda, panno Marple?

- Myślę, że tak - odrzekła. - Nie mam odwagi podróżować po tym, co się stało. Kilka dni odpoczynku pozwoli mi dojść do siebie.

Kiedy wszyscy się rozeszli, panna Marple ruszyła wolnym krokiem w swoją stronę. Wyjęła z torebki wyrwaną z notatnika kartkę, na której zapisała adresy dwóch osób. Pierwszą z nich była pani Blackett, która mieszkała z ładnym domku z ogrodem, przy końcu prowadzącej do doliny uliczki. Drzwi otworzyła jej niska, schludna kobieta.

- Przepraszam, czy pani Blackett?

- Tak, proszę pani, to ja.

- Czy mogę wejść do pani na moment? Właśnie wracam z nabożeństwa i czuję się trochę osłabiona. Mogłabym przez chwilę tu posiedzieć?

- O mój Boże! Ależ oczywiście, niech pani wejdzie. Proszę usiąść. Zaraz przyniosę pani szklanekę wody, a może zrobić herbatę?

- Dziękuję bardzo - odpowiedziała panna Marple. - Wystarczy trochę wody.

Pani Blackett przyniosła wodę i była gotowa rozpocząć rozmowę o zawrotach głowy, omdleniach i tego typu dolegliwościach.

- Wie pani, mój siostrzeniec ma takie problemy. To dziwne w jego wieku, skończył dopiero pięćdziesiąt lat. Często miewa zawroty głowy, które ustają, jeśli natychmiast usiądzie. Może się jednak zdarzyć, że nie zdąży i przewróci się. To straszne. Lekarze nie są w stanie mu pomóc. Proszę, oto woda dla pani.

- Och, czuję się znacznie lepiej - westchnęła panna Marple, wypiwszy kilka łyków.

- Była pani na nabożeństwie żałobnym, prawda? Biedna kobieta. Różnie mówią o tym, co się stało. Moim zdaniem, to wypadek, ale policja ze wszystkiego chce zrobić aferę kryminalną.

- To prawda - przyznała panna Marple. - Ale podobno różne przykre rzeczy zdarzały się tutaj. Słyszałam o jakiejś dziewczynie, która nazywała się Nora. Chyba Nora Broad.

- Ach, Nora. No cóż, to córka mojej kuzynki. Minęło już sporo czasu, odkąd zniknęła. Wyszła gdzieś i nie wróciła. Te dzisiejsze dziewczyny, nic ich nie powstrzyma! Tyle razy mówiłam Nancy (tak ma na imię moja kuzynka): "Przez cały dzień pracujesz. Czy wiesz, co robi Nora? Słyszałaś, że lubi spotykać się z chłopakami? Będą z tego kłopoty, zobaczysz". I oczywiście miałam rację.

- To znaczy?

- Niepożądana ciąża, jak zwykle. Nie sądzę, żeby Nancy o tym wiedziała, ale ja mam sześćdziesiąt pięć lat i znam się na życiu. Pamiętam, jak wyglądała Nora, i nawet domyślałam się, kto był ojcem, ale mogłam się mylić. Wyprowadził się, a potem dziewczyna zniknęła.

- Zniknęła?

- Ostatni raz widziano ją, jak wsiadała do samochodu z jakimś chłopakiem. Nie pamiętam teraz nazwy auta, ale brzmiała dosyć śmiesznie. W każdym razie mówili, że to taki samochód, w jakim

widzieli tę biedną dziewczynę, którą zamordowano. Nie wierzę jednak, aby to samo przytrafiło się Norze. Znaleziono by do tej pory ciało, prawda?

- Tak, ma pani chyba rację - odrzekła panna Marple.

- Jaka ona była? Czy dobrze się uczyła?

- Nie, wręcz przeciwnie. Była leniwa i niezbyt zdolna. Odkąd skończyła dwanaście lat myślała tylko o chłopakach. Wiedziałam, że jeśli się to nie zmieni, ona w końcu ucieknie. Nigdy się potem nie odezwała, nie wysłała nawet pocztówki. Odjechała pewnie z kimś, kto obiecywał jej złote góry. Wie pani, jak to jest.

- W młodości znałam dziewczynę, która uciekła z Arabem - opowiadała. - Obiecał jej same wspaniałości: cudowny dom, obwieszony dywanami (swoją drogą, to śmieszne wieszac dywany na ścianach), stado koni i wielbłądów. Powiedział, że jego ojciec jest szachem. Okazało się, że to był szach, ale dla niej. Pojechała do jakiegoś afrykańskiego kraju, chyba Algierii. Wróciła po trzech latach. Przeżyła straszne rzeczy. Mieszkali w brudnej lepiance i żywili się tylko kokosami, które smakują podobno jak kasza manna. Okropne. Potem powiedział, że nie ma z niej żadnego pożytku, dlatego daje jej rozwód. Tam wystarczy powiedzieć trzy razy "odejść" i po wszystkim. Jakieś towarzystwo dobroczynne zajęło się nią i opłaciło jej podróż do Anglii, dlatego wróciła. Ale to zdarzyło się kilkadziesiąt lat temu, a Nory nie ma od siedmiu czy ośmiu lat. Ja jednak sądzę, że ona pewnego dnia

wróci. Życie da jej nauczkę. Dziewczyna zrozumie wreszcie, że takie obietnice nic nie znaczą.

- Czy oprócz matki miała się do kogo zwrócić?

- O tak, było wiele życzliwych jej osób. Na przykład rodzina ze Starego Dworu. Pani Glynne nie mieszkała tam wtedy, ale panna Clotilde chętnie pomagała dziewczętom ze szkoły. Dawała Norze różne prezenty, na przykład śliczny szal i piękną sukienkę, taką letnią, z cienkiego jedwabiu. Panna Clotilde była bardzo uczynna. Próbowiała zainteresować Norę nauką. Niestety, traciła czas. Tłumaczyła jej, że się źle prowadzi. Wie pani, nie chciałabym tego mówić... zresztą matka Nory nie jest moją kuzynką, tylko żoną kuzyna... Ta dziewczyna zachowywała się okropnie! Latała za wszystkimi chłopakami. Każdy mógł ją poderwać. To smutne. Ostrzegałam, że skończy na ulicy, nie wróżyłam jej innej przyszłości. Nie powinnam tak mówić, ale taka jest prawda. Z drugiej strony, może to lepsze, niż zginąć jak panna Hunt ze Starego Dworu. Okropna śmierć. Podejrzewali, że z kimś uciekła. Policja miała pełne ręce roboty. Zatrzymała kilku chłopaków: Geoffrey'a Granta, Billy'ego Thompsona i Harry'ego Landforda. Wszyscy trzej bezrobotni, chociaż proponowano im najróżniejsze zajęcia. Kiedyś było zupełnie inaczej. Dziewczęta zachowywały się przyzwoicie, a chłopcy wiedzieli, że trzeba pracować, jeśli chcieli do czegoś dojść.

Panna Marple porozmawiała jeszcze chwilę, potem stwierdziła, że czuje się dobrze, podziękowała pani Blackett i wyszła.

Następną wizytę złożyła pewnej dziewczynie.

Zobaczyła ją w ogródku, gdzie tamta przesadzała sałatę.

- Nora Broad? - powtórzyła tamta. - Nie widziałam jej w miasteczku od lat. Wyjechała dokądś.

Interesowała się tylko chłopakami. Zawsze byłam ciekawa, jak to się skończy. Czy chciała się z nią pani widzieć w jakiejś sprawie?

- Napisali do mnie znajomi z zagranicy - skłamała panna Marple. - Bardzo mili ludzie. Myśleli o zatrudnieniu niejakej Nory Broad. Podobno miała jakieś kłopoty. Wyszła za męża za łobuza, który potem zostawił ją dla innej kobiety. Chciała pracować jako opiekunka do dzieci. Moi znajomi nic więcej o niej nie wiedzą, ale zdaje się, że dziewczyna pochodzi stąd. Dlatego sądziłam, że znajdę kogoś, kto mógłby mi coś o niej opowiedzieć. Pani chyba chodziła z nią do szkoły?

- Tak, nawet do tej samej klasy. Przepraszam panią, ale nigdy nie pochwalałam jej zachowania. Szalała za chłopakami, a ja miałam tylko jednego, z którym chodziłam bardzo długo. Powiedziałam jej, że to, co robi, nie prowadzi do niczego dobrego. Nie może umawiać się z każdym Tomem, Dickiem i Harrym, który proponuje jej przejażdżkę samochodem albo zaprosi ją do pubu, a ona będzie ich oszukiwać na

temat swojego wieku. Wyglądała na dużo starszą, niż była.

- Brunetka czy blondynka?

- Miała piękne, ciemne włosy. Zawsze nosiła je rozpuszczone.

- Czy policja poszukiwała jej po tym, jak zniknęła?

- Tak. Wyszła, nie zostawiwszy żadnej wiadomości, i już nie wróciła. Wsiadła podobno do samochodu, którego nikt więcej nie widział, tak jak i jej. W tym czasie popełniono sporo morderstw. Nie tylko tu w okolicy, ale i w całym kraju. Policja zatrzymywała wielu młodych mężczyzn. Potem znaleziono ciało. Myśleli, że to ona. Ale nie. Na pewno żyje i zarabia duże pieniądze w Londynie albo w innym mieście jako striptizerka czy ktoś taki. Tego bym się po niej spodziewała.

- Jeśli jest to ta osoba, o której myślałam, nie sądzę, aby odpowiadała moim znajomym.

- No tak. Musiałaby się trochę zmienić - przyznała dziewczyna.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY ARCHIDIAKON BRABAZON

Kiedy panna Marple wróciła zmęczona do hotelu, na jej spotkanie wyszedł recepcjonista, który powiedział:

- Jakiś pan chciałby z panią porozmawiać.

Archidiakon Brabazon.

- Archidiakon Brabazon? - powtórzyła zdziwiona.

- Tak, próbował panią znaleźć. Słyszał, że jest pani na wycieczce i chciałby się z panią zobaczyć, zanim wyjedzie pani do Londynu. Mówiłem mu, że niektórzy wracają tam dzisiaj po południu. Zależy mi na rozmowie z panią. Czeka w sali telewizyjnej. W tej chwili jest tam chyba najspokojniej.

Zaskoczona panna Marple poszła do wskazanej sali. Archidiakon Brabazon okazał się tym starszym duchownym, którego widziała na nabożeństwie żałobnym. Wszedł jej naprzeciw.

- Panna Marple? Panna Jane Marple?

- Tak, to ja. Podobno chciał pan...

- Jestem archidiakon Brabazon. Przyjechałem tutaj na pogrzeb mojej serdecznej przyjaciółki, panny Elisabeth Temple.

- Ach tak. Usiądźmy - zaproponowała.

- Chętnie, nie jestem już tak silny jak dawniej. - Siadał bardzo powoli.

- A pani...

Panna Marple zajęła miejsce obok niego.

- Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć? - zapytała.

- Zdaję sobie sprawę, że jestem dla pani zupełnie obcym człowiekiem, dlatego powinienem zacząć od wyjaśnienia. Przed pójściem do kościoła wstąpiłem do szpitala w Carristown, gdzie dowiedziałem się od siostry przełożonej, że przed śmiercią Elisabeth rozmawiała ze znajomą z wycieczki, panną Jane Marple. Siostra mówiła, że była pani przy niej tuż przed śmiercią.

Spojrzał na nią pytająco.

- Tak, to prawda - odpowiedziała. - Zdziwiłam się, że mnie wezwała.

- Czy była pani jej przyjaciółką?

- Nie - odparła. - Poznałam ją dopiero na wycieczce. Dlatego byłam tak zaskoczona. Siedziałyśmy blisko siebie w autokarze, rozmawiałyśmy kilkakrotnie i tak nawiązała się znajomość. Jednak zdziwiło mnie, kiedy poprosiła mnie o przyjazd do szpitala.

- Rozumiem. Jak już wspomniałem, przyjaźniliśmy się z Elisabeth. Pojechała na wycieczkę, aby zobaczyć się ze mną. Mieszkam w Fillminster, gdzie grupa miała się zatrzymać dwa dni później. Chciała mnie odwiedzić i porozmawiać o kilku sprawach, które pomógłbym jej wyjaśnić.

- Ach tak - rzekła panna Marple. - Czy mogę pana o coś spytać? Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt osobiste pytanie.

- Ależ oczywiście, proszę pytać, o co pani zechce.

- Panna Temple powiedziała mi między innymi, że nie pojechała na wycieczkę tylko w celach turystycznych. Określiła ten wyjazd w dosyć niezwykły sposób, a mianowicie jako pielgrzymkę.

- Naprawdę tak to nazwała? - zapytał archidiakon. - To ciekawe i dosyć znaczące.

- Dlatego chciałabym zapytać, czy ta pielgrzymka, o której mówiła, miała związek z wizytą u pana?

- Tak. Myślę, że tak - odpowiedział.

- Rozmawiałyśmy także o pewnej dziewczynie - dodała. - O niejkiej Verity.

- Ach tak. O Verity Hunt.

- Nie znałam jej nazwiska. Panna Temple wspomniała tylko, że miała na imię Verity.
- Verity Hunt nie żyje - wyjaśnił Brabazon. - Zginęła wiele lat temu. Czy wiedziała pani o tym?
- Tak. Podczas rozmowy o niej, panna Temple powiedziała mi coś, czego nie wiedziałam - że Verity była zaręczona z synem pana Rafiela. Pan Rafael jest, powinnam powiedzieć "był", moim przyjacielem. Okazał się na tyle miły, że opłacił mi wyjazd na tę wycieczkę. Wydaje mi się, że chciał, abym spotkała się z panną Temple. Sądził, że mogłaby mi udzielić pewnych informacji.
- Informacji o Verity? -Tak.
- Właśnie z powodu Verity Elisabeth wybierała się do mnie. Zamierzała mnie również o coś spytać.
- Chciała zapewne się dowiedzieć, dlaczego Verity zerwała zaręczyny z młodym Rafielem - powiedziała panna Marple.
- Verity nie zerwała tych zaręczyn. Jestem tego pewny jak żadnej innej rzeczy pod słońcem.
- Ale panna Temple o tym nie wiedziała?
- Nie. Sądzę, że to, co się stało, zaskoczyło ją i zasmuciło, więc chciała zapytać, dlaczego nie doszło do ślubu.
- A dlaczego nie doszło? Proszę nie myśleć, że pytam z czystej ciekawości. Nie jestem tu co prawda na pielgrzymce, ale mam do spełnienia pewną, nazwijmy to, misję. Ja także chciałabym wiedzieć, dlaczego Michael Rafael nie ożenił się z Verity Hunt.

Archidiakon przez moment przyglądał jej się badawczo.

- Widzę, że zaangażowała się pani w tę sprawę - stwierdził.

- To prawda. Robię to na życzenie zmarłego pana Rafiela, ojca Michaela.

- Nie mam powodów, żeby nie opowiedzieć pani wszystkiego, co wiem - rzekł powoli. - Pyta mnie pani o to samo, o co spytałaby Elisabeth. Nie umiem pani odpowiedzieć. Tych dwoje młodych ludzi zamierzało się pobrać. Wszystko zostało przygotowane. Ja miałem im udzielić ślubu, który chcieli utrzymać w tajemnicy. Znałem ich oboje, Verity nawet od bardzo dawna. Przygotowywałem ją do bierzmowania, ponieważ często odprawiałem wielkopostne nabożeństwa i msze wielkanocne w szkole Elisabeth Temple. Świetna szkoła. Elisabeth była bardzo dobrą dyrektorką i wspaniałą nauczycielką, która potrafiła właściwie ocenić możliwości swoich uczennic. Zdolne dziewczęta namawiała na studia, a takich, które nie miały ochoty na naukę, nie zmuszała. Tak, była niezwykłą kobietą i oddaną przyjaciółką.

Verity to jedna z najpiękniejszych dziewcząt, jakie znałem. Mam na myśli nie tylko urodę fizyczną, ale także piękno jej ducha. Kochane dziecko. Niestety, wczesnie straciła rodziców. Zginęli w katastrofie, lecąc na wakacje do Włoch. Verity zamieszkała u panny Clotilde Bradbury-Scott, którą zapewne pani zna. Była bliską przyjaciółką matki Verity. Panna

Clotilde ma dwie siostry, ale jedna właśnie wtedy wyszła za mąż i wyjechała za granicę, więc Verity mieszkała tylko z dwiema z nich. Clotilde, ta najstarsza, bardzo przywiązała się do Verity. Robiła co mogła, aby uszczęśliwić dziewczynę. Zabierała ją na wycieczki zagraniczne do Włoch, rozwijała jej zmysł artystyczny. Opiekowała się nią troskliwie i obdarzała gorącym uczuciem, które Verity odwzajemniała, kochając Clotilde jak matkę. Była pod ogromnym wpływem tej inteligentnej i wykształconej kobiety. Clotilde nie namawiała dziewczyny na studia uniwersyteckie, ponieważ widziała, że to jej nie pociągało. Verity miała zainteresowania artystyczne, wolała sztuki piękne i muzykę. Mieszkała w Starym Dworze, gdzie była chyba bardzo szczęśliwa. Zawsze na taką wyglądała. Oczywiście nie widywałem jej, odkąd tu zamieszkała i skończyła szkołę, ponieważ Fillminster, gdzie pracuję, znajduje się prawie sto kilometrów stąd. Pisywałem do niej na Boże Narodzenie i inne święta, ona także wysyłała mi kartki. Pewnego dnia zjawiała się u mnie już jako dorosła, bardzo piękna kobieta w towarzystwie przystojnego, młodego człowieka, syna pana Rafiela, Michaela, którego także trochę znałem. Przyjechali do mnie, ponieważ byli zakochani i chcieli wziąć ślub.

- I zgodził się pan udzielić im ślubu? - Tak. Zapewne pomyśli pani, że nie powinienem. Przyjechali w tajemnicy przed rodziną, to było dla mnie oczywiste. Domyślałem się, że Clotilde Bradbury-Scott

próbowałyby im przeszkodzić. Miałyby uzasadnione powody, ponieważ, szczerze powiedziawszy, Michael nie zapowiadał się na męża, o jakim marzy się dla córki. Verity wydawała się trochę za młoda na podjęcie takiej decyzji, a chłopak od lat miał kłopoty. Stawał przed sądem dla nieletnich, spotykał się z nieodpowiednimi ludźmi, był wmieszany w różne przestępstwa. Miewał liczne romanse i w związku z tym określone zobowiązania wobec dziewcząt. W kontaktach z nimi zachowywał się także jak łobuz, był jednak tak przystojny, że one zakochiwały się w nim i postępowały zupełnie bezmyślnie. Poza tym odsiedział dwa krótkie wyroki. No, zwyczajny kryminalista. Znałem trochę jego ojca, który, jak sądzę, robił co mógł, aby pomóc synowi. Wyciągał go z tarapatów, załatwiał odpowiednią pracę, płacił za niego długi i kary. Pomagał mu, ale...

- Uważa pan, że mógł zrobić więcej?

- Nie - odrzekł archidiakon. - Zdążyłem się już nauczyć, że należy akceptować ludzi takich, jakimi są, ze wszystkimi cechami, które - mówiąc naukowo - otrzymali w genach. Nie sądzę jednak, aby pan Rafiel kiedykolwiek naprawdę kochał swego syna. Co najwyżej był do niego przywiązany i czuł się za niego odpowiedzialny. Nie wiem, czy byłoby lepiej dla Michaela, gdyby miał kochającego ojca. Może nic by to nie zmieniło. W każdym razie, to smutna prawda. Chłopak nie był głupi i gdyby tego chciał, nie wybrałby złej drogi. Ale okazał się urodzonym łobuzem. Miał sporo zalet, na przykład poczucie

humoru i życzliwość dla innych. Potrafił pomagać ludziom - przyjaciel, na którym zawsze można polegać. Jednak swoje dziewczyny traktował źle. Podobno wpędzał je w kłopoty, a potem porzucał i szukał sobie nowych.

Tak więc stanęło przede mną dwoje młodych ludzi, a ja zgodziłem się udzielić im ślubu. Powiedziałem Verity zupełnie otwarcie, kogo wybrała sobie na męża. Zauważyłem, że on nie próbował jej oszukiwać. Powiedział jej o wszystkim i obiecał, że kiedy się z nią ożeni, stanie się zupełnie innym człowiekiem. Ostrzegałem ją, że to niemożliwe, ponieważ ludzie się nie zmieniają, chociaż on oczywiście mógł tego chcieć. Moim zdaniem, Verity doskonale zdawała sobie z tego sprawę. "Wiem, jaki jest Mike - powiedziała. - Wiem, że prawdopodobnie nigdy się nie zmieni, ale ja go kocham. Może zdołam mu pomóc, może nie, ale zaryzykuję".

Muszę pani powiedzieć, że znam młodych ludzi jak nikt inny. Udzielałem ślubu wielu parom i widziałem małżeństwa, które pozostawały sobie wierne do końca życia, i takie, które niespodziewanie rozpadały się. Potrafię jednak rozpoznać, kiedy dwoje ludzi naprawdę się kocha. Nie mam na myśli tylko fascynacji erotycznej. Moim zdaniem, zbyt wiele mówi się dzisiaj o seksie, przeceniając jego znaczenie. Nie twierdzę absolutnie, że jest czymś złym, ale nie może zastąpić miłości. Seks jej towarzyszy, jednak bez miłości nie ma sensu. Słowa przysięgi małżeńskiej brzmią: "Na dobre i na złe, w

zdrowiu i w chorobie". To właśnie mówi ktoś, kto kocha i pragnie poślubić drugiego człowieka. Tych dwoje kochało się naprawdę... "dopóki śmierć ich nie rozdzieliła". I tu kończy się moja opowieść.

Nie mogę jej kontynuować, bo nie mam pojęcia, co się stało później. Wiem tylko, że zgodziłem się spełnić ich prośbę. Ustaliliśmy datę, godzinę i miejsce. Może ponoszę za to wszystko winę, ponieważ zgodziłem się dochować tajemnicy...

- Nie chcieli, aby ktokolwiek się dowiedział? -
zapytała panna Marple.

- Nie. Ani ona, ani on. Bali się, że ktoś zechce im przeszkodzić. W wypadku Verity powodem wyjścia za mąż była nie tylko miłość, ale także chęć ucieczki. Zrozumiała w jej sytuacji. Straciła prawdziwych rodziców i po ich śmierci rozpoczęła inne życie. Była właśnie w wieku, kiedy dziewczęta doświadczają swej pierwszej miłości, która przesłania im wszystko inne. To stan krótkotrwały i naturalny w tym okresie. Potem jest kolejny etap, gdy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że potrzebuje drugiej osoby, która stałaby się jej dopełnieniem. Pragnie trwałego związku i zaczyna szukać partnera na całe życie. Jeśli jest rozsądna, nie spieszy się. Ma licznych przyjaciół, lecz rozgląda się za tym jednym jedynym, najodpowiedniejszym dla siebie.

Clotilde Bradbury-Scott była dobrą opiekunką, a Verity po prostu ją ubóstwiała. Clotilde to niezwykła kobieta: piękna, utalentowana, interesująca. Moim zdaniem, Verity darzyła ją romantycznym

uwielbieniem, a Clotilde pokochała dziewczynę jak córkę. Tak więc Verity dojrzewała w tej cudownej atmosferze, wiodąc interesujące życie wśród fascynujących zajęć, które rozwijały jej zdolności intelektualne. Była szczęśliwa, ale powoli zaczęła w niej kielkować myśl o ucieczce od tego uwielbienia. Nie wiedziała jeszcze, dokąd ma uciec. Ale zrozumiała, kiedy poznała Michaela. Zapragnęła rozpocząć nowy etap w życiu - związać się z ukochanym mężczyzną. Zdawała sobie jednak sprawę, że opiekunka nie zrozumie jej i będzie przeciwna miłości do Michaela. Obawiam się, że Clotilde miałaby rację. Teraz wiem, że to nie był odpowiedni kandydat na męża dla Verity. Droga, którą wybrała, nie prowadziła do nowego, szczęśliwego życia, ale do cierpienia i śmierci. Czuję okropne wyrzuty sumienia. Miałem dobre intencje, ale chyba nie wiedziałem wszystkiego. Znałem Verity, ale nie Michaela. Rozumiałem jej życzenie dochowania tajemnicy, gdyż Clotilde mogła rzeczywiście namówić dziewczynę do rezygnacji z małżeństwa. Miała na nią ogromny wpływ.

- Czy uważa pan więc, że Clotilde zmusiła Verity do zerwania z Michaelem?

- Trudno mi w to uwierzyć. Verity powiedziałyby mi, gdyby tak się stało.

- Co się właściwie zdarzyło w dniu ślubu?

- Tak, tego jeszcze nie opowiedziałem. Ustaliliśmy dokładny termin, czekałem więc na pannę młodą i pana młodego, ale oni się nie pojawili ani nie

przekazali żadnej wiadomości, zupełnie nic. Nie wiedziałem dlaczego i do dziś tego nie ustaliłem. Nadal trudno mi w to uwierzyć. Nie dlatego, że nie przyszli - to można przecież łatwo wytłumaczyć - ale że mnie nie uprzedzili. Nie otrzymałem ani słowa wyjaśnienia. Miałem nadzieję, że przed śmiercią Elisabeth Temple powiedziała pani coś na ten temat. Jeśli wiedziała, że umiera, mogła chcieć przekazać mi jakąś wiadomość.

- Ona chciała się tego dowiedzieć od pana - wyjaśniła panna Marple. - Dlatego właśnie się do pana wybierała.

- Tak, chyba ma pani rację. Rozumiem, że Verity nie powiedziała o niczym Clotilde i Anthei, osobom, które chciałyby ją powstrzymać. Jednak do Elisabeth Temple była bardzo przywiązana i dlatego wydawało mi się, że mogła ją o czymś powiadomić.

- Myślę, że tak właśnie zrobiła - powiedziała panna Marple.

- Sądzi pani, że zostawiła jej jakąś informację?

- Zawiadomiła Elisabeth, że wychodzi za Michaela.

Panna Temple powiedziała mi: "Znałam dziewczynę o imieniu Verity, która zamierzała poślubić Michaela Rafiela". Jediną osobą, która mogła ją o tym poinformować była sama Verity. Musiała rozmawiać z nią lub napisać do niej. Wtedy zapytałam: "Dlaczego za niego nie wyszła?", a ona odrzekła: "Ponieważ zmarła".

- Ponownie jesteśmy w ślepych zaułku - stwierdził archidiakon, wzdychając. - Elisabeth i ja

wiedzieliśmy tylko o dwóch rzeczach: że Verity zamierza wyjść za Michaela i kiedy to nastąpi - właściwie chyba tylko ja znałem termin ślubu. Czekalem, lecz państwo młodzi nie przyszli i nie przekazali ani jednego słowa wyjaśnienia.

- Nie ma pan pojęcia, co się stało? - zapytała.

- Nie, ale nawet przez chwilę nie wierzyłem, aby mogli ze sobą zerwać.

- Musiało dojść między nimi do jakiegoś nieporozumienia. Może Verity zrozumiała nagle, jaki naprawdę jest Michael, dostrzegła coś, czego wcześniej nie chciała zauważyć. ..

- To nadal nie tłumaczy, dlaczego mnie nie powiadomiła. Nie pozwoliłaby, abym czekał na nich z ceremonią. Zapewne zabrzmiałoby to absurdalnie w tej sytuacji, ale ona była dziewczyną z nienagannymi manierami. Uprzedziłaby mnie. Obawiam się, że przyczyna mogła być tylko jedna...

- Śmierć? - spytała i przypomniała sobie inne słowo wypowiedziane przez Elisabeth Temple, które zabrzmiało złowroźnie jak dzwon żałobny.

- Tak - westchnął archidiakon. - Śmierć.

- Miłość i śmierć - powiedziała panna Marple powoli.

- Nie rozumiem...

- To słowa Elisabeth Temple. Kiedy zapytałam ją o przyczynę śmierci dziewczyny, odrzekła, że zabiła ją miłość. Dodała, że "miłość" to najbardziej przerażające słowo na świecie.

- Rozumiem - stwierdził Brabazon. - Wydaje mi się, że rozumiem.

- To znaczy?

- Chodzi o rozdwojenie jaźni - westchnął. - Zjawisko jest niewidoczne dla zwyczajnych ludzi, jedynie dla specjalistów. Jekyll i Hyde to nie tylko fikcja stworzona przez wyobraźnię Stevenson'a. Michael Rafiel musi być schizofrenikiem. Ma podwójną osobowość. Nie znam się na tym, nie jestem lekarzem, ale na pewno cierpi na rozdwojenie jaźni. Mamy miłego, bardzo sympatycznego chłopca, którego głównym marzeniem jest osiągnięcie szczęścia. Jednocześnie, pod presją niezrozumiałych bodźców psychicznych, ten sam człowiek popełnia morderstwo, zabijając nie wroga, ale osobę, którą kocha, czyli Verity. Zapewne nawet nie wie, jak to się stało i dlaczego to zrobił. Na tym świecie jest mnóstwo przerażających zjawisk: różne choroby psychiczne, uszkodzenia mózgu...

Taki tragiczny wypadek zdarzył się w mojej parafii. Dwie starsze kobiety na emeryturze zamieszkały razem. Od lat się przyjaźniły i wyglądały na zadowolone z życia. Pewnego dnia jedna zabiła drugą. Posłała potem po swego przyjaciela pastora i powiedziała mu: "Zabiłam Louise. To smutne, ale ujrzałam w jej oczach diabła i zrozumiałam, że powinnam ją zabić". Takie wydarzenia sprawiają, że ludzie tracą ochotę do życia. Pytają "dlaczego?, jak mogło do tego dojść?". Pewnego dnia naukowcy odkrywają, że to dzieje się za sprawą deformacji chromosomów czy genów... albo jakiś gruczoł zakłóca prawidłowe funkcjonowanie mózgu.

- Uważa pan, że tak było i w tym wypadku?
- Jestem tego pewny. Długo nie mogli jej znaleźć. Verity po prostu zniknęła. Wyszła z domu i nikt jej więcej nie widział.
- Ale to musiało zdarzyć się tego właśnie dnia...
- Wyjaśniano to podczas śledztwa...
- Mówi pan o dochodzeniu przeprowadzanym po znalezieniu ciała i aresztowaniu Michaela?
- On był jedną z pierwszych osób wezwanych przez policję. Ludzie widzieli ich razem w jego samochodzie. Był głównym podejrzanym, chociaż przesłuchiowano także innych młodych ludzi, którzy znali Verity. Jednak policja nie znalazła przeciwko nim żadnych dowodów, dlatego pozostał Michael. W końcu znaleźli ciało. Dziewczyna została uduszona i miała zmasakrowaną twarz. Okrutny, szaleńczy atak. Ten, kto to zrobił, nie mógł być przy zdrowych zmysłach. Stevensonowski pan Hyde przejął nad nim kontrolę.

Panną Marple wstrząsnął dreszcz.

- Czasami jednak wydaje mi się, że zabił ją ktoś inny
- mówił archidiakon cichym, smutnym głosem. - Chcę wierzyć, że to nie Michael, tylko jakiś obcy, chory psychicznie człowiek, którego Verity spotkała przypadkowo na ulicy. Może podwoził ją gdzieś samochodem i wtedy... - potrząsnął głową.
- To dosyć prawdopodobne.
- Mike wywarł na sędzie złe wrażenie - stwierdził Brabazon. Przez cały czas kłamał. Wymyślał niestworzone historie na temat samochodu, miał

niewiarygodne alibi. Był przerażony. Nie powiedział ani słowa o planach małżeństwa. obrońca chyba uważał, że to mogło świadczyć przeciwko chłopakowi... gdyby na przykład ona nalegała na ślub, a on nie chciał się zgodzić. To wydarzyło się tak dawno temu, że nie pamiętam już szczegółów. Jednak wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu. Wyglądał na winnego i za takiego go uznano. Rozumie pani teraz, że jestem bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Podjąłem błędną decyzję. Pchnąłem piękną, uroczą dziewczynę w ramiona śmierci, ponieważ nie znałem się wystarczająco dobrze na ludzkiej psychice. Byłem nieświadomy groźącego jej niebezpieczeństwa. Wierzyłem, że jeśli poczuje jakiegokolwiek zagrożenie z jego strony, cofnie dane słowo, zerwie zaręczyny i przyjdzie opowiedzieć mi o swoich obawach. Ale nie zdarzyło się nic takiego.

- Dlaczego ją zabił? - zastanawiał się. - Czy dlatego, że spodziewała się dziecka, a on zdążył już związać się z inną i nie chciał być zmuszany do małżeństwa z Verity? Nie potrafię w to uwierzyć. Może powód był zupełnie inny - dziewczynę ogarnął nagły strach i postanowiła z nim zerwać, co spowodowało jego gniew. Czy wpadł w szal i zabił ją? Nie wiadomo.

- Nie wie pan, ale wciąż wierzy w jedno.

- Co pani ma na myśli, mówiąc, że wierzę? Sprawy religijne?

- Ależ nie - odrzekła. - Chodzi mi o pana wewnętrzne przekonanie, że tych dwoje naprawdę się kochało i

chciało się pobrać, ale coś im przeszkodziło. Coś, co spowodowało śmierć Verity. Pan jednak nadal wierzy, że zamierzali przyjechać do pana i wziąć ślub.

- Tak, ma pani rację. Nie mogę przestać wierzyć, że oni się kochali i pragnęli być razem przez resztę życia. W zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. Niestety, okazało się, że na złe...

- Musi pan nadal wierzyć w ich miłość - powiedziała.

- Chyba domyśla się pan, że ja także w to wierzę.

- I co dalej?

- Jeszcze nie wiem - odparła. - Nie jestem pewna, ale przypuszczam, że Elisabeth Temple zaczęła się domyślać prawdy. "Miłość to przerażające słowo", powiedziała. Kiedy to usłyszałam, pomyślałam, że z powodu romansu Verity popełniła samobójstwo. Sądziłam, że dowiedziała się nagle czegoś o Michaelu, a to ją załamało i pchnęło do takiego desperackiego czynu. Ale to nie było samobójstwo.

- Nie, absolutnie nie - oświadczył archidiakon. -

Podczas śledztwa bardzo dokładnie opisano obrażenia. Nie popełnia się samobójstwa, masakrując sobie twarz.

- Straszne! - zawołała panna Marple. - Takich rzeczy nie robi się także osobie, którą się kocha, nawet jeśli zabija się "z miłości". Jeśli on ją zabił, nie mógł tego uczynić w taki sposób. Uduszenie jest jeszcze prawdopodobne, ale nie zmasakrowanie ukochanej twarzy! - stwierdziła. - Miłość... przerażające słowo - mruknęła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY POŻEGNANIA

Następnego dnia rano autokar podjechał pod hotel. Panna Marple wyszła, aby pożegnać się ze wszystkimi. Pani Riseley-Porter była czymś niezwykle wzburzona.

- Te dzisiejsze dziewczęta - zawołała. - Nie mają za grosz wytrzymałości ani energii.

Panna Marple spojrzała na nią pytająco.

- Mówię o mojej siostrzenicy, Joannie.

- Mój Boże, czyżby źle się czuła?

- Tak twierdzi. Nie widzę, żeby coś jej było, ale mówi, że boli ją gardło i ma gorączkę. Moim zdaniem, to nonsens.

- Och, bardzo mi przykro - odrzekła panna Marple.

- Czy mogę jakoś pomóc? Może zajrzeć do niej?

- Najlepiej zostawić ją w spokoju. Uważam, że to tylko wymówka.

Panna Marple spojrzała zdziwiona.

- Dziewczyny są takie niemądre. Ciągłe się zakochują

- wyjaśniła pani Riseley-Porter.

- Emlyn Price?

- Pani też to zauważyła? Są już na tym etapie, że nie widzą poza sobą świata. W każdym razie, nie obchodzi mnie on. To jeden z tych długowłosych studentów, którzy mówią samymi skrótami.

Dlaczego oni nie potrafią powiedzieć poprawnie jednego pełnego zdania? I co ja teraz zrobię? Kto mi

pomoże nieść bagaż? Przestałam zupełnie dla niej istnieć. Zapomniała, że to ja opłaciłam jej całą wycieczkę.

- Odniosłam wrażenie, że bardzo się o panią troszczy
- stwierdziła panna Marple.

- Ostatnio przestała. Dzisiejsze dziewczyny nie rozumieją, że w pewnym wieku ludzie potrzebują opieki. Proszę sobie wyobrazić, że ona i ten Price wpadli na jakiś absurdalny pomysł. Wybierają się na wspinaczkę, a cała trasa ma jedenaście czy dwanaście kilometrów!

- No tak, ale jeśli Joannę boli gardło i ma gorączkę...

- Zobaczy pani, że gdy tylko odjedzie autokar, ona natychmiast wyzdrowieje. Mój Boże, trzeba wsiadać. Do widzenia, miło było panią poznać. Szkoda, że nie jedzie pani z nami.

- Ja też żałuję, ale nie jestem ani tak młoda, ani tak energiczna jak pani i naprawdę czuję się wstrząśnięta tym, co się ostatnio stało. Potrzebuję kolejnego dnia wypoczynku.

- Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Podały sobie dłonie, a potem pani Riseley-Porter weszła do autokaru.

Panna Marple usłyszała za plecami czyjś głos:

- Bon voyage*! Proszę się dobrze bawić!

Odwróciła się i zobaczyła szelmowski uśmiech Emlyna Price'a.

- Czy mówił pan do pani Riseley-Porter?

- Oczywiście, a do kogóż by innego?

- Przykro mi, że Joanna źle się czuje. Emlyn znów się uśmiechnął.

- Poczuję się lepiej, kiedy tylko odjedzie autokar.

- Och naprawdę? Czyżby...

- Tak, Joanna miała już dosyć swojej apodyktycznej ciotki.

- Pan także nie jedzie dalej?

- Nie. Zostanę tutaj przez kilka dni. Chciałbym zrobić kilka wycieczek po okolicy. Niech pani tak na mnie nie patrzy. Nie jest pani przecież zbyt staroświecka.

- No cóż. W młodości mewaliśmy podobne problemy, tylko wymówki były trochę inne. Myślę też, że jest wam trochę łatwiej.

Do panny Marple podszedł pułkownik z żoną.

Uścisnęli serdecznie jej dłoń.

- Ogromnie się cieszę z poznania pani. Miło było porozmawiać o ogrodach - powiedział pułkownik. - Pojutrze czeka nas wielka ogrodowa atrakcja. Mam nadzieję, że nic nie stanie nam na przeszkodzie. To przykre, że zdarzył się ten nieszczęśliwy wypadek. Uważam, że to był jednak wypadek, a prowadzący śledztwo posunął się za daleko w swoich przypuszczeniach.

- Dziwne, że nikt nie sprawdził, czy ktoś był rzeczywiście na górze. Nie uprzedzono nas też, że mogą się obsuwać kamienie - zauważyła panna Marple.

- Zapewne obawiali się, że wina spadnie na nich. Lepiej udawać, że się o niczym nie wie. W każdy

razie, do widzenia. Przyślę pani sadzonkę magnolii i mahonii, chociaż wątpię, żeby się u pani przyjęły.

Wsiadli do autokaru. Panna Marple odwróciła się i zobaczyła profesora Wansteada, który machał ręką do odjeżdżających. Pani Sandbourne podeszła i pożegnała się z nimi. Kiedy i ona zniknęła w autokarze, panna Marple wzięła profesora pod rękę.

- Chciałabym z panem porozmawiać - rzekła.

- Oczywiście. Możemy usiąść w tym samym miejscu co ostatnio.

Skręcili za róg budynku. Kierowca zatrzymał się na pożegnanie i autokar odjechał.

- Wolałbym, aby pani pojechała z wycieczką. W autokarze byłaby pani bezpieczniejsza - spojrzał na nią przenikliwie. - Dlaczego pani zostaje? Powodem jest naprawdę wyczerpanie czy chodzi o coś innego?

- Nie, nie wyczerpanie, jednak to doskonała wymówka dla osoby w moim wieku.

- Czuję, że powinienem także zostać i chronić panią w razie potrzeby.

- Nie - odpowiedziała. - Nie trzeba. Są inne sprawy do załatwienia.

- Jakie sprawy? - spojrzał na nią. - Dowiedziała się pani czegoś?

- Chyba tak, ale muszę to jeszcze sprawdzić. Pewnych rzeczy nie mogę jednak zrobić sama. Proszę o pomoc, ponieważ ma pan dojścia do różnych osób.

- Myśli pani o kimś ze Scotland Yardu? Z policji albo Zarządu Królewskich Więzień?

- **Możliwe, że przyda się każdy kontakt. Przypuszczam, że ma pan także znajomości w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. ..**
- **Widzę, że naprawdę czegoś się pani dowiedziała. Co mam robić?**
- **Po pierwsze dam panu adres. Wyjęła notatnik, wyrwała z niego jedną kartkę i wręczyła mu.**
- **To znana instytucja charytatywna.**
- **Tak, zdaje się, że jedna z lepszych. Wysyła się tam ubrania dla kobiet i dzieci - wyjaśniła. - Płaszcze, pulowery i tak dalej.**
- **Chce pani, abym coś im wysłał?**
- **Nie. Ta instytucja ma związek z naszą sprawą.**
- **Jaki? Co powinienem zrobić'?**
- **Chciałabym, aby dowiedział się pan czegoś o paczce, którą dwa dni temu wysłano z tej poczty.**
- **Czy pani ją wysłała?**
- **Nie - odrzekła. - Ale zachowywałam się tak, jakbym to zrobiła.**
- **To znaczy?**
- **Pojawiłam się na poczcie jako roztrzępana staruszka - uśmiechnęła się - i stwierdziłam, że popełniłam głupstwo, prosząc kogoś o nadanie źle zaadresowanej paczki. Byłam tym bardzo zdenerwowana. Urzędniczka na poczcie uprzejmie wyjaśniła, że pamięta paczkę. Niestety adres na niej nie zgadzał się z tym, który jej podałam. Powiedziałam, że w takim razie pomyliłam adresy dwóch różnych instytucji. Ona poinformowała mnie,**

że jest za późno, aby cokolwiek zmienić, ponieważ paczka została już oczywiście wysłana. Odrzekłam, że nic nie szkodzi, mogę przecież napisać list do instytucji z prośbą o przesłanie paczki do właściwego adresata.

- Zdaje się, że załatwiała to pani dosyć okreśną drogą.

- Coś musiałam przecież powiedzieć. Jednak nie ja zajmę się tą sprawą, tylko pan. Musimy się dowiedzieć, co jest w paczce. Uważam, że będzie to miało dla nas znaczenie.

- Czy w ten sposób dowiemy się, kto ją wysłał?

- Nie sądzę. Znajdziemy tam zapewne krótki list w rodzaju: "Od przyjaciół", lub też jakieś fikcyjne nazwisko i adres, na przykład: "Pani Pippin, Westbourne Grove 14". Po sprawdzeniu okaże się, że taka osoba nie istnieje.

- Albo też...

- To mało prawdopodobne, ale może tam być także napisane: "Od panny Anthei Bradbury-Scott".

- Czy ona...

- Tak, to ona przyniosła paczkę na pocztę - wyjaśniła panna Marple.

- Pani ją o to poprosiła?

- Ależ nie. Nikogo nie prosiłam o wysyłanie czegokolwiek. Po raz pierwszy zobaczyłam tę paczkę w rękach samej Anthei, gdy niosła ją na pocztę. Mijała nas, kiedy siedzieliśmy w hotelowym ogrodzie.

- Jednak na poczcie występowała pani jako właścicielka paczki.
- Tak, co było naturalnie nieprawdą. Poczta dba o klientów, a ja chciałam się dowiedzieć, dokąd została wysłana.
- Chciała się pani dowiedzieć, czy ta paczka została wysłana przez którąś z panien Bradbury-Scott?
- Nie. Wiedziałam, że to była Anthea. Przecież ją widzieliśmy.
- No tak. - Wziął od niej kartkę. - Mogę to oczywiście załatwić. I pani zdaniem, ta paczka będzie interesująca?
- Sądzę, że jej zawartość okaże się dosyć ważna.
- Nie lubi pani ujawniać swoich tajemnic.
- To nie tajemnice, tylko przypuszczenia. Lepiej nie przedstawiać jednoznacznych sądów, jeśli nie zostały przynajmniej częściowo potwierdzone.
- Chciała mi pani powiedzieć coś jeszcze?
- Myślę, że należy powiadomić odpowiednie organa o ewentualności znalezienia drugiego ciała.
- Czy pani zdaniem, ma to związek z interesującym nas przestępstwem sprzed dziesięciu lat?
- Tak - odparła. - Właściwie jestem tego całkowicie pewna.
- Mówi pani: drugie ciało. Ale czyje?
- No cóż, tę informację zatrzymam na razie dla siebie.
- Domyśla się pani, gdzie ono jest?
- Tak, tego też jestem pewna, ale potrzebuję trochę czasu, zanim będę mogła panu o tym powiedzieć.

- Czy to ciało mężczyzny czy kobiety? Może dziecka albo dziewczyny?
- Zaginęła jeszcze jedna dziewczyna - wyjaśniła panna Marple. - Nora Broad. Pewnego dnia zniknęła i nikt o niej więcej nie słyszał. Chyba znam miejsce, gdzie znajduje się jej ciało. Wanstead spojrział na nią.
- Wie pani, im dłużej pani słucham, tym mniej mam ochotę zostawić panią tutaj - stwierdził. - Ma pani tyle pomysłów, że może pani zrobić coś nierozsądnego albo... - przerwał.
- Albo to wszystko, co mówię, jest pozbawione sensu?
- Ależ nie to chciałem powiedzieć. Wie pani chyba za dużo i może się to okazać niebezpieczne. Lepiej jednak będzie, żebym został z panią.
- Nie. Powinien pan jechać do Londynu i zająć się tymi sprawami.
- Mówi pani tak, jakby wiedziała bardzo wiele.
- To prawda. Muszę się jeszcze tylko upewnić.
- Tak, ale to może być ostatnia rzecz, jaką pani robi. Nie chcemy mieć trzeciego nieboszczyka.
- Och, nie obawiałabym się niczego takiego! - zawołała.
- Jeśli któreś z pani przypuszczeń okaże się słuszne, grozi pani niebezpieczeństwo. Czy podejrzewa pani konkretną osobę?
- Chyba tak. Ale trzeba to sprawdzić i dlatego muszę zostać. Zapytał mnie pan niedawno, czy gdzieś w pobliżu wyczuwam zło. Powiem więc, że czuję zło, a oprócz tego wielkie nieszczęście, strach czy jak pan

woli, niebezpieczeństwo... Muszę coś z tym zrobić. Postaram się najlepiej jak potrafię, ale w moim wieku niewiele już można zdziałać...

- Raz, dwa, trzy, cztery - zaczął liczyć pod nosem profesor.

- Co pan liczy? - zapytała.

- Osoby, które odjechały autokarem. Widzę, że nie interesują już pani, skoro pozwoliła im pani odjechać, a sama została tutaj.

- Dlaczego miałbym się nimi interesować?

- Sama pani powiedziała, że Rafael wysłał panią na tę wycieczkę w jakimś konkretnym celu. Nie bez powodu znalazła się pani w Starym Dworze. Dobrze, ale może w śmierć Elisabeth Temple jest zaplątany jakiś uczestnik wycieczki. Pani jednak zostaje tutaj u trzech siostr.

- To niezupełnie tak. Obie sprawy mają rzeczywiście ze sobą związek. Chciałabym, aby ktoś mi wyjaśnił, na czym on polega.

- Sądzi pani, że jest ktoś taki?

- Możliwe. Spóźni się pan na pociąg, jeśli natychmiast nie wyruszy.

- Proszę uważać na siebie - powiedział.

- Dam sobie radę.

Drzwi prowadzące z holu otworzyły się. Z hotelu wyszły dwie osoby - panny Cooke i Barrow.

- Dzień dobry - rzekł Wanstead. - Myślałem, że pojechały panie z grupą.

- Zmieniłyśmy zdanie w ostatniej chwili - oświadczyła panna Cooke z uśmiechem. - Właśnie

odkryliśmy kilka ładnych tras w okolicy i jedno lub dwa miejsca, które chcielibyśmy zobaczyć. Sześć, siedem kilometrów stąd, a więc można tam bez problemu dojechać autobusem, znajduje się na przykład kościół z zabytkową saksońską chrzcielnicą. Wie pan, na wycieczce oglądaliśmy tylko posiadłości i ogrody, a mnie bardzo interesuje architektura sakralna.

- Mnie też - dorzuciła panna Barrow. - Niedaleko jest również Finley Park z ciekawą roślinnością.

Stwierdziłyśmy, że znacznie przyjemniej będzie spędzić tutaj jeszcze kilka dni.

- Zostają panie Pod Złotym Dzikim?

- Tak. Miałyśmy szczęście i dostałyśmy bardzo ładny dwuosobowy pokój. Znacznie lepszy niż ten poprzedni.

- Spóźni się pan na pociąg - przypomniała panna Manile.

- Wolalbym, żeby pani... - zaczął Wanstead.

- Poradzę sobie - powiedziała ponagłająco, a kiedy zniknął za rogiem, dodała: - Niezwykle miły człowiek. Tak się o mnie troszczy. A mogłabym być jego ciotką...

- To był jednak dla wszystkich ogromny szok - zauważyła panna Cooke. - Może miałyby pani ochotę zwiedzić z nami St. Martins in the Grove - zaproponowała.

- Bardzo panie uprzejme, ale nie czuję się dzisiaj na siłach. Może jutro.

- W takim razie zostawiamy panią.

Panna Marple uśmiechnęła się do nich i weszła do hotelu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DOMYSŁY PANNY MARPLE

Po lunchu panna Marple postanowiła wypić kawę na tarasie. Kończyła właśnie drugą filiżankę, kiedy jakaś wysoka, szczupła osoba wbiegła na schody, zbliżyła się do niej i przemówiła zdyszczanym głosem. Okazało się, że to Anthea Bradbury-Scott.

- Och, panno Marple! Usłyszałyśmy przed chwilą, że nie pojechała pani jednak z grupą. Nie miałyśmy pojęcia że pani zostaje. Clotilde i Lavinia wysłały mnie, abym zaprosiła panią ponownie do Starego Dworu. Tutaj jest tak tłoczno, zwłaszcza w czasie weekendu. Byłybyśmy szczęśliwe, gdyby zechciała pani do nas wrócić.

- Och, to bardzo miło z pani strony - powiedziała panna Marple. - Naprawdę miło, ale... pamięta pani, że początkowo miałam tutaj spędzić tylko dwa dni i wyjechać potem z wycieczką. Gdyby nie ten tragiczny wypadek... Wie pani, nie byłam w stanie po tym wszystkim pojechać dalej. Stwierdziłam, że potrzebuję co najmniej jednego dnia odpoczynku.

- Oczywiście, ale byłoby pani znacznie wygodniej i przyjemniej spędzić ten czas u nas.

- Ależ nie wątpię - odrzekła panna Marple. - Czułam się u pań wspaniale i byłam zachwycona pobytom. Taki cudowny dom, piękne meble, porcelana i szkło.

Znacznie przyjemniej mieszkać w domu niż w hotelu.

- W takim razie powinna pani wrócić ze mną. Raz jeszcze zapraszam. Mogę pójść na górę i spakować pani rzeczy.

- Niezwykle pani uprzejma, ale poradzę sobie.

- W takim razie czy można pani pomóc?

- Oczywiście, dziękuję bardzo.

Poszły razem do pokoju, gdzie Anthea zaczęła pospiesznie upychać rzeczy do walizki. Wrażliwa na punkcie porządku panna Marple musiała powstrzymać się przed okazaniem niezadowolenia.

**"Ona nie potrafi złożyć porządnie ani jednej rzeczy"
- pomyślała.**

Anthea poprosiła portiera, aby zaniósł bagaż do Starego Dworu, a panna Marple dała mu odpowiedni napiwek. Nie przestając dziękować za zaproszenie, dołączyła do pozostałych sióstr.

"Trzy siostry - pomyślała - znów jestem z nimi".

Usiadła w salonie, zamknęła oczy i spróbowała uregulować oddech. Zmęczyła się drogą, co nie wydawało się dziwne w jej wieku, ponieważ Anthea i portier narzucili dosyć szybkie tempo. Jednak z zamkniętymi oczami usiłowała uświadomić sobie, co czuła, wchodząc do tego domu. Czy było to coś złowróbnego? Nie, raczej wyczuwała smutek.

Głęboki, niemal przerażający smutek.

Otworzyła oczy i spojrzała na siostry. Pani Glynne wracała właśnie z kuchni, niosąc tacę z

popołudniową herbatką. Wyglądała jak zwykle - spokojna, nie okazywała żadnych emocji. Sprawiała wrażenie, jakby była pozbawiona takich uczuć. Albo też życie pełne niepokojów i trudności przyzwyczało ją, aby nie okazywać emocji, zachowywać dystans, nie dając po sobie poznać, co się naprawdę czuje. Przeniosła wzrok na Clotilde, która nadal przypominała Klitajmestrę. Jednak nie zamordowała na pewno męża, skoro nigdy go nie miała. Wydawało się też niemożliwe, aby mogła zabić dziewczynę, do której była podobno bardzo przywiązana. Zdaniem panny Marple, to musiała być prawda. Widziała przecież płynące z oczu Clotilde łzy, kiedy siostry mówiły o śmierci Verity. A co z Antheą? To ona zaniósła paczkę na pocztę i ona przyszła po nią do hotelu. Panna Marple miała co do niej duże wątpliwości. Czyżby roztrzępana? Zbyt roztrzępana jak na jej wiek. Te rozbiegane oczy, które zdawały się dostrzegać coś, czego nie widzą inni, i spojrzenia rzucane za siebie.

"Ona się czegoś boi - stwierdziła panna Marple. - Ale czego? Czy to jakiś rodzaj choroby umysłowej? Może przeraża ją myśl, że będzie musiała wrócić do zakładu specjalnego, w którym spędziła trochę czasu. Albo też obawia się sióstr, które mogą uznać, że to nierozsądne, aby żyła wśród ludzi, kiedy nie wiadomo, do czego jest zdolna".

Było coś niezwykłego w atmosferze tego domu. Kończąc pić herbatę, zastanawiała się, co też robią panny Cooke i Barrow. Czy rzeczywiście pojechały

oglądać kościół, czy tylko tak mówiły. To wszystko było bardzo osobliwe. W dziwny sposób panna Cooke patrzyła na nią w St. Mary Mead, jakby chciała ją potem rozpoznać na wycieczce nie przyznając się jednak, że się gdzieś wcześniej spotkały. Było w tym wszystkim wiele niejasności. Pani Glynne sprzątnęła tacę, Anthea wyszła do ogrodu, a panna Marple pozostała sama z Clotilde.

- Zna pani chyba archidiakona Brabazona, prawda?
- zapytała.

- O tak - odrzekła Clotilde. - Był wczoraj w kościele na nabożeństwie. A pani go zna?

- Nie - odpowiedziała. - Ale przyszedł do hotelu, aby ze mną porozmawiać. Zdaje się, że pojechał przedtem do szpitala zapytać o biedną pannę Temple. Chciał wiedzieć, czy nie zostawiła dla niego żadnej wiadomości. Zamierzała go chyba odwiedzić. Powiedziałam mu oczywiście, że chociaż pojechałam tam na wypadek, gdybym miała się na coś przydać, mogłam jedynie siedzieć przy łóżku panny Temple. Była nieprzytomna i nie potrafiłam jej w niczym pomóc.

- I nie powiedziała nic, co wyjaśniałoby całe zdarzenie? - zapytała Clotilde tonem zupełnie obojętnym.

Panna Marple zastanawiała się, czy ciekawiło ją to bardziej, niż dawała po sobie poznać. Doszła jednak do wniosku, że nie. Zdawało się, że myśli Clotilde krążą zupełnie gdzie indziej.

- Czy uważa pani, że to był wypadek - odpowiedziała panna Marple pytaniem - czy raczej zdarzyło się to, co sugerowała siostrzenica pani Riseley-Porter?

Podobno widziała postać spychającą głaz.

- Przypuszczam, że skoro mówiły tak aż dwie osoby, to musiały kogoś widzieć.

- Tak, oboje mówią to samo, chociaż trochę innymi słowami. Ale to chyba całkiem naturalne.

Clotilde spojrzała na nią z ciekawością.

- Zdaje się, że coś panią zaintrygowało.

- No cóż, to dosyć mało prawdopodobne - zaczęła panna Marple - chyba że...

- Chyba że co?

- Właściwie nic, po prostu zastanawiałam się. Do pokoju weszła pani Glynne.

- Nad czym się pani zastanawiała? - zapytała.

- Rozmawiamy o wypadku, albo o tak zwanym wypadku. .. - wyjaśniła Clotilde.

- Ale kto mógłby...

- Historia, którą opowiedziało tych dwoje, brzmi dosyć dziwnie - powtórzyła panna Marple.

- W tamtym miejscu jest coś dziwnego - zauważyła nagle Clotilde. - W atmosferze miejsca. Nigdy tam nie chodzimy. Nigdy, od czasu... od czasu śmierci Verity. Minęło wiele lat, ale to się nadal czuje.

Pozostał jakiś cień - spojrzała na pannę Marple. - Nie czuje pani tego?

- No cóż, jestem tutaj obca - odpowiedziała. -

Zupełnie inaczej patrzy na to pani i jej siostry. Panie mieszkały tu i znały dziewczynę. Słyszałam od

archidiakona Brabazona, że była to urocza i śliczna dziewczyna.

- Tak, kochane dziecko - przyznała Clotilde.

- Żałuję, że nie poznałam jej bliżej - stwierdziła pani Glynne. - Mieszkałam wtedy za granicą, potem wróciliśmy z mężem do Anglii, ale spędzaliśmy większość czasu w Londynie. Rzadko przyjeżdżaliśmy tutaj.

Anthea wróciła z ogrodu. Trzymała w ręku wielki bukiet lilii.

- Kwiaty nagrobne - powiedziała. - Takie powinnyśmy dzisiaj mieć, prawda? Włożę je do wazonu. Nagrobne kwiaty! - powtórzyła i wybuchnęła nagle śmiechem. Był to dziwaczny, histeryczny chichot.

- Antheo - rzekła Clotilde - przestań, nie powinnaś!

- Pójdę włożyć je do wody - oświadczyła wesoło Anthea i wyszła z pokoju.

- Moim zdaniem - odezwała się pani Glynne - z Antheą jest...

- ...coraz gorzej - dokończyła Clotilde.

Panna Marple udawała, że niczego nie widzi i nie słyszy. Wzięła do ręki ozdobną szkatułkę i zaczęła ją podziwiać.

- Za chwilę na pewno stłucze wazon - powiedziała Lavinia i także wyszła. Panna Marple zapytała wtedy:

- Martwi się pani o siostrę?

- Tak, zawsze była trochę nie zrównoważona; młodsza i od dziecka najdelikatniejsza. Mam jednak wrażenie,

że ostatnio zdecydowanie jej się pogorszyło. Nie potrafi chyba odróżnić rzeczy smutnych od zabawnych. Miewa napady histerycznego śmiechu w chwilach, które innym wydają się poważne.

Wolałybyśmy... wie pani, nie wysyłać jej donikąd. Moim zdaniem, powinno się ją leczyć, ale ona nie chciałaby chyba opuszczać domu. Mimo wszystko to także jej dom. Jednak czasami jest nam bardzo ciężko.

- Tak, życie bywa ciężkie - przyznała panna Marple.

- Lavinia myśli o wyjeździe - dodała Clotilde. - Mówi o przeprowadzce za granicę. Do Taorminy, gdzie mieszkała długo z mężem i czuła się bardzo szczęśliwa. Jest tutaj z nami od wielu lat, ale zdaje się, że tęskni za podróżami. Czasami mam wrażenie, że wolałaby nie mieszkać pod jednym dachem z Antheą.

- Mój Boże - westchnęła panna Marple. - Słyszałam o takich przypadkach i o kłopotach z tym związanych.

- Ona wyraźnie boi się Anthei - wyjaśniła Clotilde. - Powtarzam jej, że nie ma się czego obawiać. Antheą tylko czasami zachowuje się niepoważnie, ma dziwne pomysły i mówi różne rzeczy. Ale naprawdę nie sądzę, żeby była niebezpieczna.

- Nigdy nie sprawiała tego typu problemów?

- Nie, nigdy. Miewa napady nerwowe i zdarza jej się źle reagować na niektórych ludzi. Robi się na przykład o wszystko zazdrosna, dużo kaprysi. Sama nie wiem, nieraz mam ochotę sprzedać ten dom i wyjechać daleko stąd.

- Rozumiem, że musi być pani trudno żyć w miejscu, gdzie wszystko przypomina przeszłość.

- Widzę, że pani to rozumie. Niestety, nic nie mogę poradzić, że myślami ciągle wracam do ukochanego dziecka. Traktowałam ją jak córkę. W rzeczywistości była dzieckiem moich serdecznych przyjaciół. Bardzo inteligentna, mądra dziewczyna. Miała zdolności artystyczne, świetnie rysowała. Byłam z niej ogromnie dumna. A potem zdarzyła się ta nieszczęsna historia - pojawił się ten chory psychicznie chłopak.

- Ma pani na myśli syna pana Rafiela, Michaela?

- Tak. Och, gdyby tutaj nie przyszedł...

Przypadkowo zatrzymał się w okolicy, a jego ojciec zaproponował, że Michael mógłby przyjść do nas na obiad. Potrafił być czarujący, ale zawsze sprawiał kłopoty. Miał przeszłość kryminalną - dwa razy siedział w więzieniu, potem były te nieprzyjemne historie z dziewczętami. Nigdy bym jednak nie przypuszczała, że Verity... No cóż, zauroczył ją.

Taka ślepa namiętność zdarza się u dziewcząt w jej wieku. Upierała się, że nie ponosił winy za nic, co zrobił. Podobno wszyscy zmówili się przeciwko niemu i nikt nie chciał go zrozumieć. Takie gadanie staje się męczące. Czy te dziewczyny naprawdę nie mogą wykazać odrobiny rozsądku?

- Rzeczywiście, zachowują się dosyć bezmyślnie - stwierdziła panna Marple.

- Nie chciała słuchać. Staralam się trzymać go z daleka od domu, nie pozwoliłam mu tutaj

przychodzić. Oczywiście postąpiłam niezbyt mądrze. Zrozumiałam to dopiero potem. W rezultacie spotykali się poza domem. Nie wiem gdzie. Umawiali się w różnych miejscach. Zabierał ją gdzieś i odwoził do domu późnym wieczorem. Kilka razy nie wróciła na noc. Usiłowałam zabronić im się spotykać, kazałam z tym skończyć, ale nie reagowali.

Oczywiście po nim się niczego innego nie spodziewałam, ale Verity również mnie nie słuchała.

- Czy zamierzali się pobrać?

- Nie sądzę, aby sprawy zaszły aż tak daleko. On chyba nigdy nie myślał o ślubie.

- Współczuję pani - powiedziała panna Marple. - Musiała pani wiele wycierpieć.

- To prawda. Jednak najgorsza była identyfikacja zwłok. Znaleźli je dopiero po jakimś czasie. Kiedy Verity zniknęła, myślałyśmy, że uciekła razem z nim, i spodziewałyśmy się otrzymać wkrótce jakąś wiadomość. Policja potraktowała sprawę poważnie. Wezwali Michaela na przesłuchanie, a jego zeznania nie zgadzały się z tym, co mówili miejscowi.

- Potem ją znaleźli. Daleko, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Leżała w rowie, w zaroślach.

Tamtędy rzadko kto przechodzi. Musiałam obejrzeć zwłoki w kostnicy. Straszny widok. Takie okrucieństwo, tyle przemocy! Dlaczego jej to zrobił? Nie wystarczyło mu, że ją udusił, zresztą jej własnym szalem... Nie, nie mogę dłużej o tym mówić. Nie zniosę tego.

Po twarzy popłynęły jej łzy.

- Przykro mi - powiedziała panna Marple. -
Ogromnie mi przykro.
- Tak, dziękuję - Clotilde spojrzała na nią. - Ale nie wie pani najgorszego.
- To znaczy?
- Chodzi o Antheę.
- Nie rozumiem.
- Zachowywała się wtedy dosyć dziwnie. Była bardzo zazdrosna. Nagle zaczęła okazywać wrogość wobec Verity, jakby jej nienawidziła. Czasami myślę, że może... och nie, to okropne! Nie mogę tak mówić o własnej siostrze! Jednak kiedyś zdarzyło jej się w napadzie złości zaatakować pewnego człowieka. Zastanawiałam się, czy potrafiłaby... Nie wolno tak myśleć, nie wolno! Proszę o wszystkim zapomnieć. To niemożliwe zupełnie niemożliwe. Ale ona nie jest całkiem normalna. Trzeba się z tym pogodzić. Kiedy była dziewczynką, zdarzyło jej się robić dziwne rzeczy zwierzętom. Miałyśmy papugę. Taką, która mówiła różne głupie słowa, jak to papuga. Anthea złamała jej kark i od tego czasu nigdy już siostrze nie ufałam. Nie byłam jej pewna. Nie... o Boże, teraz ja zaczynam histeryzować.
- Proszę się uspokoić. Niech pani o tym nie myśli.
- Śmierć Verity była wystarczająco strasznym przeżyciem. Przynajmniej ten chłopak nie zagraża już innym dziewczętom. Dostał dożywocie. Nadal siedzi w więzieniu. Nie wyjdzie i nie zrobi nikomu krzywdy. Jednak nie rozumiem, dlaczego prawnicy nie powoływali się na ograniczoną poczytalność ze

względu na zaburzenia psychiczne, tak jak się teraz robi. Powinni go wysłać do Broadmoor. Jestem pewna, że nie był świadomy swoich czynów.

Wstała i wyszła z pokoju. Pani Glynne minęła się z siostrą w drzwiach.

- Proszę się nie przejmować Clotilde - powiedziała. - Nigdy nie doszła do siebie po tej okropnej historii sprzed lat. Bardzo kochała Verity.

- Martwi się raczej pani siostrą.

- Anthea? Ależ wszystko z nią w porządku. Jest może nieźrównoważona, zachowuje się trochę histerycznie i miewa dziwne pomysły. Ale nie sądzę, aby to był powód do zmartwień. Ojej, a kto tutaj idzie?

W oszklonych drzwiach balkonowych stanęły nieśmiało dwie osoby.

- Przepraszam bardzo - odezwała się panna Barrow

- poszukujemy panny Marple. Czy nie ma jej tutaj przypadkiem? Słyszałam, że przyszła do państwa i... ach, jest pani. Chciałam pani powiedzieć, że nie zwiedziłyśmy w końcu tego kościoła. Wygląda na to, że został zamknięty z powodu sprzątanania, dlatego też rezygnujemy z dzisiejszej wycieczki i wybierzemy się tam jutro. Proszę wybaczyć, że nachodzimy panie w ten sposób, ale dzwoniłyśmy do drzwi frontowych i chyba nic nie było słychać.

- Niestety, zdarza się to nieraz - przyznała pani Glynne.

- Dzwonek zachowuje się kapryśnie, czasami działa, czasami nie. Ale zapraszam na małą pogawędkę. Nie wiedziałam, że nie pojechały panie z grupą.

- Postanowiliśmy pozwiedzać trochę okolicę. Stwierdziłyśmy, że po tym, co się ostatnio zdarzyło, ciężko byłoby kontynuować wycieczkę.

- Na pewno napiją się panie sherry - zaproponowała pani Glynne.

Wyszła z pokoju i niebawem wróciła. Razem z nią przyszła Anthea, teraz już całkiem spokojna. Przyniosła kieliszki, karafkę z sherry i usiadła z nimi.

- Naprawdę chciałabym wiedzieć, jak zakończy się ta sprawa - zaczęła pani Glynne. - Myślę o tym, co przytrafiło się biednej pannie Temple. Zupełnie nie wiadomo, co sądzi policja. Nadal prowadzą śledztwo, odroczyli je, a więc nie są czegoś pewni. Czyżby nie potrafili ustalić przyczyny zgonu?

- Nie sądzę - odpowiedziała panna Barrow. -

Wiadomo,, że spadający głaz uderzył ją w głowę i spowodował wstrząs mózgu. Problem polega na tym, czy kamień stoczył się sam, czy ktoś go zepchnął.

- Och, to niemożliwe! - zawołała panna Cooke. - Kto u licha chciałby zrobić coś takiego? Oczywiście, chuligani są wszędzie. Jacyś młodzi cudzoziemcy albo studenci. Chociaż właściwie zastanawiam się, czy...

- Zastanawia się pani, czy nie był to ktoś z naszej grupy - podsunęła panna Marple.

- Tego nie powiedziałam.

- Tak, ale niestety trudno się pozbyć tej myśli - zauważyła panna Marple. - Musi w końcu istnieć jakieś wytłumaczenie. Skoro policja uważa, że to nie

był wypadek, powinien znaleźć się także sprawca...
Chodzi o to, że panna Temple nie pochodziła
przecież stąd, nie wydaje się więc, aby zrobił to ktoś
miejscowy. Wracamy więc do punktu wyjścia, czyli
do uczestników wycieczki - starsza pani zaśmiała się
niepewnie.

- Coś takiego!

- Nie powinnam może mówić takich rzeczy, ale
przestępstwa bywają naprawdę intrygujące.
Czasami zdarzają się niewiarygodne historie -
powiedziała panna Marple.

- Czy ma pani jakieś konkretne podejrzenia? -
zapytała Clotilde. - Chętnie bym to usłyszała.

- Rozważam tylko różne możliwości.

- Pan Caspar - podsunęła panna Cooke. - Przyznam,
że od początku mi się nie podobał. Wyglądał jak
jakiś szpieg. Może przyjechał do naszego kraju, żeby
poznać tajemnice broni nuklearnej albo coś w tym
rodzaju...

- Nie sadzę, aby w okolicy była jakaś tajna broń -
zauważyła pani Glynne.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Anthea. - Może
ktoś ją śledził? Obserwował ją, ponieważ popełniła
jakieś przestępstwo?

- Nonsens - rzekła Clotilde. - Była emerytowaną
dyrektorką znanej szkoły i świetnym pedagogiem.
Dlaczego ktoś miałby ją śledzić?

- Och, nie wiem. Mogła się przecież zmienić.

- Na pewno panna Marple ma jakiś pomysł -
stwierdziła pani Glynne.

- Chyba tak - odrzekła tamta. - Wydaje mi się że jedynymi osobami, które... o Boże, trudno mi o tym mówić, ale logicznie rzecz biorąc, te dwie osoby od razu przychodzą mi na myśl. Chciałam powiedzieć... oczywiście oni nie muszą być winni, to przecież bardzo mili ludzie... Jednak, tak na zdrowy rozum nikt inny nie jest bardziej podejrzany.

- Co pani ma na myśli? To brzmi interesująco.

- Nie powinnam chyba tego mówić. Przecież są to tylko jakieś absurdalne przypuszczenia.

- Kto według pani mógłby zepchnąć kamień? Kogo zauważyli Joanna i Emlyn?

- Chciałam powiedzieć, że może oni nikogo nie widzieli.

- Nie rozumiem - stwierdziła Anthea. - Jak to nikogo nie widzieli?

- Może wszystko wymyślili.

- Nikogo nie zauważyli?

- To przecież prawdopodobne.

- Zdaniem pani, wpadli na taki nieprzyjemny żart? O to chodzi?

- Słyszy się, że dzisiejsza młodzież robi różne rzeczy: atakuje innych, wybija szyby, rzuca w ludzi kamieniami... Najczęstszymi sprawcami są właśnie oni. A ci dwoje byli przecież jedynymi młodymi ludźmi na wycieczce.

- Sugeruje pani, że to Joanna i Emlyn zepchnęli głaz?

- Tylko w ich wypadku wszystko do siebie pasuje, prawda?

- Coś takiego! - zawołała Clotilde. - Nigdy bym o tym nie pomyślała, ale teraz widzę, że to, co pani mówi, ma sens. Oczywiście nie byłam na wycieczce i nie znam tych ludzi...

- Ależ są bardzo sympatyczni - wyjaśniła panna Marple. - Joanna sprawia wrażenie wyjątkowo zdolnej dziewczyny.

- Zdolnej do wszystkiego? - zapytała Anthea.

- Antheo - przerwała Clotilde - cicho bądź!

- Bardzo zdolnej - kontynuowała panna Marple. - W końcu jeżeli zamierza się kogoś zamordować, trzeba wykazać wiele sprytu, aby nie być podejrzanym.

- W takim razie musieli działać wspólnie - zasugerowała panna Barrow.

- Tak, działali razem i opowiedzieli mniej więcej tę samą historyjkę. Są najbardziej podejrzeni, tyle mogą powiedzieć. Nikt z grupy ich nie widział, ponieważ wszyscy szli ścieżką poniżej. Oni mogli więc wspiąć się na szczyt i zepchnąć głaz. Być może nie zamierzali zabić akurat panny Temple, lecz tylko zaplanowali jakieś agresywne działanie wymierzone przeciwko komukolwiek. Zepchnęli kamień, a potem oczywiście mówili, że widzieli tam inną osobę, ubraną zresztą w dosyć dziwaczny strój, co też brzmi podejrzanie. No cóż, chyba nie powinnam mówić takich rzeczy, ale tak sobie pomyślałam.

- To jednak wydaje się dosyć przekonujące - zauważyła pani Glynn. - Clotilde, jak sądzisz?

- Myślę, że jest to jakieś wytłumaczenie. Mnie samej nie przyszłoby to do głowy.

- No tak, czas wracać do hotelu - powiedziała panna Cooke, wstając. - Czy idzie pani z nami? - zwróciła się do panny Marple.

- Och, nie - odrzekła. - Zdaje się, że zapomniałam paniom powiedzieć. Panna Bradbury-Scott była tak miła i zaprosiła mnie na kolejną noc lub dwie.

- Ach, rozumiem. Na pewno będzie tu pani przyjemnie i znacznie wygodniej niż w hotelu. Przyjechała tam dzisiaj dosyć hałaśliwa grupa.

- Może zaszłyby panie na kawę po obiedzie? - zaproponowała Clotilde. - Zapowiada się ciepły wieczór. Nie możemy zaprosić na obiad, ponieważ, niestety, niewiele mamy w domu, ale gdyby panie zechciały przyjść na kawę...

- Och, dziękujemy - powiedziała panna Cooke. - Chętnie skorzystamy z zaproszenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ZEGAR WYBIJA TRZECIĄ I

Panny Cooke i Barrow zjawily się dokładnie o dwudziestej czterdzieści pięć. Jedna ubrana w beżowe koronki, druga - w oliwkowy kostium. Podczas obiadu Anthea próbowała dowiedzieć się od panny Marple czegoś więcej na ich temat.

- To dosyć dziwne, że nie chciały pojechać z grupą - zauważyła.

- Nie sędzę - odrzekła panna Marple. - Myślę, że to całkiem naturalne. Zdaje się, że one mają wszystko dokładnie zaplanowane.
- Jak to: "zaplanowane"? - zapytała pani Glynne.
- Są przygotowane na wszelkie ewentualności i potrafią sobie radzić w różnych sytuacjach.
- Chce pani powiedzieć, że były przygotowane także na morderstwo? - zainteresowała się Anthea.
- Wolalabym - przerwała pani Glynne - abyś nie mówiła o śmierci biednej panny Temple jak o morderstwie.
- Ale to przecież było morderstwo - oświadczyła Anthea. - Ciekawi mnie tylko, kto chciałby ją zamordować? Może jakaś uczennica, która zawsze jej nienawidziła.
- Czy sądzi pani, że nienawiść może przetrwać aż tak długo? - zapytała panna Marple.
- Ależ tak. Uważam, że można nienawidzić latami.
- Nie zgadzam się - rzekła panna Marple. - Nienawiść szybko wygasa. Można ją sztucznie podsycać, ale to chyba na nic się nie zda. Nie jest tak silna jak miłość - dodała.
- Czy nie sądzicie, że Cooke lub Barrow albo też one obie mogłyby popełnić morderstwo?
- Dlaczego miałyby to zrobić? - zdziwiła się pani Glynne. - No wiesz, Antheo! Sprawiają wrażenie bardzo sympatycznych osób.
- Uważam, że są dosyć tajemnicze - wyjaśniła Anthea.
- A ty, Clotilde, jak sądzisz?

- Chyba masz rację - odparła. - Wydają się trochę nienaturalne, jeśli wiesz, co mam na myśli.
- Moim zdaniem, jest w nich coś groźnego - dorzuciła Anthea.
- Jak zwykle masz bujną wyobraźnię - zauważyła pani Glynnie. - W każdym razie tamtego dnia szły chyba ścieżką na dole. Widziała je pani, prawda? - zapytała pannę Marple.
- Nie potrafię nic na ten temat powiedzieć - odrzekła.
- Właściwie nie mogłam ich widzieć.
- To znaczy?
- Panny Marple tam nie było - wytłumaczyła Clotilde.
- Spacerowała wtedy po naszym ogrodzie.
- Ach, rzeczywiście. Zapomniałam.
- To był piękny, spokojny dzień - przypomniała sobie panna Marple. - Podobał mi się spacer. Jutro rano chciałabym raz jeszcze pójść zobaczyć ten gąszcz białych, rozkwitających kwiatów, które zarastają pagórek na końcu ogrodu. Wtedy dopiero zaczynały kwitnąć, a teraz powinny wyglądać bardzo ładnie. Zawsze będę mile wspominać ten okres mojego pobytu.
- Nienawidzę tych kwiatów - przyznała Anthea. - Chciałabym je wyrwać i odbudować szklarnię. Oczywiście, jeżeli uda nam się zaoszczędzić odpowiednią ilość pieniędzy, prawda Clotilde?
- Zostanie tak, jak jest. Nie będziemy tam nic robić - oświadczyła Clotilde. - Po co nam szklarnia? Miną lata, zanim pojawią się owoce winogron.

- Przestańcie. Nie ma sensu się o to kłócić - przerwała pani Glynne. - Przeniesiemy się do saloniku. Wkrótce przyjdą goście na kawę. Właśnie wtedy pojawiły się zaproszone panie. Clotilde wniosła tacę z kawą, nalewała ją do filiżanek i podawała wszystkim osobom po kolei. Na koniec wręczyła jedną pannie Marple.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale na pani miejscu nie piłabym tej kawy - zwróciła się do niej panna Cooke. - Kawa o tej porze? Nie będzie pani mogła zasnąć.

- Och, tak pani uważa? - zapytała panna Marple.

- Często piję kawę wieczorem.

- Ale ta jest bardzo mocna. Wyjątkowo smaczna, lecz radziłabym pani jej nie pić.

Panna Marple przyjrzała się pannie Cooke, która miała poważną minę. Kosmyk nienaturalnie jasnych włosów zasłonił jej część twarzy. Mrugnęła lekko jednym okiem.

- Wiem, o co pani chodzi - rzekła panna Marple. - Chyba ma pani rację. Zna się pani na żywieniu?

- O tak. Sporo czytałam na ten temat. Kończyłam różne kursy dla pielęgniarek.

- No tak - powiedziała panna Marple, odsuwając delikatnie filiżankę. - Nie mają panie może fotografii tej dziewczyny? - zmieniła temat. - Myślę o Verity Hunt, chyba tak się nazywała. Archidiakon opowiadał mi o niej. Zdaje się, że bardzo ją lubił.

- Sądzę, że tak. On w ogóle lubił młodzież - odrzekła Clotilde.

Wstała, podeszła do sekretarzyka, wyjęła z niego fotografię i przyniosła ją pannie Marple.

- To jest Verity - powiedziała.

- Piękna twarz - stwierdziła panna Marple. - Tak, piękna i niezwykła. Biedne dziecko.

- To straszne, co się dzisiaj dzieje - odezwała się Anthea.

- Dziewczęta umawiają się z każdym młodym człowiekiem. Nikt się o nie nie troszczy.

- Same muszą teraz o siebie zadbać - rzekła Clotilde - a nie wiedzą, jak to robić. Niech Bóg ma je w swojej opiece.

Wyciągnęła rękę, aby odebrać od panny Marple zdjęcie. Wtedy zahaczyła rękawem o jej filiżankę, którą straciła na podłogę.

- Ojej! - zawołała panna Marple. - Czy to ja popchnęłam panią?

- Nie - odpowiedziała Clotilde. - To moja wina, mam za długie rękawy. Może przyniosę pani gorącego mleka, jeśli obawia się pani napić kawy?

- Tak, bardzo proszę. Szklanka ciepłego mleka przed snem na pewno dobrze mi zrobi.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, a potem panny Cooke i Barrow zaczęły szykować się do wyjścia, robiąc przy tym sporo zamieszania. Kilka razy wracały, ponieważ ciągle czegoś zapomniały: szala, torebki albo chusteczki.

- Ale roztrzepane! - zawołała Anthea, kiedy wreszcie wyszły.

- W pewnym sensie Clotilde ma rację - stwierdziła pani Glynne. - Jest w nich coś nienaturalnego. Wie pani, co mam na myśli? - zwróciła się do panny Marple.

- Tak, wiem. Nie zachowują się zbyt naturalnie. Sporo o nich myślałam. Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle wybrały się na tę wycieczkę i czy są z niej naprawdę zadowolone.

- Znalazła pani odpowiedzi na wszystkie pytania? - zainteresowała się Clotilde.

- Chyba tak - odpowiedziała i westchnęła. - Znalazłam odpowiedzi na wiele różnych pytań.

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z wycieczki.

- Tak, ale cieszę się, że z niej zrezygnowałam - odrzekła. - Nie sądzę, aby mogła mi jeszcze sprawiać przyjemność.

- No tak. Doskonale panią rozumiem.

Clotilde przyniosła z kuchni szklankę gorącego mleka i odprowadziła pannę Marple do pokoju.

- Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Wszystko, czego mi potrzeba, mam w mojej małej torbie podróżnej. Chciałabym jeszcze raz podziękować za zaproszenie.

- Nie ma za co. Nie potrafiłyśmy odmówić panu Rafielowi. Był tak miłym człowiekiem, o wszystkich pamiętał.

- Tak - przyznała panna Marple. - Człowiek, który nie zapominał o niczym. Niezwykły umysł.

- Musiał być chyba wielkim finansistą.

- Rzeczywiście, zarówno w interesach, jak i w innych sprawach myślał o wszystkim - zauważyła. - No cóż, najchętniej położyłabym się już spać. Dobranoc pani.

- Czy chciałaby pani dostać śniadanie do łóżka?

- Wolalabym nie sprawiać kłopotu. Lepiej zejść na śniadanie. Poprosiłabym tylko o filiżankę herbaty, a potem przeszedłabym się po ogrodzie. Chciałbym pooglądać te piękne białe kwiaty porastające pagórek.

- Dobranoc - powiedziała Clotilde. - Niech pani dobrze śpi.

II

Odziedziczony po dziadku zegar, który wisiał w holu nad schodami, wybił godzinę drugą. Zegary w Starym Dworze nie wskazywały tych samych godzin, a niektóre w ogóle nie działały. Niestety, trudno jest utrzymać tyle zabytkowych mechanizmów w dobrym stanie. O trzeciej

216

delikatnie zadzwonił zegar w korytarzu na piętrze. Smuga słabego światła pojawiła się w szczelinach framugi drzwi.

Panna Marple usiadła na łóżku i położyła dłoń na włączniku nocnej lampki. Powoli zaczęły się otwierać drzwi. Nie widziała już światła na zewnątrz, usłyszała za to ciche kroki osoby, która wchodziła do pokoju. Panna Marple zapaliła światło.

**- Ach to pani, panno Bradbury-Scott - powiedziała. -
Coś się stało?**

**- Przyszłam tylko sprawdzić, czy pani czegoś nie
potrzebuje - odrzekła tamta.**

**Panna Marple patrzyła na nią. Clotilde ubrana była
w długi, purpurowy szlafrok.**

**"Piękna kobieta" - stwierdziła. Włosy okalały jej
kształtne czoło. Miała prawdziwie antyczny profil.
Panna Marple znów pomyślała o greckiej tragedii i
postaci Klitajmestry.**

**- Jest pani pewna, że niczego nie potrzebuje? -
zapytała Clotilde.**

**- Nie, dziękuję. Obawiam się - powiedziała
przepraszającym tonem - że nie wypłam mojego
mleka.**

- Ach tak, dlaczego?

**- Stwierdziłam, że nie czułabym się po nim dobrze.
Clotilde stała w nogach łóżka i przypatrywała się jej.**

- Mogłoby mi zaszkodzić - dodała.

**- Co pani chce przez to powiedzieć? - głos Clotilde
stał się ostry.**

**- Myślę, że pani doskonale wie, o czym mówię -
odrzekła. - Wiedziała pani przez cały wieczór, może
nawet jeszcze wcześniej.**

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Nie? - to pytanie zabrzmiało ironicznie.

**- Obawiam się, że mleko już wystygło. Wezmę je i
przyniosę pani gorące.**

Clotilde sięgnęła po szklanekę, która stała przy łóżku.

- Proszę się nie trudzić - powiedziała panna Marple. - I tak go nie wypiję.

- Naprawdę nie rozumiem, o co pani chodzi - rzekła Clotilde, patrząc na nią. - Cóż z pani za dziwna osoba! Dlaczego pani mówi w ten sposób? Kim pani właściwie jest?

Panna Marple poprawiła puszysty, wełniany szal z różowej wełny. Ten sam, którym owinęła głowę w Indiach Zachodnich.

- Jedno z moich imion - odrzekła - brzmi: Nemezis.

- Nemezis? A cóż to znaczy?

- Sądzę, że pani wie. Jest pani przecież wykształconą kobietą. Nemezis czasami się spóźnia.

Sprawiedliwość jednak osiągnie w końcu każdego.

- O czym pani mówi?

- Mówię o pewnej pięknej dziewczynie, którą pani zabiła - wyjaśniała panna Marple.

- Dziewczynie, którą zabiłam? Kogo ma pani na myśli?

- Myślę o Verity.

- A dlaczego miałabym ją zabić?

- Z miłości.

- Rzeczywiście, kochałam ją, tak jak i ona mnie. Byłam jej bardzo oddana.

- Pewna osoba powiedziała mi niedawno, że miłość to przerażające słowo. Miała rację. Kochała pani Verity zbyt mocno. Stała się dla pani całym światem. Ona też była pani bardzo oddana, dopóki nie pojawił się w jej życiu ktoś inny. Młody chłopak, którego także obdarzyła uczuciem. Nieodpowiedni człowiek,

o niezbyt dobrej reputacji, jednak ona kochała go, a on ją. Chciała uciec razem z nim i uwolnić się od pani zaborczej miłości. Chciała rozpocząć życie normalnej kobiety, u boku wybranego przez siebie mężczyzny, z którym miałyby później dzieci. Pragnęła zwyczajnego szczęścia w małżeństwie. Clotilde usiadła teraz na krześle i patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Wygląda na to, że wszystko pani zrozumiała.

- Tak, zrozumiałam.

- To, co pani powiedziała, jest prawdą. Nie będę zaprzeczać. Zresztą, nie ma znaczenia, co odpowiem.

- Rzeczywiście nie ma - odrzekła panna Marple.

- Czy potrafi sobie pani w ogóle wyobrazić, ile wycierpiałam?

- Potrafię - odparła. - Zawsze miałam bujną wyobraźnię.

- Czy wie pani, ile znaczy świadomość utraty tego, co najcenniejsze w życiu? Straciłam ukochaną dziewczynę na rzecz tej żalosnej kreatury.

Człowieka, który nie zasługiwał na moją wspaniałą, piękną dziewczynkę. Musiałam temu przeszkodzić. Musiałam!

- Tak. Zabiła ją pani, aby nie odeszła. Wszystko z miłości.

- Czy sądzi pani, że mogłabym coś takiego zrobić? Udusić osobę, którą kocham? Zmasakrować jej twarz, zmiażdżyć głowę? Tylko ten zły chłopak byłby do tego zdolny.

- Rzeczywiście, nie zrobiłaby pani tego. To niemożliwe, skoro kochała pani Verity.
- Sama pani widzi, że pani podejrzenia są absurdalne.
- Nie zrobiła jej pani tego. Pani ukochana dziewczynka nie miała zmasakrowanej twarzy. Verity nadal jest tutaj, prawda? W ogrodzie. Nie sądzę, aby ją pani udusiła. Raczej została otruta kawą lub mlekiem z odpowiednią dawką środków nasennych. Zniosła pani ciało do ogrodu, rozebrała zniszczony mur szklarni, zrobiła dla niej grobowiec z cegieł i zamaskowała go. Na koniec posadziła pani Polygonum, które co roku kwitnie coraz bujniej. Verity została z panią. Nie pozwoliła jej pani odejść.
- Ty głupia kobieto! Stara wariatko! Myślisz, że uda ci się wydostać stąd i opowiedzieć komuś tę historię?
- Myślę, że tak - odrzekła. - Chociaż nie mogę być całkiem pewna. Pani jest silną kobietą, znacznie silniejszą ode mnie.
- Cieszę się, że pani to zauważyła.
- Nie miałyby pani żadnych skrupułów - stwierdziła panna Marple. - Pani wie, że nigdy nie poprzestaje się na jednym morderstwie. Ja także to rozumiem, gdyż miałam w życiu do czynienia z wieloma takimi sprawami. Zabiła pani dwie dziewczyny, prawda? Tę, którą pani kochała, i jeszcze jedną.
- Zabiłam tę głupią, smarkatą latawicę, Norę Broad. Skąd pani o tym wie?
- Domyśliłam się - odpowiedziała. - Nie wygląda mi pani na kobietę, która byłaby zdolna udusić i

zmasakrować ukochaną osobę. W tym samym czasie zniknęła jeszcze jedna dziewczyna, której zwłok nigdy nie znaleziono. Moim zdaniem, zostały jednak znalezione, nikt tylko nie wiedział, że to ciało Nory Broad. Ubranie należało do Verity, a zwłoki zostały zidentyfikowane przez osobę, która знаła dziewczynę najlepiej. Miała pani rozpoznać, czy zamordowaną była Verity, i pani to oczywiście potwierdziła.

- A po co miałabym to robić?

- Po to, żeby chłopak, który zabrał pani Verity, człowiek, którego ona pokochała i który ją kochał, został oskarżony o morderstwo. Ukryła więc pani tamte zwłoki w miejscu, gdzie niełatwo było na nie trafić. Chciała pani, aby po znalezieniu zostały rozpoznane jako ciało innej osoby, i postarała się pani o to. Ubrała ją pani w rzeczy Verity, zostawiła jej torebkę z kilkoma listami, jej krzyżyk na łańcuszku i bransoletkę. Zmasakrowała pani tamtą twarz.

- Tydzień temu popełniła pani trzecie morderstwo. Zabiła pani Elisabeth Temple, ponieważ bała się pani tego, co ona mogła wiedzieć z listów Verity lub usłyszeć od dziewczyny. Uważała pani, że Elisabeth Temple i archidiakon Brabazon są w stanie wspólnymi siłami dociec prawdy. Dlatego postanowiła pani nie dopuścić do ich spotkania. Poradziła sobie pani z zepchnięciem głazu ze zbocza. Wymagało to trochę wysiłku, ale pani jest wystarczająco silna.

- Wystarczająco silna, aby dać sobie radę również z panią - powiedziała Clotilde.

- Chyba nie będzie pani miała takiej możliwości.

- Co masz na myśli ty żalosna, rozsypująca się starucho?

- To prawda, że jestem stara i słaba. Nie mam już wiele sił. Jednak występuję tu jako wysłannik sprawiedliwości.

Clotilde roześmiała się.

- A kto mnie powstrzyma przed wykończeniem cię?

- Mój anioł stróż, jak sądzę - odrzekła panna Marple.

- Wierzysz w swojego anioła stróża? - Clotilde znów się zaśmiała. Podeszła do łóżka.

- Mam chyba nawet dwóch aniołów stróżów - uzupełniła panna Marple. - Pan Rafiel zawsze działał z rozmachem.

Wsunęła dłoń pod poduszkę, wyciągnęła stamtąd gwizdek i przyłożyła go do ust. Gwizd był tak przeraźliwie głośny, że poderwałby policjanta na drugim końcu ulicy. Natychmiast otworzyły się drzwi pokoju. Clotilde odwróciła się. W progu stała panna Barrow. Dokładnie w tej samej chwili otworzyła się wielka szafa, z której wyszła panna Cooke. Obie działały bardzo sprawnie, w niczym nie przypominając tych miłych, roztrzepanych pań z wieczornej pogawędki.

- Oto moi aniołowie! - zawołała radośnie panna Marple. - Pan Rafiel naprawdę zatroszczył się o mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI PANNA MARPLE OPOWIADA

Kiedy się pani domyśliła - zapytał profesor Wanstead - że te dwie kobiety były prywatnymi detektywami wynajętymi do pani ochrony? - Przechylił się na krześle, patrząc uważnie na siwą staruszkę, która siedziała wyprostowana naprzeciw niego.

Znajdowali się w londyńskim biurze ministerialnym. Były tam jeszcze cztery inne osoby. Urzędnik z prokuratury, zastępca komisarza ze Scotland Yardu, sir James Lloyd, naczelnik więzienia w Manstone, sir Andrew McNeil, oraz minister spraw wewnętrznych. - Nie miałam pewności prawie do samego końca - wyjaśniła. - Po tym, jak panna Cooke pojawiła się w St. Mary Mead, dosyć szybko zorientowałam się, że nie jest tą osobą, za którą się podaje. Mówiła, że zna się na ogrodach i przyjechała pomóc w pracy swojej znajomej. Musiałam zgadywać, co było właściwym celem jej przyjazdu. Chciała jedynie zapamiętać, jak wyglądam. Kiedy rozpoznałam ją na wycieczce, miałam zdecydować, czy ona i jej towarzyszka są moimi sprzymierzeńcami czy też wrogami zwerbowanymi przez, nazwijmy to, przeciwną stronę.

- Zyskałam pewność dopiero wczoraj wieczorem, kiedy panna Cooke w zdecydowany sposób powstrzymała mnie przed wypiciem kawy, którą

przygotowała mi panna Bradbury-Scott. Jej dobra rada brzmiała bardzo naturalnie, lecz zawarte w niej ostrzeżenie było całkiem czytelne. Później, kiedy zebrałam się z tymi paniami, jedna z nich wyjątkowo serdecznie uścisnęła moją rękę, biorąc ją w obie dłonie. Podała mi przy tym jakiś przedmiot, który jak się później przekonałam, okazał się gwizdkiem o bardzo donośnym dźwięku. Schowałam go pod poduszkę, wzięłam szklankę mleka, na którą namawiała mnie gospodyni, i życzyłam jej dobrej nocy, starając się, aby nie zmienić ani trochę mojego życzliwego stosunku do niej.

- Nie wypila pani mleka?

- Oczywiście, że nie - odparła. - Za kogo pan mnie ma?

- Najmocniej panią przepraszam - rzekł profesor. - Dziwi mnie jednak, że nie zamknęła pani drzwi na klucz.

- To nie byłoby właściwe posunięcie - wyjaśniła. - Chciałam, aby Clotilde Bradbury-Scott weszła.

Zastanawiałam się, jak się zachowa. Byłam niemal pewna, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, ona przyjdzie sprawdzić, czy wypila mleko i zapadłam w głęboki sen, z którego miałam się zapewne już nie obudzić.

- Czy pomogła pani ukryć się w szafie pannie Cooke?

- Nie. Byłam całkowicie zaskoczona, kiedy tak nagle stamtąd wyskoczyła. Wydaje mi się - powiedziała z namysłem - że wśliznęła się tam, kiedy zesłam na chwilę do... łazienki.

- Wiedziała pani, że one są w domu?
- Po tym jak dostałam gwizdek, spodziewałam się, że będą gdzieś w pobliżu. Moim zdaniem, nie miały specjalnych trudności z dostaniem się do domu, w którym nie było ani zakratowanych okien, ani alarmu antywłamaniowego. Jedna z nich wróciła pod pretekstem zostawienia torebki i szala. Podczas poszukiwania tych rzeczy udało im się chyba uchylić okno. Wróciły do domu zapewne zaraz po swoim wyjściu, kiedy domownicy szykowali się do spania.
- Wiele pani ryzykowała.
- Miałam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy - odrzekła. - Nie można przejść przez życie, nie podejmując pewnego ryzyka.
- A właśnie, pani podejrzenia dotyczące paczki okazały się słuszne. Zawierała zupełnie nowy, jaskrawy męski pulower w czerwono-czarną kratę. Taki, który od razu rzuca się w oczy. Skąd pani to przyszło do głowy?
- No cóż - odpowiedziała. - To całkiem proste. Kiedy Emlyn i Joanna opisali tę postać, było dla mnie oczywiste, że ten charakterystyczny strój miał zostać zauważony. Nie mógł więc zostać ukryty gdzieś w pobliżu ani trzymany wśród osobistych rzeczy. Należało pozbyć się swetra najszybciej, jak to możliwe. Istnieje skuteczny sposób na pozbycie się odzieży - przesłanie ich pocztą do instytucji dobroczynnych. Proszę sobie wyobrazić radość osób zbierających ubrania dla bezrobotnych matek i ich dzieci, kiedy znalazły w paczce prawie nowy

welniany pulower! Trzeba było dowiedzieć się tylko o adres, pod który wysłana została paczka.

- Zapytała pani o to na poczcie? - minister wyglądał na zaskoczonego.

- Nie wprost, oczywiście. Udawałam osobę roztrzepaną. Wyjaśniałam, że błędnie zaadresowałam paczkę z odzieżą do instytucji charytatywnej i chciałabym dowiedzieć się, czy paczka, przyniesiona na pocztę przez jedną z moich miłych znajomych, została już wysłana. Uprzejma urzędniczka starała się pomóc i przypomniała sobie, że na paczce był inny adres niż ten, na którym mi zależało. Podała mi pierwszy, który rzekomo sama napisałam. Sądzę, że nie podejrzewała, abym chciała uzyskać jakąś ważną informację. Widziała tylko, że jestem zapominalską staruszką, która martwi się, gdzie wysłano jej paczkę z używaną odzieżą.

- Widzę, że jest pani równie dobrą aktorką, jak detektywem - zauważył profesor. - Kiedy zaczęła się pani domyślać, co naprawdę zdarzyło się dziesięć lat temu?

- Na początku - przyznała - wszystko wydawało się niezwykle trudne, niemal niemożliwe do rozwiązania. Miałam pretensje do pana Rafiela o to, że niczego mi nie wyjaśnił. Teraz jednak widzę, że postąpił bardzo mądrze. Naprawdę był sprytny. Rozumiem też dlaczego został wielkim finansistą i zarabiał z taką łatwością ogromne pieniądze. Umiał doskonale planować. Informacje podawał mi sukcesywnie, w małych porcjach. W ten sposób

kierował moim działaniem. Najpierw postawiono w pogotowiu moich aniołów stróżów, którzy sprawdzili, jak wyglądam. Potem zostałam wysłana na wycieczkę, gdzie poznałam różnych ludzi.

- Czy początkowo podejrzewała pani kogoś z wycieczki?

- Liczyłam się z taką możliwością.

- Ale nie wyczuwała pani zła wokół siebie?

- Ach, pamięta pan o tym? Nie wyczuwałam w pobliżu niczego zdecydowanie niepokojącego. Nie wiedziałam, która z osób okaże się przydatna, ale ona sama się ujawniła.

- Elisabeth Temple?

- Tak. Spotkanie z nią podziało na mnie jak światło latarni pośród ciemnej nocy - wyjaśniła. - Do tej pory błądziłam zupełnie po omacku. Pewne rzeczy wydawały mi się logiczne, ponieważ pan Rafiel zasygnalizował kilka faktów. Wiedziałam, że była ofiara i zabójca. Musiał istnieć morderca, ponieważ to było jedyne ogniwo łączące mnie i pana Rafiela. W Indiach Zachodnich mieliśmy do czynienia z zabójstwem. Oboje wplątaliśmy się w tę sprawę. On znał mnie przede wszystkim od tej strony. Nie mógł mieć na myśli przestępstwa innego rodzaju ani też zwyczajnego zabójstwa, lecz pełne premedytacji działanie kogoś owładniętego złem. Złem, które zastąpiło dobro. Wydawało się, że istnieją dwie ofiary. Osoba, która została zabita, oraz ofiara niesprawiedliwości - człowiek oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił.

Rozważyłam więc wszystko, ale niewiele rozumiałam do czasu rozmowy z panną Temple, kiedy to wpadłam na pierwszy trop. Elisabeth Temple opowiadała mi o pewnej znajomej dziewczynie, która zaręczyła się z synem Rafiela. Elisabeth była w tę historię bardzo zaangażowana. Dowiedziałam się, że dziewczyna nie wyszła jednak za niego.

Zapytałam dlaczego. "Ponieważ zmarła" - odrzekła ona. Spytałam więc o przyczynę śmierci, a ona odpowiedziała ponurym, niskim głosem, który do dzisiaj dźwięczy mi w uszach jak dzwon, że wszystkiemu winna jest miłość. "Miłość to najbardziej przerażające słowo na świecie" - dodała. Nie rozumiałam jej. Najpierw przyszło mi do głowy, że dziewczyna popełniła samobójstwo z powodu nieszczęśliwego romansu. Takie tragiczne historie zdarzają się dosyć często. Wtedy wiedziałam tylko tyle. Panna Temple wyjaśniła mi jeszcze, że nie podróżowała jedynie dla przyjemności. Naszą wycieczkę traktowała jak pielgrzymkę, której celem było dotarcie do pewnego miejsca i spotkanie z kimś. Szczegóły poznałam znacznie później, kiedy tamten człowiek sam zjawił się u mnie.

- Archidiakon Brabazon?

- Tak. Nie miałam wówczas pojęcia o jego istnieniu. Od momentu spotkania z nim czułam już, że główne postaci tej dramatycznej historii nie znajdowały się pośród uczestników wycieczki. Jednak przez krótki czas zastanawiałam się jeszcze nad Joanną Crawford i Emlynem Price'em.

- Dlaczego?

- Za względu na ich wiek - wyjaśniła. - Młodzi ludzie często popełniają samobójstwa i działają agresywnie, doświadczają zazdrości oraz miłosnych zawodów. Zdarza się, że z tego powodu chłopak zabija swoją dziewczynę. Myślałam o nich, ale nie dopatrzyłam się żadnego związku ze sprawą. Nie czułam nawet cienia zła, rozpacz czy nieszczęścia. Później, podczas ostatniej wieczornej rozmowy przy lampce sherry w Starym Dworze, wykorzystałam ten pomysł dla zmylenia przeciwnika. Powiedziałam wtedy, że oboje są osobami najbardziej podejrzаныmi o zabójstwo Elisabeth Temple. Kiedy znów ich spotkam - rzekła pedantycznym tonem - będę musiała przeprosić za to, co mówiłam. Byli jednak przydatni do zamaskowania moich rzeczywistych podejrzeń.

- A więc kolejnym ważnym wydarzeniem stała się śmierć Elisabeth Temple?

- Nie - odparła. - Znacznie wcześniej otrzymałam zaproszenie do Starego Dworu, gdzie spotkałam się z niezwykle gościnnością. To także zostało uprzednio zorganizowane przez pana Rafiela. Wiedziałam, że powinnam się tam przenieść, chociaż dokładnie nie znałam powodu. To mogło być kolejne miejsce, w którym miałam uzyskać informacje pomocne w moich poszukiwaniach. Ale najmocniej przepraszam - przerwała nagle, zmieniając się ponownie w przeciętną, roztrzepaną i niepewną siebie staruszkę -

chyba za dużo mówię. Nie powinnam opowiadać panom o wszystkich moich domysłach.

- Proszę kontynuować - powiedział Wanstead. - Nawet pani nie wie, jak bardzo mnie ciekawi to wszystko, co ma związek z moją wieloletnią pracą. Niech pani dalej opowiada o swoich przecuciach.

- Tak, proszę mówić - zachęcał sir Andrew McNeil.

- Miałam więc pewne przecucie - rzekła - które nie miało związku z żadną logiczną dedukcją. Stanowiło raczej emocjonalną reakcję na panujący w tamtym domu nastrój.

- Tak - stwierdził profesor Wanstead. - Istnieje coś takiego jak specyficzna atmosfera otaczająca dom, ogród lub las oraz różne budynki i inne miejsca.

- Trzy siostry. Na to przede wszystkim zwróciłam uwagę, kiedy znalazłam się w Starym Dworze, gdzie zostałam niezwykle serdecznie przywitana przez Lavinie Glynne. Jednak w określeniu "trzy siostry" jest coś niepokojącego. Przywodzi na myśl skojarzenia z literaturą rosyjską albo Szekspirem. Trzy wiedźmy na wrzosowisku z Makbeta.

Wydawało się, że w domu panuje nastrój głębokiego smutku oraz strachu, a jednocześnie zwyczajna, codzienna atmosfera.

- To ostatnie spostrzeżenie brzmi interesująco - zauważył profesor Wanstead.

- Myślę, że to zasługa pani Glynne. To ona zjawiała się u mnie w hotelu, wyjaśniając powód zaproszenia. Zupełnie zwyczajna, bardzo sympatyczna kobieta. Wdowa, może niezbyt szczęśliwa osoba, co nie miało

jednak nic wspólnego z atmosferą panującą w domu, lecz wynikało raczej z jej charakteru. Zaprowadziła mnie do domu, gdzie poznałam pozostałe siostry. Następnego dnia rano stara służąca, która przyniosła herbatę, opowiedziała mi tragiczną historię sprzed lat o dziewczynie zamordowanej przez swego chłopaka. Usłyszałam też o kilku innych dziewczętach z okolicy, które stały się ofiarami przemocy.

Trzeba było podjąć kolejną decyzję. Doszłam do wniosku, że żaden z uczestników wycieczki nie ma bezpośredniego związku ze sprawą, którą się zajmuję. Morderca znajdował się gdzie indziej. Musiałam sobie zadać pytanie, czy może mieszkać w domu, do którego zostałam wysłana. Trzy siostry: Clotilde, Lavinia, Anthea. Jak trzy więdźmy symbolizujące przeznaczenie. Jakie one były: szczęśliwe, nieszczęśliwe, cierpiące czy przerażone? Najpierw zwróciłam uwagę na Clotilde. Wysoka, przystojna kobieta. Osoba z charakterem, podobnie jak Elisabeth Temple. Czułam, że niewiele wiem, ale trzeba było podsumować wrażenia. Trzy siostry niby trzy antyczne mojry. Gdzie jest morderca? Jaki to morderca? Jakiego rodzaju zabójstwo? Czułam, że atmosfera zaczyna się powoli zagęszczać. W powietrzu czaiło się zło - tak, to jednak najlepsze określenie. Nie znaczy to od razu, że któraś z nich musiała być źródłem zła. Jednak w miejscu, gdzie mieszkały, wydarzyło się coś złego, a cień z przeszłości nadal straszył domowników.

Zastanawiałam się więc nad Clotilde, najstarszą z siostr. Piękna i silna kobieta, która wszystko intensywnie przeżywała. Przyznam, że przypomniała mi Klitajmestrę. Całkiem niedawno - panna Marple zaczęła teraz mówić swoim zwyczajnym głosem - zostałam zaproszona na przedstawienie greckiej tragedii do znanej szkoły dla chłopców w mojej okolicy. Ogromne wrażenie zrobił na mnie chłopak, który grał Agamemnona, ale jeszcze większe ten, który odtwarzał rolę Klitajmestry. Niezwykłe przedstawienie. Pomyślałam, że Clotilde byłaby zdolna do zaplanowania zbrodni i dokonania jej. Pasowała do roli kobiety, która morduje małżonka w kąpielni.

Profesor Wanstead ledwie zdołał powstrzymać się od śmiechu. Rozbawiła go powaga, z jaką mówiła panna Marple. Ona jednak mrugnęła do niego prawie niezauważalnie okiem.

- Brzmi to dosyć zabawnie, prawda? Jednak potrafię ją sobie wyobrazić w roli Klitajmestry. Niestety, nigdy nie miała męża, którego mogłaby zabić. Wobec tego, kontynuowałam moje obserwacje... Lavinia Glynne. Wydawała się sympatyczną, poczciwą kobietą. Jednak niektórzy znani mi mordercy sprawiali podobne wrażenie. Umieeli być naprawdę czarujący. Wielu miłych ludzi, którzy okazywali się zabójcami, zaskakiwało swoich znajomych.

Nazywam ich "rozsądnymi mordercami", ponieważ popełniają zbrodnię z powodów czysto praktycznych. Bez żadnych emocji, jedynie z myślą o

konkretnej korzyści. Wydawało się to mało prawdopodobne i byłabym niezwykle zaskoczona, gdyby pani Glynne okazała się winna. Jednak nie mogłam jej wykluczyć. Ona miała kiedyś męża i od kilku lat była wdową. Być może... No tak. Na tym się zatrzymałam.

Wreszcie trzecia siostra, Anthea. Bardzo nie zrównowazona osoba. Nieskoordynowane ruchy, chaotyczne zachowanie. Wyglądała, jakby przez cały czas czegoś się bała. To także pasowałoby do tej historii. Jeśli ona popełniła zbrodnię w przeszłości, mogła się obawiać, że teraz ktoś odkryje dawne zdarzenia. Elisabeth Temple mogłaby na przykład próbować wyjaśnić morderstwo. Anthea miała dziwny sposób patrzenia na ludzi: najpierw mierzyła ich wzrokiem, a potem rozglądała się szybko wokół siebie, jakby widziała z tyłu coś przerażającego. Tak więc ona również mogła być podejrzana.

Morderczyni nie zrównowazona psychicznie. Zabiła, ponieważ czuła, że jest prześladowana. To były tylko domysły, ale atmosfera tego domu zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Następnego dnia spacerowałam z Anthea po ogrodzie. Na końcu głównej ścieżki znajdował się pagórek powstały w wyniku zapadnięcia się starej szklarni. W czasie wojny zaniedbano ją, ponieważ brakowało ogrodników. Mury się zawaliły, a między ceglami pojawiła się torfowa ziemia, na której wyrosły gęste pnącza zwane Polygonum. Tę popularną roślinę sadi się w ogrodach, aby

zamaskować różne brzydkie miejsca. Jest bardzo ekspansywna, rozrasta się szybko w każdych warunkach i wysusza ziemię, stanowiąc zagrożenie dla innych roślin. Ma białe, ładne kwiatuszki. Tego dnia dopiero zaczynała kwitnąć... Stałam tam z Antheą, która była bardzo załamana stanem szklarni. Wspaniałe winogrona, które rosły kiedyś w środku, okazały się najważniejszym wspomnieniem z czasów jej dzieciństwa. Marzyła, aby zdobyć sumę pozwalającą na przekopanie pagórka, odbudowanie cieplarni i wypełnienie jej winogronami i brzoskwiniami. Ogromnie tęskniła za dawnymi czasami. Ale nie tylko... Po raz kolejny wyraźnie poczułam, że czegoś się boi. Przerzął ją ten pagórek. Wtedy jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Wiedzą panowie, co wydarzyło się później. Zginęła Elisabeth Temple. Zeznania Emlyna Price'a i Joanny Crawford nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. To nie był wypadek, tylko zaplanowane zabójstwo. Chyba wtedy zaczęłam się wszystkiego domyślać. Doszłam do wniosku, że popełniono trzy morderstwa. Usłyszałam wreszcie całą historię syna pana Rafiela. Chociaż chłopak miał rzeczywiście przeszłość kryminalną, nie musiał być przecież zabójcą. Jednak wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu. Nikt nie wątpił, że to on zabił Verity Hunt, dziewczynę, której imię i nazwisko wtedy poznałam. Rozmowa z archidiakonem Brabazonem przekonała mnie ostatecznie. On znał tych dwoje młodych ludzi.

Przyszli do niego z prośbą, aby udzielił im ślubu. Wziął na siebie odpowiedzialność za tę sprawę. Nie uważał, aby to była mądra decyzja, ale usprawiedliwiona szczerym uczuciem. Dziewczyna kochała chłopaka prawdziwą miłością, stosownie zresztą do znaczenia swego imienia. Zdaniem archidiakona, chłopak, chociaż miał złą reputację, także gorąco kochał dziewczynę. Obiecywał jej wierność i poprawę. Archidiakon Brabazon nie był zbyt wielkim optymistą. Nie wierzył, aby tych dwoje czekała szczęśliwa przyszłość. Ich związek określił jako "małżeństwo z konieczności". Jeśli ktoś bardzo kocha drugą osobę, jest gotowy zapłacić za miłość odpowiednią cenę w postaci różnych rozczarowań i cierpień. Po tej rozmowie byłam pewna jednego: kochający chłopak nie mógł zmasakrować twarzy swojej dziewczyny. Nie było także mowy o napastowaniu seksualnym. Uwierzyłam archidiakonowi na słowo. Wiedziałam jednak, że od Elisabeth Temple otrzymałam również właściwą wskazówkę. Powiedziała, że Verity umarła z powodu miłości.

Wszystko stało się jasne. Domyślałam się tego już wcześniej, ale niektóre rzeczy dopiero teraz zaczęły do siebie pasować. Zgadzały się z tym, co usłyszałam od Elisabeth. Mówiła, że przyczyną śmierci Verity była miłość, najbardziej przerażająca rzecz na świecie... Zrozumiałam, że chodziło o zaborczą miłość Clotilde. Dziewczyna uwielbiała swoją opiekunkę, znajdowała się pod jej ogromnym

wpływem. Jednak kiedy zaczęła dorastać, dały o sobie znać jej naturalne potrzeby. Zapragnęła innej miłości, małżeństwa, własnych dzieci. Spotkała chłopca, którego pokochała. Wiedziała, że to nierozsądne, znała go przecież aż za dobrze. Panna Marple znów zmieniła ton.

- Zły charakter nigdy nie zniechęca dziewcząt. One lubią łobuzów, zakochują się w nich, wierząc, że umieją ich zmienić. W czasach mojej młodości miły, uprzejmy i godny zaufania mężczyzna otrzymywał zawsze tę samą odpowiedź od dziewczyny: że może ją traktować jak siostrę, co oczywiście nigdy go nie zadowalało. Verity kochała Michaela, a on był gotowy ożenić się z nią, zmienić całkowicie i nigdy już nie spojrzeć na inną dziewczynę. Nie należało się spodziewać, aby żyli długo i szczęśliwie, ale jak zauważył archidiakon, to była prawdziwa miłość. Postanowili wziąć ślub. Verity powiadomiła o tym Elisabeth. Zamiar utrzymywano jednak w tajemnicy, ponieważ Verity rozumiała, że to, co planuje, jest ucieczką. Chciała uwolnić się od dotychczasowego życia i od osoby, którą co prawda kochała, ale zupełnie inaczej niż Michaela. Wiedziała, że nie uzyska pozwolenia na ślub oraz że wszyscy postarają się jej w tym przeszkodzić. Chcieli pobrać się w sekrecie, ale nie musieli wyjeżdżać do Gretna Green, ponieważ oboje byli pełnoletni. Dlatego zwrócili się do archidiakona Brabazona, od lat przyjaciela Verity, który przygotowywał ją do bierzmowania. Ustalili datę, godzinę, miejsce,

przygotowali być może w tajemnicy stroje. Na pewno gdzieś się umówili na spotkanie. On przybył tam i czekał na nią, lecz ona się nie zjawiała. Potem być może próbował się dowiedzieć, dlaczego nie przyszła. Sądzę, że mógł nawet otrzymać list pisany jakoby jej charakterem pisma, w którym informowała go o zmianie decyzji, ostatecznym zerwaniu i zamiarze wyjazdu na dłuższy czas, aby zapomnieć o tej znajomości. Jednak na pewno nie domyślił się nigdy prawdziwej przyczyny jej nieobecności. Nie przyszłoby mu do głowy, że została z zimną krwią zamordowana...

Clotilde nie zamierzała pozwolić odejść ukochanej dziewczynie. Verity nie mogła uciec z tym nienawidzonym przez opiekunkę chłopakiem.

Clotilde postanowiła zatrzymać dziewczynę przy sobie na zawsze. Nie mogłam jednak uwierzyć, aby udusiła ją i zmasakrowała jej twarz. Nie byłaby do tego zdolna. Przypuszczałam, że podała jej napój z odpowiednią dawką środków nasennych. Podobnie jak starożytni Grecy dawali do wypicia cykutę.

Wykopała cegły ze zniszczonej szklarni, pochowała tam dziewczynę i przysypała grobowiec ziemią.

- Czy siostry nie podejrzewały niczego?

- Pani Glynne mieszkała wtedy z mężem za granicą. W domu była jednak Anthea, która czegoś się chyba domyślała. Nie wiem, czy początkowo podejrzewała zabójstwo, ale widziała, że Clotilde zajęła się usypywaniem pagórka i sadzeniem kwitnących pnączy. Myślę, że prawda docierała do niej bardzo

powoli. A Clotilde, która raz weszła na drogę zła, nie miała już żadnych skrupułów. Planowanie następnych działań zaczęło jej chyba sprawiać przyjemność. Miała spory wpływ na atrakcyjną i bardzo zepsutą wiejską dziewczynę, Norę Broad, która próbowała czerpać z tej znajomości korzyści. Myślę, że z łatwością namówiła ją na wycieczkę w miejsce oddalone stamtąd o pięćdziesiąt kilometrów. Zapewne wybrała je znacznie wcześniej. Udusiła dziewczynę i zmasakrowała jej twarz. Ukryła ciało w rowie, przykrywając je ziemią i gałęziami. Nikt by jej o to nie podejrzewał. Zostawiła przy Norze torebkę Verity, założyła na szyję jej łańcuszek i być może ubrała ją w rzeczy tamtej. Miała nadzieję, że przez pewien czas zwłoki nie zostaną odkryte, na razie zaś rozповідаła, że Norę Broad widziano w samochodzie Michaela. Być może opowiadała też, że Verity zerwała zaręczyny z Michaelem z powodu jego niewierności. Sądzę, że robienie tego wszystkiego sprawiało jej przyjemność. Biedna, zagubiona dusza.

- Dlaczego "zagubiona"?

- Ponieważ uważam - odpowiedziała - że nie sposób wyobrazić sobie większego cierpienia od tego, które przeżywała wtedy Clotilde. Dziesięć lat dręczącego ją żalu. Musiała żyć z tym, co uczyniła. Zatrzymała Verity w Starym Dworze na zawsze. Na początku nie zdawała sobie sprawy, co to oznacza. Potem tęskniła za dziewczyną coraz bardziej. Nie sądzą, aby kiedykolwiek odczuwała coś w rodzaju wyrzutów

sumienia. Nawet to nie było jej dane. Z każdym rokiem cierpienia się pogłębiały. Wiem teraz, co miała na myśli Elisabeth Temple. Rozumiem to nawet lepiej od niej. Miłość jest straszna. Jeśli stanie się narzędziem zła, może być jedną z najgorszych rzeczy na świecie. Clotilde musiała żyć z tą świadomością dzień po dniu, rok po roku.

Teraz jest jasne, czego obawiała się Anthea. Myślę, że bardziej niż siostra uświadamiała sobie potworność czynu. Zrozumiała, co się stało, i czuła, że Clotilde domyśla się, co ona wie. Bała się, do czego jej siostra jest jeszcze zdolna. Clotilde kazała Anthei wysłać tę paczkę ze swetrem. Potem opowiadała mi, że młodsza siostra jest niezrównowazona psychicznie i pod wpływem chorobliwej zazdrości zdolna do wszystkiego. Uważam, że w niedalekiej przyszłości Anthei przytrafiłoby się zapewne coś złego. Mogłaby na przykład popełnić samobójstwo, niby targana wyrzutami sumienia.

- Mimo wszystko żał pani tej kobiety? - zapytał sir Andrew. - Jadowite zło jest jak rak. Złośliwy nowotwór, który powoduje same cierpienia - dodał.

- To prawda - odrzekła panna Marple.

- Słyszała pani chyba, co wydarzyło się tamtej nocy - powiedział profesor Wanstead. - Po tym, jak aniołowie stróże ocalili panią.

- Ma pan na myśli Clotilde? Pamiętam, że wzięła moją szklankę mleka. Trzymała ją w ręku, kiedy panna Cooke wyprowadzała mnie z pokoju.

Podejrzewam, że wypła mleko.

- Spodziewała się pani tego?
- Nie myślałam o tym wtedy. Sądzę, że gdybym się zastanowiła, doszłabym do takiego właśnie wniosku.
- Nikt nie zdołał jej powstrzymać. Zrobiła to bardzo szybko i nawet nikt nie domyślił się, że w mleku była trucizna.
- A więc wypła ją. Myślę, że w tej sytuacji było to naturalną konsekwencją. Nie ma się czemu dziwić. Teraz rozumiem, że ona, podobnie jak Verity, chciała uciec od wszystkiego, czym żyła do tej pory. To dziwne, że kara, jaką na siebie nakładamy, tak często przypomina to, co ją spowodowało.
- Wydaje się, jakby bardziej współczuła pani tej kobiecie niż zamordowanej dziewczynie.
- Nie - odrzekła panna Marple. - To tylko inny rodzaj współczucia. Żal mi Verity i wszystkiego, co utraciła, choć było tak blisko. Szczęście u boku wybranego mężczyzny, którego kochała szczerze i prawdziwie. Odebrano jej wszystko bezpowrotnie. Współczuję jej z powodu tego, czego nie doświadczyła. Jednak uniknęła cierpień Clotilde: smutku, goryczy, strachu oraz zła opanowującego coraz bardziej duszę. Clotilde musiała z tym wszystkim żyć. Z wszechogarniającą tęsknotą za osobą, której nigdy już miała nie odzyskać. Z podejrzliwymi siostrami, które obawiały się jej, z dziewczyną, którą pochowała w pobliżu domu.
- To znaczy Verity?
- Tak. Pochowała ją w ogrodzie, w przygotowanym przez siebie grobowcu. Jej duch unosił się przez cały

czas w Starym Dworze. Clotilde mogło się nawet wydawać, że widzi dziewczynę, która zrywa kwitnące, białe kwiaty. Musiała czuć obecność Verity bardzo blisko. Nic gorszego nie mogło jej przecież spotkać, prawda? Nic gorszego...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI ZAKOŃCZENIE

I

Dostaję gęziej skórki, kiedy słucham tej starszej pani - powiedział sir Andrew McNeil po wyjściu panny Marple.

- Taka miła, a taka bezwzględna - stwierdził zastępca komisarza.

Profesor Wanstead odprowadził pannę Marple do czekającego na dole samochodu i wrócił, aby zamierać kilka słów na pożegnanie.

- Co o niej sądzisz, Edmundzie?

- Najbardziej przerażająca kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem.

- Bezwzględna? - zapytał Wanstead.

- Nie, nie to miałem na myśli. A jednak przerażająca.

- Nemezis - powiedział powoli profesor.

- Te dwie kobiety, które miały ją chronić - odezwał się urzędnik z prokuratury - opowiedziały mi o jej niezwykłym zachowaniu. Tej nocy bez najmniejszych trudności dostały się do domu i schowały w pokoiku pod schodami, czekając, aż wszyscy położą się na górze spać. Wtedy jedna z nich

ukryła się w szafie w sypialni, a druga obserwowała korytarz. Ta schowana w pokoju powiedziała, że kiedy wyskoczyła z szafy, ujrzała starszą panią owiniętą w puszysty różowy szal, która siedziała na łóżku i ze stoickim spokojem gawędziła sobie z wielokrotnym zabójcą. Te dwie kobiety były po prostu zaszokowane.

- Puszysty, różowy szal - powtórzył Wanstead. - Ach tak, pamiętam.

- Co pan pamięta?

- Słyszałem o tym od starego Rafaela. Śmiał się, kiedy opowiadał o niej. Mówił, że nigdy nie zapomni tej nocy w Indiach Zachodnich, kiedy pewna niezwykle zabawna i roztrzepana staruszka, opatulona w puszysty różowy szal, wkroczyła do jego sypialni i zażądała, żeby natychmiast wstał i zrobił coś, aby zapobiec morderstwu. Spytał, co ona sobie u licha wyobraża, wchodząc tam w środku nocy. Wyjaśniła mu wtedy, że nazywa się Nemezis. Coś takiego, Nemezis! Nigdy w życiu nie widział osoby mniej nadającej się do tej roli. Podoba mi się ten różowy szal - powiedział z namysłem Wanstead. - Bardzo mi się podoba.

II

- Michael - rzekł profesor Wanstead - chciałbym ci przedstawić pannę Jane Marple, która wiele dla ciebie zrobiła.

Młody, trzydziestodwuletni człowiek spojrział z lekkim powątpiewaniem na siwą, schorowaną staruszkę.

- No tak... - bąknął. - Zdaje się, że o pani słyszałem. Dziękuję bardzo.

Zwrócił się do Wansteada.

- Czy to prawda, że mają mnie oczyścić z zarzutów?

- Tak. W najbliższym czasie wypuszczą cię. Będiesz wolnym człowiekiem.

- Aha... - Michael nie był tego zbyt pewny.

- Minie trochę czasu, zanim się oswoisz z tą myślą - powiedziała życzliwie panna Marple.

Spojrzała na niego uważnie i spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał dziesięć lat temu. Nadal był przystojny, ale ciężkie przeżycia odcisnęły piętno na jego twarzy. Musiał być kiedyś bardzo atrakcyjnym, wesołym i czarującym chłopakiem. Zmienił się, ale może kiedyś znów taki będzie. Miał małe usta i ładne, duże oczy oraz jasne, szczere spojrzenie, co zapewne pomagało mu w opowiadaniu tych wszystkich kłamstw, w które dziewczęta chętnie wierzyły. Kogo jej przypominał? Zastanowiła się chwilę. Oczywiście, Jonathana Birkina, który śpiewał w chórze. Miał wspaniały głos, baryton. Dziewczyny go po prostu uwielbiały! Dostał dobrą pracę jako urzędnik w firmie Gabrielów. Gdyby nie zdarzyła się ta przykra historia z czekami...

- Jest pani bardzo uprzejma - mówił Michael coraz bardziej zakłopotany. - Miała pani przeze mnie tyle kłopotu...

**- Sprawilo mi to przyjemnosc - odpowiedziala. -
Cieszę się, że cię poznałam. Do widzenia. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Nasz kraj ma teraz pewne problemy ekonomiczne, ale chyba znajdziesz dla siebie jakąś ciekawą i przyjemną pracę.**

- Tak. Jeszcze raz dziękuję. Jestem pani naprawdę wdzięczny.

Jego słowa nadal brzmiały dosyć niepewnie.

- Powinieneś być wdzięczny nie mnie, lecz swojemu ojcu - wyjaśniła.

- Ojcu? Tata nigdy zbyt wiele o mnie nie myślał.

- Kiedy twój ojciec umierał, pragnął, aby oddano ci sprawiedliwość.

- Sprawiedliwość - Michael Rafiel jakby rozważał to słowo.

- Tak, twój ojciec wierzył w sprawiedliwość. Sam był zresztą bardzo sprawiedliwym człowiekiem. W liście, w którym prosił mnie o zajęcie się tą sprawą, umieścił następujący cytat:

**Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów
I prawość jak potok nie wysychający wyleje!**

- Czy to Szekspir?

- Nie, to słowa z Biblii. Trzeba się nad nimi zastanowić. Ja już to zrobiłam.

Panna Marple rozwinęła paczuszkę, którą miała ze sobą.

- Dali mi to, ponieważ myśleli, że chciałabym to zatrzymać! - powiedziała. - Pomogłam odkryć prawdę, wyjaśniłam, co się rzeczywiście zdarzyło. Ale moim zdaniem, ty powinieneś to wziąć. Może jednak nie będziesz chciał...

Podowała mu fotografię Verity Hunt, którą w Starym Dworze pokazywała jej kiedyś Clotilde Bradbury-Scott. Wziął zdjęcie i przypatrywał mu się. Jego twarz zmieniała się, najpierw złagodniała, a potem przybrała surowy wyraz. Panna Marple obserwowała go w milczeniu, które trwało przez jakiś czas. Profesor Wanstead przyglądał się zarówno starszej pani, jak i chłopakowi. Pomyślał, że jest to moment przełomowy, który może zaważyć na przyszłym życiu Michaela Rafiela.

Chłopak westchnął i oddał zdjęcie pannie Marple. - Ma pani rację. Nie chcę tego mieć. To dawne czasy. Ona odeszła i nie może być ze mną... Wszystko, co teraz zrobię, powinno być nowe. Muszę patrzeć przed siebie. Pani... - zawahał się i spojrzał na nią - pani mnie chyba rozumie?

- Tak, rozumiem - odrzekła. - Myślę, że postępujesz słusznie. Życzę ci wiele szczęścia w nowym życiu, które zamierzasz rozpocząć.

Pożegnał się i wyszedł.

- No cóż. Niezbyt wylewny młody człowiek - zauważył profesor. - Mógł pani podziękować trochę bardziej serdecznie.

- Och, wszystko w porządku - powiedziała. - Nie spodziewałam się po nim ogromnej wdzięczności. To

byłoby dla niego jeszcze bardziej krępujące. Wie pan, to niezwykle trudne rozpocząć życie całkiem od nowa i widzieć wszystko z zupełnie innej perspektywy. Może mu się powiedzie. Ważne, że nie jest zgorzkniały. Teraz doskonale rozumiem, dlaczego tamta dziewczyna go pokochała.

- Może tym razem obierze dobrą drogę.

- To raczej wątpliwe - stwierdziła. - Nie wiem, czy sam sobie poradzi, chyba że... chyba że znów pozna jakąś miłą dziewczynę. Miejmy nadzieję.

- Najbardziej lubię u pani to cudownie praktyczne podejście do życia.

III

- Zaraz tu będzie - powiedział Broadribb do Schustera.

- Tak. Cała ta sprawa jest dosyć niezwykła, nie sądzisz?

- Na początku nie mogłem w to wszystko uwierzyć - wyznał Broadribb. - Kiedy biedny Rafiel umierał, pomyślałem, że to wina tej choroby. Chociaż nie było z nim wcale tak źle.

Zadzwoił telefon, Schuster podniósł słuchawkę.

- Już przyszła? Niech ją pani wprowadzi - polecił i zwrócił się do współnika - wiesz, długo się nad tym zastanawiałem. To najdziwniejsza rzecz, o jakiej w życiu słyszałem. Kazać starszej pani jeździć po kraju w poszukiwaniu nawet nie wiadomo czego. Zdaniem policji, tamta kobieta popełniła nie jedno, ale trzy

morderstwa. Wyobraź sobie, trzy! Ciało Verity Hunt zostało zakopane w ogródku, w miejscu, które wskazała staruszka. Dziewczyna nie została uduszona ani nie zmasakrowano jej twarzy.

- Dziwne, że staruszce nic się nie stało - zauważył Broadribb. - W tym wieku nie dałaby sobie sama rady.

- Była pod ochroną dwóch detektywów.

- Dwóch, mówisz?

- Tak. Też o tym nie wiedziałem.

W drzwiach stanęła panna Marple.

- Gratuluję! - zawołał Broadribb, podnosząc się na powitanie.

- Serdeczne gratulacje. Dobra robota - przyłączył się Schuster, ściskając jej dłoń.

Panna Marple usiadła spokojnie po przeciwnej stronie biurka.

- Jak już pisałam w liście - zaczęła - sędzę, że wypełniłam powierzone mi zadanie. Zrobiłam, co należało.

- Tak, oczywiście. O wszystkim już wiemy.

Rozmawialiśmy z profesorem Wansteadem i z szefem policji. Świetnie się pani spisała.

Gratulujemy.

- Bałam się, że nie podolałam. Na początku zadanie wydawało mi się bardzo trudne, wręcz niemożliwe do wykonania.

- Rzeczywiście. Ja też tak myślałem. Nadal nie wiem, jak pani tego dokonała.

- No cóż, wytrwałością można wiele osiągnąć.

- A teraz omówmy sprawę zapłaty. Pieniądze są oczywiście od zaraz do pani dyspozycji. Nie wiem, czy wolałaby pani, aby wpłacić wszystko na pani konto, czy może doradzić pani, jak zainwestować pieniądze. To duża suma.
 - Dwadzieścia tysięcy funtów to dla mnie bardzo dużo pieniędzy - przyznała. - Tak, ogromna suma.
 - Możemy polecić pani któregoś z naszych maklerów. Wyjaśni pani, jak można te pieniądze zainwestować.
 - Och, nie zamierzam wcale inwestować.
 - Ale to byłoby na pewno...
 - W moim wieku oszczędzanie nie ma sensu - oświadczyła. - To znaczy, w tym właśnie wypadku. Jestem pewna, że pan Rafiel chciałby, abym wydała te pieniądze na przyjemności, na które nigdy nie mogłam sobie pozwolić.
 - Rozumiem - odrzekł Broadribb. - Wobec tego życzy sobie pani, aby dokonać przelewał na konto?
 - Tak. W Banku Middleton, przy Hight Street 132 w St. Mary Mead - poinformowała.
 - Przypuszczam, że ma pani tam rachunek oszczędnościowy. Na ten mamy wpłacić całą sumę?
 - Oczywiście, że nie. Proszę przekazać pieniądze na rachunek bieżący.
 - Nie sądzi pani, że...
 - Nie sądzę - odparła. - Chciałabym mieć całą kwotę na rachunku bieżącym.
- Wstała i podała im rękę.

- Zawsze może pani spytać o radę dyrektora swojego banku. Wie pani o tym? Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy potrzebować czegoś na czarną godzinę.

- Jedyne, co mi się przyda na czarną godzinę, to różowe okulary - stwierdziła panna Marple.

Po raz kolejny podali sobie ręce.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała do Broadribba

- i panu także - zwróciła się do Schustera. - Byli panowie niezwykle uprzejmi.

- Naprawdę chce pani, aby przekazać te pieniądze na rachunek bieżący?

- Tak - rzekła. - Zamierzam wszystko wydać i dobrze się przy tym bawić.

W drzwiach odwróciła się i roześmiała. Schuster, który był obdarzony bujniejszą wyobraźnią niż Broadribb, ujrzał nagle młodą, śliczną dziewczynę na wiejskim przyjęciu w ogrodzie. Po chwili zdał sobie sprawę, że to wspomnienie z jego młodości.

Panna Marple przypominała mu przez chwilę pewną młodą, szczęśliwą dziewczynę.

- Pan Rafiel chciałby, abym się dobrze bawiła - powtórzyła panna Marple, po czym wyszła.

- Nemezis - powiedział Broadribb. - Tak ją nazwał Rafiel. Nigdy nie widziałem osoby mniej podobnej do Nemezis, a ty?

Schuster potrząsnął głową.

- To na pewno był kolejny żart pana Rafiela - stwierdził Broadribb.

*** Bishop, Knight to angielskie nazwy szachowych figur - gońca i konia.**

- * ang. Castle - wieża, rook - szachowa wieża, oszust.**
- * ang. Broad - szeroki.**
- * Nemezis - grecka bogini przeznaczenia i sprawiedliwości.**
- * Przekład za Biblią Tysiąclecia, Am 5,24.**
- * Angielskie domy w małych miejscowościach mają często nazwy zamiast numerów.**
- * W języku angielskim są to imiona znaczące: Hope - nadzieja, Faith - wiara, Verity - prawda.**
- * ang. Por. nazwisko. Vinegar znaczy "ocet", a także "cierpki, kwaśny".**
- * fr. Szczęśliwej podróży!**